

A vintage black and white photograph of a woman in a 1920s style. She is wearing a brown fedora hat, a dark, beaded, sleeveless top, and a voluminous, feathered skirt. She is posing with her arms outstretched and one leg raised. The background is a plain, light-colored wall.

**ZBIGNIEW  
BIAŁAS**  
Puder i pył



**Deutschland**

**POLSKA**

**ZBIGNIEW  
BIAŁAS**  
Puder i pył



Copyright © 2013, Zbigniew Białas

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-151-6

Projekt okładki: Elżbieta Chojna

Opracowanie redakcyjne: MG

Korekta: Dorota Ring

Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

[www.wydawnictwomg.pl](http://www.wydawnictwomg.pl)

[kontakt@wydawnictwomg.pl](mailto:kontakt@wydawnictwomg.pl)

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.

W książce, którą Droga Czytelniczko/Drogi Czytelniku trzymasz właśnie w dłoniach, pojawiają się postaci, występujące również w poprzedniej powieści Zbigniewa Białasa, *Korzeniec*. Jeśli jesteś ciekawa/ciekaw ich wcześniejszych losów, poniżej kilka słów na ich temat:

**Jadwiga Korzeniec** (*de domo* Zimorodziec) – atrakcyjna wdowa po zamordowanym glazurniku z Sosnowca, Alojzym Korzeńcu, właścicielu dużej firmy kafelkarskiej. Autorka sentymentalnych powieści w odcinkach pisanych pod pseudonimem (Klandestyn Bizukont) do „Iskry” – miejscowej gazety, której redaktorem naczelnym jest Walerian Monsiorski.

**Walerian Monsiorski** – mężczyzna w średnim wieku, kawaler, redaktor naczelny „Iskry”. W sposób amatorski, na prośbę wdowy, prowadzi prywatne śledztwo, a im dłużej je prowadzi, tym bardziej poddaje się urokowi zleceniodawczyni. Do ołtarza mu jednak niespieszno.

**Panna Izabela** – nauczycielka, sufrażystka, esperantystka. Do Sosnowca przyjechała z miasteczka, w którym nadal mieszkają jej rodzice. Gdy kończy się akcja *Korzeńca*, wyjeżdża do Petersburga z rosyjskim nauczycielem.

**Mikołaj Krylenko** – oficjalnie nauczyciel literatury. Nieoficjalnie bolszewik. To z nim panna Izabela uciekła do Rosji.

**Pan Hieronim** – aptekarz, **pani Maria** – aptekarzowa – rodzice panny Izabeli.

**Heinrich Dietel** (młodszy) – niemiecki fabrykant, właściciel przędzalni czesankowej.

**Inge** oraz **Heinz Dietel** – dzieci przemysłowca.

**Emma** – fińska bona, opiekunka Inge i Heinza, miłośniczka kinematografu, platonicznie zakochana w kapitanie Schulte.

**Berndt Schulte** – młody pruski oficer posterunku granicznego w Mysłowicach, równie mocno zauroczony Emmą, jak ona nim. W dniu, w którym miało nastąpić ich pierwsze *rendez-vous*, powołany na front.

**Emanuel Appel** – orator, rewolucjonista-teoretyk. Z powodu przekonania pozbawiony trzech zębów.

**Tadeusz Meyerhold** – poeta, umiarkowany opiumista, dekadent, ma wpływowego i bogatego ojca.

**Andrzej Neumann** – poeta zakochany w pannie Izabeli. Bez wzajemności.

**Doktor Mojkowski** – lekarz główny Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Dzięki zwinności i płynności ruchów kojarzył się redaktorowi Monsiorskiemu z toreadorem.

**Hanka i Henio** – kuzynostwo redaktora Monsiorskiego. W czasach opisywanych w *Korzeńcu* mieszkali w drewnianym domu w Siewierzu.

**Zdzisio i Zbyszek** – „Ten wyższy” i „Ten niższy” – niezbyt rozgarnięci szwarcownicy, którzy przemycili głowę Alojzego Korzeńca z Prus do Sosnowca.

**Dróżnik Ociepa** – gadatliwy i sympatyczny sosnowiczanie, wuj jednego ze szwarcowników (choć zupełnie nie ma znaczenia którego).

**Emilia Pietruszka** – dozorczyńni dużej kamienicy przy ul. Iwangrodzkiej, najzagorzalsza wielbicielka powieści Klandestyna Bizukonta.

**Eustachy Goździk** – Dyrektor Rzeźni Miejskiej. Wyznawca zasady „Elegancja nade wszystko”.

**Izaak Lisze** – przyjezdny malarz. Absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

**Janek** – miejscowy urwis, któremu Cyganka wywróżyła, że zostanie sławnym na cały świat śpiewakiem.

**Antonina Zimorodziec** – matka Jadwigi Korzeniec. Jej relacje z córką są, mówiąc delikatnie, trudne.

**Pan Klaja** – błękitnozęby zecer zatrudniony w redakcji „Iskry”.

**Stary Kerszenblat** – głuchawy sprzedawca kiszonej kapusty.

Akcja *Korzeńca* rozgrywała się w ciągu jednego roku: od 28 czerwca 1913 do 28 czerwca 1914.

# **CZEŚĆ PIERWSZA**

11 listopada 1918

# Rozdział 1

## Jak świat światem

— Takie to życie jest, pani Zimorodzie. — Pani Półtoranos westchnęła ciężko i machnęła laską. — Że też nas nigdy nic nie oszczędza.

Może i świat zmienił się przez te cztery wojenne lata, ale ludzie nie. Zresztą panią Półtoranos naprawdę spotkała przykrość. Poszła na cmentarz zdjąć zwiędłe chryzantemy z grobu nieboszczyka męża, bo od Wszystkich Świętych minęło już dziesięć dni, a tu, masz ci los, pomnik zniszczony. Krzyż leży na płycie, pogruchotany, a przecież nikomu nie wadził. Jak się to mogło stać? Kto mógł uczynić coś tak podłego? I po co? Faktem jest, że świętej pamięci mąż zadał się raz z Cyganką, ale ta niestosowność została mu już dawno wybaczona, tym bardziej że to nie była jego wina, bo Cyganka chodziła bez majtek i w dodatku mówiła do rymu, więc który chłop by nie uległ? Nie, nie, z tym krzyżem to nie mogła być spóźniona kara niebios za grzech popełniony w jarmarcznej budzie (choć nie musiał bęćwał akurat tam leżąc zachciało mu się próbować szczęścia na strzelnicy że niby sztuczny kwiat ustrzelił no to ustrzelił a mógł na przykład pójść zobaczyć człowieka który się sam z armaty katapultował to nie nie nie właśnie strzelnicy mu się zachciało).

Pani Półtoranos żywiła pewne podejrzenia co do tożsamości sprawcy i podzieliła się nimi z panią Zimorodzie, która podejrzenia uznała za uzasadnione i dołożyła swój komentarz:

— Jak ktoś ma koszulę uszytą z worka po mące, to czego się można spodziewać?

Tak sobie rozmawiały o sprawach ważnych, chociaż akurat w kwestii zbeczeszczenia grobu Dionizego Półtoranosa nie miały



racji, ponieważ człowiek, którego podejrzewały, nie miał z tym nic wspólnego. Po prostu szła starsza kobieta wąską ścieżką, potknęła się, oparła o pomnik i trach... krzyż runął. Kobieta najpierw się zmartwiła, ale później wszystko przemyślała i doszła do wniosku, że to wielkie szczęście, że krzyż nie spadł na nią, tylko na płytę grobu, bo by jej stopę zmiażdżył z kretesem. Nikogo w tej części cmentarza nie było, więc oddaliła się tak szybko, jak jej stare nogi pozwalały, i o całej sprawie zapomniała.

– Myśli pani, że można już bezpiecznie montować klamki? – pani Półtoranos zmieniła temat.

W lutym 1917 roku na ulicach pojawiły się różowe obwieszczenia zachęcające obywateli do dobrowolnego oddawania mosiężnych klamek. Można było za nie dostać rekompensatę pieniężną i kupić uchwyty zastępcze w urzędzie odbiorczym. Dało to ludziom do myślenia i co sprytniejsi (na przykład pani Zimorodziec) natychmiast pochowali klamki. Rok później pojawiło się kolejne różowe obwieszczenie zarządzające tym razem przymusowe oddawanie klamek. Wtedy wszyscy zrozumieli, że Niemcy i Austriacy wojnę przegrywają, skoro nie mają z czego odlewać pocisków. Teraz nawet ci, którzy dotąd tego nie uczynili (na przykład pani Półtoranos), zdemontowali i schowali nie tylko wszystkie klamki, ale także kuchenne moździerze, tłuczki, mosiężne dzwonki przy drzwiach oraz każdą rzecz, którą dałoby się przetopić na coś, co mogłoby wylądować w ludzkim brzuchu albo sercu. Wystarczyła jedna lutowa noc i mosiądz zniknął. Można uznać, że to właśnie ostatecznie doprowadziło do kapitulacji Niemców i Austriaków. Nie da się wygrać wojny, jeśli się nie ma czym strzelać.

– Ja bym dla bezpieczeństwa jeszcze trochę poczekała.

– Ma pani rację. Co nagle, to po diable. Nigdy nie można być zbyt ostrożnym w takich sprawach.

W powietrzu mieszał się zapach butwiejących liści, mokrych gałęzi, dymu i kuchennych aromatów.

– Niech pani lepiej spojrzy tam – powiedziała pani Zimorodziec i uniosła podbródek, więc pani Półtoranos powiodła wzrokiem we wskazanym kierunku. Na balkonie jednego z domów stała kobieta i trzepała ścierkę.

- Ta to tylko stoi na balkonie i ciągle jakieś szmaty trzepie.
- Służącej nie ma, czy jak?
- Pewnie myśli, że sobie chłopa wytrzepie.
- No, widzi pani. Istna wariatka.

Ulicą przejechał wóz hyclowski wypełniony ujadającymi psami pozamykanymi w klatkach. Psy to jeszcze jakoś pani Zimorodziec znosiła, ale kotów już nie, ponieważ miały okropne, różowe języki. Trzeba by hycla zatrzymać, bo przydałaby się pasta do tępienia szczurów, a u niego można zawsze coś skutecznego dostać. Nikt też nie miał lepszego domowego środka na przeczyszczenie.

\* \* \*

Przetoczyła się machina niezrozumiała i wreszcie, kiedy już wszystko było jasne, zwołano Radę Miasta na nadzwyczajną sesję.

Delegaci powinni wkraczać do budynku magistratu dostojnie, ale byli w widocznym pośpiechu. Wszystko działo się za szybko. Jak tu dostojność zachować? No, chyba że w stroju, bo płaszcze mieli czyste, a pod nimi schludne ciemne ubrania, koszule ze sztywnymi kołnierzykami, a na nogi niemal wszyscy powzuwali czarne lakierki, choć pogoda nie była na lakierki, tylko raczej na walonki. Pucybut, spryciarz, usadowił się tuż przy drzwiach, wiedząc, że niejeden z delegatów w tym uroczystym dniu jeszcze przed wejściem do środka będzie chciał glanc poprawić, nie ma się co dziwić w taki dzień, więc kiedy już radni weszli do budynku, ich lakierki lśniły tak, że można się było w nich przeglądać, lśniły też wykrochmalone mankiety, lśniły świeżo wypucowane, ale nieco skonsternowane gęby.

Zdesperowany woźny biegał po sali, stoszył krzaczaste brwi i wymachiwał małym dzwoneczkiem, prosząc o spokój. Przed wojną oraz podczas okupacji też tak robił i pomagało, ale teraz panował dużo większy rwetes i harmider. Szurają butami, krzesłami trzaskają, aż w uszach zgrzyta – panowie delegaci. Parkiet całkiem zedną. Czy niepodległość musi się zaczynać od niszczenia parkietu?

Wreszcie delegaci zasiedli. Protokolanci w wyświechtanych tużurkach zatarli dłonie i w pełnej gotowości nachylili się nad arkuszami papieru. Jeden, bardziej od pozostałych nowoczesny, koncentrował się nad czarną maszyną do pisania. Wzroku nie

podnosił. Miejsce zajął w pewnym oddaleniu i zachowywał się jak wirtuoz pianista, który już sobie taborecik podkręcił do odpowiedniej wysokości, już go podsunął jak należy, pośladki umościł, nerwowymi ruchami bioder poprawił to i owo, a kiedy się uspokoił, wzrokiem potoczył po klawiszach, mierząc się z nimi zuchwale. Jeszcze bladych rąk nie wznosił, na kolanach je trzymał; minę miał przy tym srogą i skupioną, powieką ani drgnął. A przecież zaraz, gdy tylko zaczną gadać, głądzić i potoczyście przemawiać, wirtuoz protokolant przebudzi się z letargu. Wówczas... jak ruszy, jak się rozjuszy! Będzie stukał i łomotał, będzie uderzał rozszczękanymi czcionkami w biały arkusz wkręcony w wałek; litery, jak trampoliniści, będą wyskakiwać do góry, chować się, znowu wyskakiwać, a on to brzęknie dzwonkiem przy przesuwaniu wałka, to z furkotem wyciągnie kartkę, to wkręci szybko kolejną. I trach trach trachtrachtrach, suchy stukot, trachtrachtrach, przesunięcie wałka, dzwonek, następna linijka, nowy arkusz, i tak aż do samego końca obrad. Protokolanci wyrobownicy będą pisać ręcznie, owszem, nawet dość sprawnie, ale jednak w niczym nie będą przypominać pianistów, tylko Dyndalskiego z językiem na brodzie, mocium panie.

Patriotyczne dyktando czas zacząć.

Za stołem prezydialnym ktoś krzyknął:

– Niech żyje zjednoczona Polska!

Minęła sekunda i w sali gruchnęło:

– Niech żyje!

Otwarto okno na oścież, chociaż wiadomo, że z racji prawideł akustyki i tak niewiele można było usłyszeć na dworze, nawet gdyby pod budynkiem zebrał się tłum, który notabene się nie zebrał, ale nie ma się co czarować, że ktoś w połowie listopada będzie sterczał pod oknem magistratu w nadziei, że usłyszy coś, czego przez ponad sto dwadzieścia lat nie można było usłyszeć. Niemniej jakiś rozgorączkowany radny podbiegł do wysokiego okna, wspiął się na krzesło, wysunął łusą czaszkę na dwór i zawołał „Niech żyje Polska!”. Szybko i bezceremonialnie wciągnięto go za nogi do sali.

– Panie szanowny, to nie wiec, tylko sesja Rady Miasta.

– Zamykać okno, bo zimno leci!

Doprawdy trudno było zapanować nad emocjami, więc znów ktoś zawołał:

– Niech żyje Polska demokratyczna!

– Niech żyje!

Zerwał się z krzesła radny o płaskiej głowie i bladych źrenicach.

– Niech żyje Józef Piłsudski!

– Niech żyje!

– Co się tu wyrabia? – jeden z delegatów szepnął nerwowo do sąsiada. – Jaka znowu Polska demokratyczna?

– No, a jaka?

– Ja myślałem, że rząd będzie tworzyła Rada Regencyjna i że będzie panował król.

– Daj pan spokój z królem. Rada Regencyjna przekazała Piłsudskiemu naczelne dowództwo nad wojskiem. Jutro mu powierzą misję tworzenia rządu.

– A kto to jest Piłsudski?

– Brygadier Józef Piłsudski. – Sąsiad spojrzał na delegata ignoranta ze zdumieniem. – Będzie tworzył rząd.

– To może niech lepiej zostanie królem.

– Co też pan gada? Przecież tak nie można. Dobrze będzie, jak się z Polski uda zrobić republikę, ale ja się boję, że i z tego gówna wyjdzie, powiem panu uczciwie, jak delegat delegatowi.

– Panowie radni! Panowie radni! – przekrzykiwał ich przewodniczący, a woźny trząsał dzwonkiem, jakby wpadł w szal. – Upraszam o spokój i porządek, ponieważ my tu musimy uchwalić... ważną rezolucję...

Nikt go nie słuchał. Przewodniczący wzruszył ramionami, co za bezhołowie, mruknął i spojrzał bezradnie w kierunku swojego zastępcy, potężnego mężczyzny, który postanowił przyjść mu w sukurs i ryknął na całą salę:

– Rodacy! Odśpiewajmy *Mazurka Dąbrowskiego*...

Wszyscy wstali, szurając krzesłami („Jezusie święty! Parkiet! Parkiet!”, spazmował woźny, zatykając uszy) i jednym głosem odśpiewali *Jeszcze polskę*. Ledwie ucichła pieśń, przewodniczący nakazał:

– Proszę usiąść i nie hałasować przez chwilę! Muszę panów poinformować, że w trybie natychmiastowym podjęliśmy decyzję,

by zmobilizować Polską Organizację Wojskową...

– Zmobilizować!

– Zdemobilować! – zawołał cienkim głosem chudy delegat, który nie rozumiał trudnych słów, ale udzielił mu się ogólny entuzjazm. Na szczęście dla niego samego jego piskliwy głos nie przebijał się przez ogólną wrzawę, zresztą chodziło mu o to samo, co innym, tyle że piszcząc coś przeciwnego.

– Zmobilizować! Tak jest! Niech żyje!

– Ciszej z tym niech żyje! – krzyknął zastępca przewodniczącego. – Pan przewodniczący ma głos.

Ten otworzył usta, ale zanim się odezwał, podszedł do niego woźny.

– Depesza. Z Warszawy.

– Dziękuję. – Przewodniczący odebrał kartkę i pomachał nią nad głową. – Rodacy – powiedział uroczystym tonem. – Właśnie nadeszły wiadomości ze stolicy.

Cisza się zrobiła jak makiem zasiał. Przewodniczący otworzył depeszę i zaczął czytać:

– Józef Piłsudski wystąpił w Warszawie na balkonie przed wiwatującym tłumem. Stop. – Zawahał się. Otarł czoło wyprasowaną chusteczką.

– I co powiedział?! – Sala tak się rozentuzjasmowała, że rozkołysana fala przeleciała po ludziach, a szyby zadygotały.

Przewodniczący czytał dalej mniej pewnym głosem:

– Ehm... Powiedział, że go boli gardło. Stop. I nie może przemawiać. Stop. I że bardzo przeprasza. Stop.

Jakiś leciwy delegat odwrócił się do sąsiada i mruknął z uznaniem:

– Patrz pan, jaki ten Piłsudski sprytny. Opłacała mu się awantura wojenna.

Tymczasem inny delegat, krewki człowiek, zerwał się tak gwałtownie, że krzesło przewróciło się do tyłu.

– Pan kpi czy o drogę pyta, panie przewodniczący? – krzyknął purpurowy ze złości. – Piłsudski wystąpił na balkonie przed wiwatującym, patriotycznym tłumem w Warszawie i powiedział, że gardło go boli?

– Tak stoi w depeszy – stropił się przewodniczący i sprawdził jeszcze raz.

– I to ma być wiekopomne przemówienie? Stop, gardło mnie boli, stop? Tak będziemy wnukom przekazywać?

– Ale on nie powiedział, że stop gardło go boli stop. Powiedział tylko, że go gardło boli. I kropka.

– A co w takiej chwili kogoś obchodzi jego gardło?

Tego nie wytrzymał inny delegat.

– Cicho bądź, bałwanie! Przecież Piłsudski też człowiek. I ma prawo go gardło boleć!

– Ale chyba nie, do cholery, w takiej chwili!

Przewodniczący dał znak woźnemu, a ten zaczął wymachiwać dzwonkiem.

Uspokoił się.

Trzeba natychmiast, jeszcze dzisiaj, wybrać tymczasowego burmistrza. Proponuję kandydaturę pana inżyniera Mrokowskiego. Ktoś jest przeciw? Proszę, pan ma głos. Rozumiem. Już wyjaśniam, chociaż myślałem, że to już wytłumaczono. Oczywiście, że mowa jest o funkcji tymczasowej, na dwa miesiące, do jedenastego stycznia. Czy są jeszcze jakieś pytania? Nie widzę. Zatem przystępujemy do głosowania. Kto jest za? Raz, dwa, trzy... naście, dziękuję. Kto jest przeciw, raz, dwa, trzy, dziękuję, kto się wstrzymał, raz, dwa, dziękuję. Panie inżynierze, powierzamy panu funkcję burmistrza w tych trudnych, ale jakże obiecujących czasach i ufamy, itd. Panowie radni, dziękuję za zaufanie. Funkcję swoją obiecuję sprawować ku chwale ojczyzny i dla dobra miasta, tak mi dopomóż Bóg. Zdaję sobie sprawę z wyjątkowości sytuacji i rozumiem, że nie jestem przez panów obdarzony mandatem zaufania na całą kadencję, tylko na ten szczególny moment. Deklaruję więc, że władzę tymczasowego burmistrza będę dzierżył tylko przez dwa miesiące, po czym z urzędu ustąpię. Gabinet oddam, nowego burmistrza uszanuję, w paradę mu nie będę wchodził. Niech żyje niepodległa demokratyczna Polska! Niech żyje Józef Piłsudski!

Oklaski, oklaski.

Dziękuję.

Oklaski.

\*\*\*

Patrzcie państwo, Polacy rozbrają Niemców. Sztuka to może wielka nie jest, bo Niemcy na to pozwalają, ale nie wchodzimy w nieistotne szczegóły. Fakt jest faktem. Polacy. Rozbrają Niemców.

Ten oficer, który sobie tak żwawo poczyna na peronie, to podporucznik Eugeniusz Dąbski. Oddelegowano go tutaj, bo choć młody, wielce się już zasłużył. Nie, nie dlatego, że hrabia. To, że hrabia powoduje może, że się nosi bardziej po pańsku, ale rozbraja z powodu udokumentowanego patriotyzmu. Kiedy młodzi ludzie tacy jak Emanuel Appel bestialsko pozbawiony zębów, Andrzej Neumann o nienagannym uzębieniu, panna Izabela, której dotychczas nie dałem nazwiska, co mogło mnie narazić na posądzenia o szowinizm, opiumista Tadeusz Meyerhold, Lech-Leszka ten judasz i Kowalczewski vel Siedlecki, który uciekł z parobkiem, zajmowali się głównie czczymi dysputami, młody Eugeniusz, którego żadne z nich nie znało, bo po pierwsze był za młody, a po drugie kształcił się w Szkole Handlowej w Będzinie, a nie w Sosnowcu jak ten Janek, którego wspomnieliśmy kilka razy i któremu też nie nadaliśmy nazwiska, ale akurat dlatego, że i tak wiadomo, jak ten Janek się nazywał (zaczynam mówić tak chaotycznie jak pan Ociepa, który nie jest może ważnym bohaterem, ale, moim zdaniem, sympatycznym, chociaż to nie znaczy, że chciałbym pleść tak jak on), w każdym razie młody Eugeniusz Dąbski, zamiast gadać po próżnicy, pić piwo, zażywać opium i parać się sztuką, donosami bądź też rewolucją teoretyczną, wstąpił już w 1910 roku do „Orki”, tajnej organizacji młodzieżowej, a w roku 1912 zasilił szeregi Związku Strzeleckiego. Od dziecka zresztą był jakiś inny. Zamiast spać, ile wlezie, otwierał oczy o świcie i pytał zaniepokojony: „Dawno widno?”, bo bał się, że życie przesypia, chociaż miał może wtedy lat pięć albo sześć. A przecież dziecko hrabiowskie mogłoby sobie pospać do woli. Tymczasem nie, „dawno widno” go męczyło i zmuszało do działania. Wszystko to jednak miało miejsce przed 1913 rokiem, kiedy działo się to, co się działo i co zostało opisane w innej powieści, a mianowicie w *Korzeńcu* i dlatego nic nie wspominaliśmy o hr. Eugeniuszu Dąbskim, tym bardziej że książka dotyczyła

Sosnowca, a nie Będzina, gdyż Będzin wspomniałem bodajże raz czy dwa, a i tak tylko w kontekście Żydów i cholerycznego cmentarza, a nie w kontekście polskich tajnych organizacji patriotycznych. Potem to już wiadomo, co się działo w świecie. Hr. Dąbski służył w Legionach Piłsudskiego i wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej, więc nic dziwnego, że teraz rozbraja Niemców na sosnowieckim dworcu.

Właśnie podchodzi do grupki pozbawionej broni, grupki, której pilnuje dwóch podoficerów z karabinami na plecach, a my się przyglądamy uważnie i patrzcie państwo, jakie dziwy, bo w jednym z tych podoficerów możemy rozpoznać Andrzeja Neumanna. Powiedziałem, że możemy rozpoznać, ale właśnie sobie przypomniałem, że nie napisałem, jak wyglądał. W każdym razie możemy i powinniśmy podkreślić (bo i jemu się coś należy za to, co przeszedł podczas wojny), że zeszeptniał, ale wyszlachetniał, jak mówi poeta, a pocieszające jest to, iż już wiemy, że przeżył wojnę i nie tylko ją przeżył, ale ewidentnie nie jest w carskiej armii, tylko w polskiej. Chociaż był na kilku polach bitewnych, teraz jest na dworcu w Sosnowcu i miewa się nieźle, tyle że dręczy go niewiedza w kwestii tego, co się stało z panną Izabelą, która nagle zniknęła w 1914 roku, bodajże 30 czerwca, tak mówił Tadeusz Meyerhold. Podoficer Neumann, czyli pan Andrzej, na razie nie wie nic więcej, ponieważ tylko raz przypadkowo spotkał Meyerholda na ulicy (ten to się naprawdę wywinął od wojny dzięki ojcu, spędziwszy minione lata w Zakopanem, gdzie tworzył arcydramat o Sosnowcu), ale wokół tyle się działo, że niewiedza, co się stało z panną Izabelą, dręczy pana Andrzeja jedynie w sposób przytępiony. Nie ma co udawać, że ktoś sakramencko cierpi, skoro nie cierpi, tylko go coś raczej przykro uwiera.

Są na świecie rzeczy niezmiennie.

Na przykład, jak świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem, więc cholero, nie będziesz więcej pluł mi w twarz, ni dzieci mi germanił, ale przede wszystkim oddawaj karabin, bo on się przyda nowemu państwu polskiemu, które zamierza, rzecz jasna, miłować pokój, niech no tylko nieco okrzepnie, teraz jednak musi się na gwałt uzbroić po zęby. *À propos* zębów, wypadałoby zapytać, co się stało z Emanuelem Appelem, ale wyjaśnimy to w stosownym



czasie, podobnie jak wszystko wyjaśnimy w stosownym czasie; gdybyśmy nie mieli takiego zamiaru, to byśmy nie siadali do spisania tej opowieści.

– Panie hrabio...

– Proszę do mnie mówić: panie poruczniku. Hrabią będzie mnie pan nazywał na salonach.

– Tak jest.

Tyle że Dąbski nie mieszka na salonach. Dąbscy mają tytuł, ale nie fortunę. Zamiast we dworze, mieszkają skromnie na pierwszym piętrze kamienicy przy ulicy Kołłątaja 6. A gdzie to jest? No, jak to gdzie? Zaraz w prawo od Krzywej. Wie pan, gdzie na Krzywej jest redakcja „Iskry”? Wiem. To skręć pan w prawo i już jest Kołłątaja. Jakiego znowu Kołłątaja? Przecież to Mikołajewska. A widzisz pan, jak się świat jednak zmienił. Nie ma już żadnej Mikołajewskiej. Co nam Mikołaje? Proch, popiół, pył.

\* \* \*

Na rogu Targowej i Modrzejowskiej zebrała się grupa Żydów. Było o czym rozprawiać, bo teraz dla sosnowieckiej braci mojżeszowej to już naprawdę na troje babka wróżyła. A jeśli na troje babka wróży, to Żyd rozdzieli włos na czworo. A jak się da, to na ośmioro. Była wojna, była okupacja niemiecka – wiadomo, nic dobrego to nie jest, bo zawsze trochę bieda przyciska. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Pozwolono działać partiom, pozwolono robić wybory samorządowe. Skoro już tak na dobre wyszło, to trochę też na złe się obróciło. Ujawniło się bowiem z całą mocą, że nie ma wśród Żydów jedności. Ci z organizacji Agudas Izrael obnosili się w czarnych chałatach, chcieli żyć po staremu i nigdzie się nie zamierzali ruszać. Ich było w Sosnowcu najwięcej. Syjoniści z kolei chcieli wyjeżdżać i tworzyć państwo żydowskie w Palestynie. Tych było najmniej. Członkowie Bundu pragnęli socjalizmu, a jeśli się gięli w lewo, to jeszcze chętniej widzieliby rewolucję komunistyczną. Tych było całkiem sporo, ale nie tylu, ilu Żydów myślących ortodoksyjnie.

To wszystko za proste. Więc na przykład Żydzi z organizacji Mizrachi stanęli jedną nogą w ortodoksji, a drugą w Palestynie (tych było całkiem mało), podczas gdy ci z Poalej Syjonu stali jedną nogą

w Palestynie, a drugą wdepnęli w socjalizm (tyle ich, co kot napłakał). A jak już się wydawało, że każdy znalazł swoje miejsce, to ci, co się podzielili, znowu się rozszczepili, aż nie dało się więcej dzielić. No więc było, oj było o czym rozprawiać.

Jedność przejawiała się tylko w tym, że wszyscy Żydzi mieli czarne buty, choćby nie wiem, jak czerwone mieli poglądy.

W czasie wojny niektórzy wyjechali do Prus, ale na ich miejsce przyjechali biedacy z Galicji, więc w liczbach ledwie drgnęło. Tyle że Żydów bardziej obrotnych i zamożniejszych zastąpili ubożsi i bardziej zastraszeni, tacy co mieli warsztaty produkcji świec, kredy, papierosów, ćwieków, chałwy, mydła, szydła i powidła – a jakże, producenci sklejek, desek i beczek, handlarze kapustą i jajkami.

– I co teraz będzie? – najbardziej niepokoił się pewien chudy dzierżawca. Dostał grunty w zastaw od Polaka, który wszystko przebisurmanił i wyjechał Bóg raczy wiedzieć gdzie.

– Była granica i jest granica. Jakoś przetrwamy – powiedział uspokajającym tonem szanowany przez wszystkich fryzjer, pan Hersz Krawiec.

Bo to było tak: jeśli się szło na ulicę Dekerta do Krawca, to znaczy, że się szło do fryzjera, a jeśli ktoś chciał do krawca, to trzeba było iść do Guzika. Sosnowiec nigdy nie słynął jako miasto prostych zależności.

– Ale była Rosja, a teraz nastanie Polska. Więc czy to dla nas lepiej, czy gorzej? – zapytał Cunderman. Trzymał pod pachą kurę, która nerwowo rozglądała się dookoła. Teraz przekrzywiła małą głowę, jakby sama chciała znać odpowiedź na to podstawowe pytanie.

– I mieliśmy dwie granice, a została jedna – dodał niepewnie Cukierman.

Grupa ta rozprawiała, stojąc w półkolu wokół taboretu starego Kerszenblata, który siedział z trąbką przy uchu, ze skupioną miną, i próbował wyłapać to i owo, przesuwając całe ciało i kierując trąbkę w kierunku najgłośniejszych rozmów. Rozchyłał przy tym bezzębne usta i szeroko otwierał oczy, ale i tak niewiele słyszał.

– Ludzie zostali ci sami – powiedział ktoś uspokajająco.

– Nie do końca, bo wyjechali kozacy i urzędnicy rosyjscy, a zostali Polacy – Cunderman obstawał przy swoim. Kura się z nim zgadzała.

– E, jakoś to będzie przecież. Nie z takich opresji Żydzi wychodzili. Poza tym polscy urzędnicy nie muszą okazać się gorsi niż rosyjscy.

– Tego nikt nie przewidzi. Nawet pan Kerszenblat nie pamięta czasów, kiedy rządili polscy urzędnicy.

– Trzeba do rady miasta wybrać jak najwięcej Żydów, żeby pilnowali sprawiedliwości.

– Ale czy Polacy nas dopuszczą? – Moszek Cywan kręcił głową z powątpiewaniem.

– Muszą dopuścić. W końcu też jesteśmy obywatelami. W zeszłym roku w wyborach Herman Berniker wszedł do rady.

– Ale to było za Niemców, a teraz ogłoszą nowe wybory. Polacy pamiętają, że jak w tysiąc dziewięćset czternastym roku Niemcy wchodzili do miasta, to Żydzi ich witali chlebem i solą.

– Żydzi z Będzina też tak robili. Co w tym było złego? Piłsudski z Niemcami nie trzymał?

– Lepiej do Palestyny jechać, nowe państwo żydowskie budować – ktoś powiedział. – Chaim Bialik w każdym razie tak radzi.

– Wolna droga – zaperzył się inny. – Chaim Bialik jeździ tylko między Odessą a Warszawą, nie widzę, żeby się wybierał do Palestyny.

Pokiwali głowami, pomruczeli.

– Ale to może dobrze, że nastanie jakiś porządek, bo ostatnimi czasy bandytyzm tak się szerzy, że to przechodzi ludzkie pojęcie. Wieczorem z domu nie można wyjść.

– W Kazimierzu powstał komitet obywatelski. Ludzie sami muszą się chronić przed szumowinami. Policja z niczym nie daje sobie rady. Zresztą kto wie, czy w ogóle jest jeszcze jakaś policja? Ile można taki chaos wytrzymać? Dla interesów nic gorszego nie może być.

Pokiwali głowami.

– No i robotnicy nie pracują, tylko manifestują. To się musi skończyć. Górnicy cały październik strajkowali. Do czego to

podobne?

– Żądali zakończenia wojny.

– Przecież się zakończyła.

Pokiwali głowami. Pomruczeli.

– A Niemcy uciekną?

– Połowa ucieknie, a połowa zostanie. Zostaną ci, co mają tutaj fabryki.

– No to ja myślę tak: jeśli wszyscy Rosjanie uciekają, a Niemcy w połowie wyjeżdżają, a w połowie nie, to Żydzi niech tu na razie zostaną.

– A jak przyjdą bolszewicy?

– Jak przyjdą bolszewicy, to się będziemy wtedy zastanawiać, a na razie nie przyszli.

Jakiś młodzieniec z Bundu parsknął, ale nic nie powiedział.

Pokiwali głowami. Pomruczeli.

– Bo Niemcy już nie wrócą, prawda?

– Może wrócą, może nie. Zresztą kto jak kto, ale Niemiec Żydowi krzywdy nie uczyni.

Pokiwali głowami i rozeszli się.

Na rogu Modrzejowskiej i Targowej zostało tylko parę osób. I tak się akurat składa – chociaż nikt o tym nie wiedział – że był w tej grupce zabójca Alojzego Korzeńca. Balansował na górnym szczeblu drabiny i mocował nad sklepem szyld z naprędcie wymalowanym napisem: „CUKIERNIA”.

– Źle napis. Źle „N” – powiedziała czternastoletnia Ryfka Zygielbaum stojąca na ulicy wśród gapiów.

Zabójca Alojzego Korzeńca ostrożnie zszedł z drabiny, szczebel po szczeblu, i zadarł głowę do góry.

– Faktycznie. Trzeba będzie poprawić.

\* \* \*

Janek chodził po pokoju redakcyjnym pana Waleriana w rozpiętej popielatej marynarce i w krawacie zawadiacko poluzowanym pod szyją.

– Nie biegaj tak, bo mi się w głowie kręci.

– A wie pan, co robiłem wczoraj i dzisiaj z chłopakami?

– Nie mam pojęcia. Ale cokolwiek byś robił, to nie powód, żeby mnie mdlilo.

Janek zatrzymał się.

– To panu powiem... rozbajaliśmy niemieckie wojsko!

– Hmm...

– Tak! Rozbrajałem Niemców! I byłem na drodze szopienickiej.

Wie pan, co tam się dzieje?

– Wiem. Jestem dziennikarzem.

– Polacy ustawili posterunki graniczne. Biało-czerwone flagi...

– Widziałem. Oglądałem to dzisiaj.

– Ja też. Niemców już nie ma.

– Niemieckie wojsko wycofuje się na Śląsk i zabiera ze sobą broń.

– Jaką broń? Przecież ich rozbroiliśmy.

– Wszystkich?

– Wiadomo, że wszystkich nie, ale paru się rozbroiło. Ależ to było! – Janek zachichotał. – A pan się nie cieszy?

– Bardzo się cieszę. – Pan Walerian zakasłał. – Ale też trochę się martwię, co z tego wyniknie. Gdyby ustawiono słupy graniczne, a potem miałyby być spokój, to chwała Bogu, ale ja widzę, Janek, że ludzie plądrują, i że porządnych Niemców krzywdzą, kradną w sklepach. Tak nie powinno być.

– Ale oni sobie zasłużyli.

– Posłuchaj, ja to wiem lepiej niż ty. To ja trzy lata przesiedziałem w obozie jenieckim i straciłem zdrowie. Ale znam też Niemców, tu w Sosnowcu, którzy są porządnymi ludźmi i bardzo by się w wolnej Polsce przydali. Wypędzenie ich stąd to nie jest najlepszy pomysł, rozumiesz mnie?

– Nie bardzo. Panie redaktorze, teraz wreszcie będzie Polska!

– Tak, ja wiem. A ty zostaniesz śpiewakiem.

Janek znowu się roześmiał.

– A pan raczej nie zostanie pruskim generałem.

– Po pobycie w Havelbergu zrezygnowałem.

– Mnie z kolei mówił taki jeden rudy Kazik, że mu ktoś mówił, chyba taki jeden Jacek, że mu mówił Heniek Kuroń, ja go mało znam, ale, no, że on wczoraj wszedł przez okno z kolegą na wartownię i rozbroili niemieckich więźniów...

– Jakich znowu więźniów?  
– No, nie więźniów, tylko chciałem powiedzieć – żołnierzy niemieckich.  
– A ile ma lat ten bohaterski Heniek?  
– Chyba trzynaście.  
– I Niemcy dali się rozbroić?  
– Pewnie. Oni się chętnie rozbrajają.  
– Pozory.  
– Żeby pan widział, jakie miny mieli dzisiaj rano. Byłem ja – uderzył się z dumą w pierś – czyli zastępowy i czterech chłopaków z piątej klasy. Dopadliśmy pruską wachę w fabryce Lamprechta, dziewięciu landszturmistów. Staję przed nimi i oznajmiam, że w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej żądam oddania broni.  
– No, no.  
– Pan się ze mnie śmieje?  
– Ależ skąd. Tylko młodszego brata w to nie wciągaj.  
Janek zignorował tę uwagę.  
– Aha, ktoś mi mówił, że państwo polskie będzie dawało medale za rozbrajanie Niemców i Austriaków. Myśli pan, że to prawda?  
– Nie wiem, Janek. Sądzisz, że ktoś to wszystko kontroluje? A przy okazji, co zrobiłeś z bronią?  
Chłopak zawahał się.  
– No, na razie ją trzymam, ale oddam, bo wie pan, trochę tego nazbieraliśmy. Karabiny, sporo amunicji, granaty... Oddam, jak się rozbrajanie skończy.  
– A teraz gdzie ją masz?  
– Eee, w piwnicy.  
– W piwnicy broń zawilgnie.  
– Niech się pan nie obawia. Byliśmy u Białasa<sup>[1]</sup> w składzie i pytaliśmy, jak broń przechowywać. Trzeba każdą sztukę owinąć w czystą szmatę, co parę dni czyścić i oliwić.  
– A oliwy tyle masz?  
– Można używać oliwy do maszyny do szycia.  
– Chyba matce nie będziesz podbierał?  
– Nie wystarczyłoby tego, co matka ma. – Janek roześmiał się. – Białas nam sprzedał bańkę.

– A ojciec wie, że masz w piwnicy arsenał?

– Ojciec, ojciec, co mnie pan ciągle ojcem straszy? Ja już jestem dorosły. Mam zresztą zamiar wstąpić do wojska, jak tylko nadarzy się okazja.

Redaktor Monsiorski roześmiał się.

– Może skończ najpierw naukę.

Janek poczerwieniał.

– We wrześniu napisałem do szkoły meldunek z prośbą o urlop.

– O co?

– O urlop. Bezterminowy. No tak. Wie pan, ile ja mam w ogóle obowiązków? Tego wszystkiego nie da się pogodzić! Szkoła do drugiej, od trzeciej do piątej udzielam lekcji, wieczorem prace domowe, w dodatku ojciec chce, żebym mu pomagał w piekarni, a jeszcze śpiew, gra na skrzypcach, działalność patriotyczna... nie mam czasu na szkołę... A tak w ogóle, to muszę już iść.

– Ba! – powiedział tylko pan Walerian.

Ledwie za Jankiem drzwi się zamknęły (wydoroślał chłopak!), do gabinetu wcisnął się pan Klaja w poplamionym błękitnym fartuchu, nadal wątyły i drżący, nieodmiennie epatujący swym błękitnym ołowicowym uśmiechem. Wsunął się przez półprzymknięte drzwi cicho, jak kot. Szkoda wielka, że drzwi nie lubił szeroko otwierać, a usta, owszem.

– No, co tam ciekawego?

– Panie redaktorze... ja już tyle lat u pana pracuję, no i bardzo dobrze mi jest, nie narzekam, ale właśnie tak sobie odkładałem pieniądze, ciulałem grosz do grosza i trochę się kapitalik uskładał, hm, hm...

Redaktor Monsiorski spojrzał na niego z uwagą, ale nic nie powiedział. Klaja chrząknął i mówił dalej:

– Tak sobie zawsze marzyłem, że jak mi zdrowie nie pozwoli tak dużo pracować i jak się trafi okazja, i jak się już ten kapitalik uzbiera...

– Przejdźże pan do rzeczy – zniecierpliwił się redaktor Monsiorski.

– ...no więc takim moim marzeniem było, żeby na stare lata stworzyć malutką odlewnię czcionek... – Zawiesił głos, ale pan Walerian nadal o nic nie pytał, tylko wpatrywał się w zecera. Klaja

wbił wzrok w podłogę i mówił cicho dalej: – Znalazłem lokalik koło kościoła Wniebowzięcia, wie pan, tam przy tych żydowskich sklepikach, pod schodami. Pomieszczenie niewielkie, ale nada się w sam raz. Z moją starą byśmy siedzieli razem i odlewali czcionki. – Uśmiechnął się zakłopotany. – Zawsze chciałem z nią pracować, a nigdy nie było okazji.

– Ręczny skład i odlew?

– Ręczny.

– W dzisiejszych czasach? Panie Klaja, nie zrobisz pan na tym żadnych pieniędzy. Tylko maszynowo...

– Wiem, panie redaktorze, ale ja nie dla pieniędzy. Ja marzenie takie miałem, żeby sobie ładne czcionki odlewać... bez pośpiechu, bo już mi sił do pośpiechu gazetowego brakuje, świat pędzi, ja nie nadążam, rozumie pan... Te materiały na jedynekę, to wszystko za szybko, a czcionki odlewać, koło starej siedzieć...

– I dalej chce pan... w ołowiu?

– No, jakoś ja tak już muszę w tym ołowiu.

– Może lepszy byłby interes, gdyby pan żołnierzyki ołowiane produkował...

– Panie redaktorze! – Klaja zatrząsł się z oburzenia.

– No, no, nie chciałem panu ubliżyć, tylko naprawdę zysk byłby większy.

– Ale ja nie dla pieniędzy...

Redaktor Monsiorski milczał przez chwilę, a potem westchnął.

– Dobrze, panie Klaja. Nie ukrywam, że będzie mi ciężej, jak pan odejdzie, bo, hm... dobrze się z panem pracuje, zna się pan na tej robocie i chociaż, hm... czasami na pana pohukiwałem, to...

– Niechże pan już nic nie mówi. – Zecer pociągnął nosem.

– No, ale chyba nie odejdzie pan tak od razu, co? Bo tych paru młodych trzeba by jeszcze podszkolić, poza tym będę musiał znaleźć kogoś doświadczonego na pana miejsce.

– Panie redaktorze, przecież bym po tych wszystkich latach nie zostawił roboty z dnia na dzień. Myślałem, że może od nowego roku? Ja bym sobie do tego czasu wszystko przygotował i sporządził katalog, wie pan, wzory czcionek, winiet i różnych zdobień. Taki katalog dla drukarzy i wydawców, żeby wiedzieli...



– Dobrze. Panie Klaja, to jest uczciwe postawienie sprawy, bo daje mi trochę czasu. Widzę, że pan wszystko przemyślał.

– No, no... – Klai zatrzęsa się broda, ale może to od ołowicy. Przy nim trudno było powiedzieć coś na pewno.

– Jak pan robi ten swój katalog, niech mi pan da jeden. Może i ja bym czcionki kupił?

– A przydałoby się panie redaktorze, przydało. Nie tyle ze względu na mnie, ile na gazetę, bo wszystko wysłużone, wybite, wytłuczone do niemożności... No to ja już sobie pójdę. Robota niby nie zając, ale...

I zniknął za drzwiami.

Pan Walerian pokręcił głową. Żeby aż tyle spraw w jeden dzień się pomieściło. Jaki pojemny dzień, choć krótki.

\* \* \*

Kiedy podporucznik Dąbski wracał do domu, z bramy przy Krzywej 1 wyszedł mężczyzna w kapeluszu i długim płaszczu. Podporucznik ukłonił mu się grzecznie.

– Dobry wieczór, panie redaktorze.

Pan Walerian uniósł dłoń do kapelusza.

– Dobry wieczór, panie hrabio. Już po służbie?

– Tak jest. Ledwie idę, taki jestem zmęczony.

– Bo i odpowiedzialność na panu ciąży wielka.

– Właśnie. Czasami się pod nią naprawdę uginam. – Podporucznik uśmiechnął się. – I ciągle mi coś nowego dokładają, tak jakbym miał mało na głowie.

Gałęzie drzew, czarne żyły na tle granatowego nieba, poruszały się lekko. Od czasu do czasu spadały małe postrzępione listki, których czerwonej barwy teraz nie można się było nawet domyślić. Pod stopami – suchy, jesienny szelest. Okna domów – prostokątne blaski na tle ciemnych murów.

– Mają do pana zaufanie. – Redaktor Monsiorski zakaszłał.

– Pan wciąż nie całkiem zdrow. Nie powinien pan w taką porę na dwór wychodzić.

– Nie, to nic. To od dymu. Lekarze mówią, że już wszystko dobrze. W redakcji dzisiaj nie kaszlałem wcale.

– Listopadowe wieczory... i ten zaduch wszędzie. Nie powinien się pan przemęczać.

Redaktor Monsiorski machnął tylko ręką.

– A cóż to nowego panu dołożyli?

– Dzisiaj się dowiedziałem, że mam być komendantem policji...

– O, to powinszować! Strach będzie się do pana odezwać.

– No wie pan? Przecież my tu prawie po sąsiedzku, a poza tym ja myślę, że przy odbudowie kraju musimy ręka w rękę iść, nowe władze polskie i prasa... A robi się niewesoło. Podobno wczoraj na wiecu w teatrze robotnicy poparli utworzenie Rad Delegatów.

– Tak, wiem. A w kopalni Renard zainstalował się uzbrojony oddział Czerwonej Gwardii. Mają broń, bo poodbierali Niemcom. Żądają od Rady Miasta pięciu tysięcy marek na utrzymanie.

– Myśli pan, że Rada im da?

Redaktor Monsiorski zastanawiał się przez chwilę.

– Myślę, że da.

– Żartuje pan. – Dąbski uniósł brwi.

– Rada będzie się bała wystąpień, więc da gwardii pieniądze, żeby dodatkowo nie prowokować robotników.

– Jezus Maria, w jakich my czasach żyjemy. Ledwie się wojna światowa skończyła, a już się szykuje rewolucja.

– A co gorsza, na wschodzie Ukraińcy wzięli Przemyśl. – Pan Walerian pokiwał głową.

– Odbity. – Dąbski machnął ręką. – Zresztą nam tutaj nie Ukraińcy ważni, tylko Niemcy.

Młody podporucznik nie miał racji. Politycy w Warszawie, Krakowie i we Lwowie kierowali wzrok niemal wyłącznie na wschód. Na zachód wzrok kierował tylko orzeł na polskim godle.

– Daj Boże, żeby spokój był – powiedział redaktor Monsiorski.

Dąbski pokręcił głową.

– Należy wykorzystać słabość Niemców, bo nie będą wiecznie na kolanach.

Pan Walerian spojrzał na niego pytająco, więc Dąbski wyjaśnił:

– Trzeba coś ze Śląskiem zrobić.

– Cóż my możemy ze Śląskiem zrobić, skoro nawet nie wiemy, co z nami będzie?

– Polacy już się tam organizują, powstają Rady Ludowe, sytuacja w miastach jest coraz bardziej napięta. Śląsk należałoby jak najprędzej przyłączyć do Polski.

– Śląsk do Polski? – Redaktor Monsiorski uniósł brwi. – Cały?

– Niecały...

– No to skąd dokąd?

– Hm... w tej chwili nie odpowiem panu na to pytanie, ale...

– Mnie się to wydaje niemożliwe...

– A rewolucja bolszewicka w Rosji wydawała się panu możliwa?

– Też nie.

– A widzi pan.

– Powiem panu, poruczniku, co mi mówi intuicja. Otóż, Niemcy, nawet przegrani, są dziesięć razy silniejsi niż wygrani Polacy. Lepiej, żebyśmy w euforii o tym nie zapominali.

Dąbski zmarszczył czoło.

– Pan może tak mówić jako cywil. Gdybym ja tak mówił, to byłaby zdrada stanu.

– Doceniam pana postawę. Ale boję się, że sami nie wiemy, czego chcemy, tak się zachłystujemy dzisiejszą sytuacją. Tymczasem gdzie jest ten nasz kraj? Gdzie są jego granice? Czy istnieją traktaty, które regulują, gdzie się Polska będzie zaczynać, a gdzie kończyć? A to rozbrajanie Niemców, z całym szacunkiem. Przecież oni oddają tylko starą broń. Więc my się zbroimy w to, czego oni nie chcą. To czego potrzebują, już dawno przerzucili na Śląsk.

– My potrzebujemy broni natychmiast. Wszystko się przyda. Chodzi o morale.

– Ja wiem. U nas zawsze o to chodzi.

– Więcej optymizmu, panie redaktorze, więcej optymizmu.

Dobre sobie. Redaktor Monsiorski zaniósł się kaszlem. Optymistami mogą być żywi, a nie umierający, pomyślał.

## Rozdział 2

# Obieranie kartofli

To nie było tak, że pan Walerian w ogóle nie zamierzał się oświadczyć. Nawet o tym poważnie myślał. Ale co z tego, kiedy wówczas, latem 1914 roku, wszystko sprzysięgło się przeciw jego ewentualnym planom matrymonialnym. Od razu po żałobie pani Jadwigi Korzeniec nie wypadało wyskakiwać z małżeńską ofertą. A potem sprawy potoczyły się tak szybko, że po pamiętnym dniu, w którym dokonano zamachu na arcyksięcia Ferdynanda, redaktor Monsiorski widział się z Jadwigą zaledwie kilka, no może kilkanaście razy, po czym go aresztowano i wywieziono do obozu jenieckiego.

Ale po kolei.

W lipcu 1914 roku pan Walerian dwukrotnie jeszcze szedł do rzeźni miejskiej. Był pewien, że jeśli gdzieś znajdował się klucz do rozwikłania tajemnicy śmierci Alojzego Korzeńca, to właśnie tam. A dokładniej, klucz ten dzierżył zarządca rzeźni, Eustachy Goździk, w swoich zakrwawionych dłoniach.

Podczas pierwszej wizyty pan Walerian nie znalazł dość odwagi, by wstąpić do środka. Stał na zewnątrz, niezdecydowany.

– Pan kogoś szuka? – zagadnął go przechodzący obok pracownik w poplamionym fartuchu.

– Nie. Rozglądam się tylko.

Masarz skinął głową, nic nie powiedział i zniknął za drzwiami. Pan Walerian za późno zrozumiał, że tamten natychmiast doniesie dyrektorowi, że ktoś niepowołany kręci się koło rzeźni. Chwilę później przez uchylone drzwi wyjrzały dwie głowy: owego pracownika i Eustachego Goździka. Redaktor Monsiorski odszedł

szybkim krokiem, ale był niemal pewien, że dyrektor nie tylko go dostrzegł, ale i poznał.

Pan Walerian doszedł do wniosku, że nie będzie się więcej sprawą morderstwa Korzeńca sam zajmował i ruszył do Zarządu Policyjnego przy Iwangrodzkiej. Ale rosyjska policja akurat się pospiesznie ewakuowała, ponieważ lada dzień oczekiwano wkroczenia Niemców do Sosnowca. Znajomy redaktora z cyrkułu, sekretarz komisariatu, pan Julian Bukko, wpuścił gościa do gabinetu. Siedziało tu trzech podpitych mężczyzn: policmajster Bocheński, komisarz Mazur, trzeciego zaś pan Walerian nie znał. Zanim gość mógł wyjaśnić, z czym przyszedł, sekretarz powiedział niepewnym głosem:

– No, my już, jakby to powiedzieć, niezbyt służbowo.

– Widzę, panie Julianie.

– Pan chyba rozumie, dlaczego tu siedzimy i pijemy wódkę...?

– Domyślam się.

– Aha, panowie się znacie?

– Pana policmajstra znam i pana komisarza również. Ale chyba nie mam przyjemności... – zaczął redaktor Monsiorski, ale nie dokończył.

– Pozwólcie, panowie, że was sobie przedstawię: pan redaktor Walerian Monsiorski z „Iskry”, pan Piotr Bławatskij, dyrektor komory celnej w Granicy. A właściwie powinienem powiedzieć, dyrektor komory celnej na dzień przed ewakuacją.

Skinęli głowami.

Policmajster Bocheński, zwalisty brodac, który dotąd siedział za stołem nieruchomo jak posąg, uderzył wielką dłoń w pierś i huknął tubalnie:

– A ja mam zaszczyt i honor być ostatnim policmajstrem Zarządu... Jak pan uważa, redaktorze... czy możemy panu w czymś pomóc, nawet jeśli pozabijało się od wczoraj pół miasta, o czym nam nic nie wiadomo?

– Nie, nie.

– Jeśli pan szuka policjantów chętnych do pracy, to przyszedł pan za późno. Ale jakby się pan chciał z nami napić na pożegnanie...

– Dziękuję, ale...

Redaktor Monsiorski zrozumiał, że rosyjska policja niczym się już nie będzie zajmować. Gdyby nawet próbował coś wytłumaczyć panu Bukko czy panu Bocheńskiemu, powiedzieliby mu na pewno „Niech pan z tym do nas przyjdzie po wojnie”.

Sekretarz Bukko nalegał z pijacką gościnnością:

– Niechże pan z nami siądzie chociaż na chwilę.

Redaktor Monsiorski usiadł.

– Napije się pan samogonu?

– Dziękuję, tak z rana to ja nie mogę.

– No cóż... wolnemu wola...

Rosjanie polali sobie po kieliszku. Bocheński otarł kąciki ust po wódce i rąbnął pana Waleriana w plecy, aż zadudniło.

– Oddamy Sosnowiec bez walki – powiedział i czknął tak głośno, że aż podskoczył na krześle. – Amunicję trzeba oszczędzać na później. Kto wie, jak długo potrwa wojna i jakie będą, ma się rozumieć, potrzeby.

– Oczywiście. – Redaktor Monsiorski odetchnął z ulgą. Wprawdzie nie załatwi swojej sprawy, ale zawsze to dobra wiadomość, że linia frontu nie będzie przebiegała przez redakcję.

– Tak nasze naczalstwo postanowiło. I trzeba przyznać, że to jest słuszne, bo szkoda, żeby się ludzie potracili od razu w Sosnowcu.

Tymczasem sekretarz Bukko próbował trafić widelcem ogórka na talerzu, ale ogórek wysliznął się, przejechał przez blat stołu, przewrócił brudną solniczkę i wylądował na kolanach Bławatskiego. Ten zaklął pod nosem, chwycił ogórka z obrzydzeniem, jakby to był karaluch i odłożył go na talerz.

– Ja mam najwięcej powodów do picia – mruknął Bławatskij pod nosem, tak jakby ruchliwość ogórka sprowokowała go do zwierzeń.

– Doprawdy? – Redaktor Monsiorski usłyszał tę skargę.

– A tak. Po pierwsze dlatego, że najwięcej myślę. A jak Rosjanin myśli, to na trzeźwo tego, co ma w głowie, nie zniesie. Im mądrzejszy, tym więcej pije, żeby móc sprostać... tym czarnym ptakom. A po drugie od niedawna jestem w takiej fatalnej kondycji medycznej, że czuję, jakby mi kręgosłup wchodził w brzuch, potrafisz pan to sobie wyimagować?

– Nie bardzo.

– No, ciśnie mnie tak, że nie mogę w krześle usiedzieć. I właśnie z powodu kłopotów z kręgosłupem lada dzień stracę narzeczoną.

– Polkę. – Bocheński spojrział na redaktora Monsiorskiego oskarżycielskim wzrokiem.

– Hm... nie chciałbym być wścibski... – zaczął pan Walerian, ale Bławatskij nie potrzebował zachęty.

– Dopóki mi kręgosłup w brzuch nie wchodził, to... no rozmawiamy jak mężczyźni, prawda? No więc, w tych sprawach bardzo dogadzałem narzeczonej, ale teraz nie mogę, tak mnie wszystko boli...

– To przykrość wielka...

– ...a ta ladacznica się ze mnie śmieje.

– Widocznie ma zbyt wygórowane potrzeby – wtrącił pan Bukko z widelcem w dłoni.

– No, ma, ma. Z łóżka chce cyrk zrobić i jakieś akrobacje mi każe wyczyniać...

– Niektóre Polki właśnie tym się charakteryzują... – zawyrokował Bocheński.

– A co ja jestem? Człowiek guma? Mężczyzna wąż? Czy ja się muszę huścić na żyrandolu jak małpa, żeby kobiecie dogodzić?

Nikt z siedzących przy stole nie umiał odpowiedzieć na te pytania.

Pan sekretarz znów skupił się na ogórku. Przytrzymał go lewą ręką, a prawą wbił w niego widelec. Uniósł zdobycz do ust i odgryzł połowę. Na stół ściekał sok i Bukko zaczął go nieudolnie ścierać rękawem.

– *Izwinitie* – mruknął, ale po chwili podniósł wzrok i usiłował skupić spojrzenie na twarzy pana redaktora.

– Mordę do talerza zbliż – doradził Bławatskij z troską w głosie.

Bocheński przypomniał sobie, o czym rozmawiali wcześniej i kontynuował wojenne wizje:

– *Wot*, wejdą Niemcy. My to mamy przewidziane w sztabowych planach. Teraz się trochę wycofamy, no i ten tego, mniejsza z tym... O czym to ja miałem... aha... no... Wejdą Niemcy. Oni was za pysk wezmą, ale niech się pan nic nie martwi, bo to się da przetrzymać.

Byleście tej waszej *niezawisimosti* znowu nie chcieli, bo wie pan, to wszystkich w całej Europie przeokropnie denerwuje. Cokolwiek by się gdzieś wydarzyło, wy od razu z *niezawisimostią* wyskakujecie. Dajmy na to w Bułgarii spadnie baba z drabiny, a już Polacy uważają, że to znakomity pretekst, by się o niepodległość upominać. – Zarechotał jak żaba. Pozostali zawtórowali.

Potem zaczęli się zastanawiać, czy wrócą po wojnie do Sosnowca, czy nie. Bławatskij powiedział, że zostanie w Rosji, bo tam kobiety są mniej zepsute. Pozostali stwierdzili, że wrócą. Najbardziej zdeterminowany był komisarz Mazur.

– Ja tu po wojnie przyjadę. Tylko się boję, że moje mienie zostanie rozgrabione. No, ale nie na darmo jestem policjantem, prawda?

– Nie na darmo – zawtórowali wszyscy.

Komisarz Mazur wyjął służbowy zeszyt z teczki.

– Spisałem cały swój dobytek, calusieńki. Prywatny dobytek. Nie mówię o dużych meblach, o nie. To znaczy, to też, niby, o, wpisałem tutaj, umywalka z marmurowym blatem, jedna sztuka, tak, ale proszę, o, proszę. – Przerzucił kilka kartek brulionu i zaczął czytać: – Czarna etażerka, jedna sztuka, krzesło dębowe wyplatane, jedna sztuka, jedno krzesło wileńskie, nie, przepraszam, wiedeńskie, czort z nim, lustro bez ramy z konsolą złożoną i blatem marmurowym, jedna sztuka... Rozumiecie, panowie? Wszystko spisałem, zaprotokołowałem w brulionie do przesłuchań, każdą jedną rzecz, którą tu zostawiam... – czytał dalej – ...wieszadło ścienne duże, wieszadło ścienne małe, taca drewniana, popsuta, jedna sztuka... A po co to spisałem? Po to, że jak wrócę, wszystko przeliczę, a jak czegoś nie znajdę, przekopię całe miasto! – Zaczął wymachiwać pięścią. – Całe to cholerne miasto przekopię, kamień na kamieniu nie zostanie, i wszystko, co jest moje, odbiorę. Nie pozwolę zagrabić dorobku całego życia. – Czknął głośno. – Nie trzeba mieć studiów tych no... prawicznych, żeby wiedzieć, jak ruchomy majątek zabezpieczyć. Należy dokładnie spisać każdą rzecz, znaleźć dwóch świadków, o patrzcie, podpisy świadków są, Eliaz Łazarowicz zamieszkały przy ulicy takiej to a takiej i Leon Zawadzki zamieszkały przy ulicy takiej to a takiej stwierdzają pod majątkową i osobistą odpowiedzialnością, że wszystko co tu spisał



komisarz Mazur, rzeczywiście do komisarza Mazura należy. Ha! Ja wróczę, zobaczycie, i jak czegoś nie znajdę w mieszkaniu, to takie zmajstruję *job twoju mać* śledztwo, jakiego w życiu nie zmajstrowałem w tym mieście.... Panom też radzę pójść za moim przykładem. Bo w czasie wojny wszystko się potrafi zawieruszyć...

Komisarz Mazur wymachiwał rękami, a na czoło wyszły mu krople potu. Wyczytywał wszystkie elementy swojego dobytku, chociaż pozostali już nie zwracali na niego uwagi i coś tam mamrotali do siebie.

Pan Walerian odszedł z niczym, a kiedy zamykał drzwi, komisarz wciąż krzyczał, że odbierze wszystko, co zostanie rozgrabione, a że zostanie rozgrabione, to nie ulega wątpliwości, bo jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś coś w Sosnowcu zostawił, a po powrocie odnalazł to na miejscu. Dlatego zaprotekował miseczki, mydelniczki i szczoteczki, słowem każdą jedną rzecz. Nie da się oszukać!

Pod koniec lipca Rosjanie opuścili Sosnowiec. Na wszelki wypadek tuż przed ewakuacją wysadzili most kolejowy na granicy, rozmontowali tory i uszkodzili elektrownię. Chcieli jeszcze koniecznie zniszczyć wodociągi, ale nie zdążyli. W upalną niedzielę, 2 sierpnia, w dzień Matki Boskiej Anielskiej, wkroczyli Niemcy. Nie padł nawet jeden strzał. No to i Rosjanie zaoszczędzili trochę amunicji, i Niemcy.

Nogi pana Waleriana, wbrew rozsądkowi, po raz drugi zawiodły go do rzeźni.

– Chciałbym rozmawiać z panem Goździkiem – oznajmił buńczucznie.

– Nie ma go.

– Aha, a kiedy go można będzie zastać?

– Nigdy.

– Nie rozumiem.

– No, nigdy. Już tu nie pracuje. Wyjechał.

– A wie pan gdzie?

– Nie zostawił adresu. Powiedział, że wyjeżdża do rodziny i wróci, jak się skończy ta zawierucha i sprawy się w mieście uspokoją. Co pan nie wie, że jak jest wojna, to wszyscy uciekają na wieś?

Niemcy szybko naprawili na kolei to, co Rosjanie zniszczyli i przy okazji zwężili tory, żeby można bez *przegrużki* wysyłać pociągi możliwie jak najdalej na wschód. Im dalej sięgały wąskie tory, tym szybciej dowoziło się żołnierzy na front. Wojna – poza wszystkim innym – jest motorem postępu. Front nie przebiegał zbyt blisko, bo Rosjanie nie tylko Sosnowiec oddali bez walki, ale wycofali się aż za Kielce, tak mądrze ich generałowie opracowali strategię. Pociągi z żołnierzami ciągnęły więc na wschód. Kiedy skład zatrzymywał się w Sosnowcu albo pod Sosnowcem, gładko wygoleni młodzieńcy wyglądali przez okna. Wówczas na nasypach jak duchy spod ziemi, znikąd, pojawiali się chłopcy. Biegali jak wygłodniałe szakale wzdłuż wagonów, wyciągali ręce i wpatrując się intensywnie w wybraną w oknie ofiarę, wołali głośno SZO-KO-LA-DE! SZO-KO-LA-DE! Niemieccy żołnierze śmiali się i niektórzy wyrzucali z okien przydziałowe tabliczki. Chłopcy pędzili wówczas ku zdobyczy i często dochodziło do bójek. Ten kto chwycił tabliczkę czekolady, wołał w stronę żołnierzy DANKE! DANKE! (bo wojna jest też impulsem do intensywnej nauki języków obcych) i na przykład czynił w ich kierunku znak krzyża, ponieważ tak robiły niektóre staruszki, widząc pociągi pełne higienicznych młodzieńców. Jeśli żołnierze pochodzili z Bawarii, w odpowiedzi czynili na sobie znak krzyża, bo nie odpowiedzieć na taki znak, gdy się jedzie na front, to byłoby proszenie się o nieszczęście. (Wojna wyzwala w ludziach najlepsze uczucia religijne). Czasem żołnierze nie wyrzucali niczego przez okna, bo już gdzieś wcześniej to zrobili albo sami sobie chcieli zostawić tabliczkę czekolady na pocieszenie – przecież niektórzy z nich też byli chłopcami, tyle że parę lat starszymi – więc nie rzucali niczego albo rzucali paczki sucharów, byle coś ofiarować.

No, ale bardzo przepraszam, nie za sucharami biega się wzdłuż wagonów i ryzykuje skręcenie kulasa. Przecież jeśli się woła po niemiecku *Szokolade*, to chyba jasne, że nie chodzi o suchary! Suchary na pewno mają jakąś inną, bardziej trzeszczącą nazwę. Problem w tym, że kiedy coś leci z okna pociągu, to nie od razu widać, co to jest, więc łowcy rzucają się tak czy owak. Tylko najbystrzejsi nauczyli się, jak w locie rozpoznawać suchary i nie biegli za byle czym. Jest jednak smutną prawdą, że w czasie wojny

nie da się uniknąć gorzkich rozczarowań, dlatego ten czy ów łapał suchary zamiast czekolady. A żołnierz, który suchary podarował, wyglądał przez okno i czekał na podziękowanie, które przecież mu się nie należało. „Zgiń przypadnij!” – złorzeczyło się wówczas żołnierzowi po polsku z anielskim uśmiechem, a Niemcy tego nie rozumieli. Myśleli, że to znaczy jakieś *danke sehr* albo niech cię Bóg ma w swojej opiece i uśmiechali się do dzieci w przekonaniu, że suchary wywołują bardzo humanitarne uczucia.

Potem pociąg ruszał i znikał.

Na początku wojny składy szły głównie na wschód. Ale im dłużej to wszystko trwało, tym częściej szły też pociągi na zachód. Tyle że wtedy żołnierze nie rzucali ani czekolady, ani nawet sucharów. Mogli sobie najwyżej bandażami porzucać, jednak nikt tego nie robił.

Składy jadące na zachód śmierdziały karbolem. Żołnierze, jeśli mieli szczęście, wracali w wagonach sanitarnych, jeśli go nie mieli – w wagonach kostniczych, a niektórzy w ogóle nie wracali, ponieważ zostawali na zawsze tam, gdzie padli. Na cmentarzach w niemieckich wioskach ustawiano symboliczne mogiły i ryto w solidnym kamieniu eleganckie napisy gotyckimi literami. *Unserm lieben Sohn zum Gedächtnis*, pisało się na przykład, że *ges. in Russland*, bo gdzie dokładnie, tego się nie wiedziało, a jeśli zginęło kilku chłopaków, to cała gmina robiła składkę na większą płytę. Wmurowywano ją w zewnętrzną ścianę kościoła, z nazwiskami poległych oraz stosowną inskrypcją: *Den Opfern des Krieges in Treue und Dankbarkeit gewidmet von der Heimatgemeinde*. Na wszystkich tablicach zawsze dodawano u spodu cytaty z Jana piętnastego trzynastego, czy jak to się tam mówi, że *Niemand hat größere Liebe denn die, daß er sein Leben läßt für seine Freunde*. Wojna wyzwała w ludziach bardzo kulturalne zachowania.

W 1914 roku nikt nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. W dodatku Piłsudski jakieś awantury szykował, a to się ludziom nie podobało. Z Niemcami się dogadał, i z Austriakami. Po co? Że niby Polska z tego ma być? Młodych werbował, żeby się z Rosjanami bili. Durni młodzi się zgłaszali, uciekali z domów, rodzice ich wyklinali, dyrektorzy ze szkół wyrzucali na zbity pysk. No, ale za co? Przecież oni o Polskę chcieli się bić. Ludzie, to żadnego sensu nie ma, żeby

do armii niemieckiej i austriackiej Polacy szli. Niemcy nie deklarowali przecież, że Polska powstanie, półgębkiem tylko coś przebąkiwali, bo potrzebne im było mięso armatnie, więc lepiej głupich Polaków poświęcić niż mądrych Niemców.

No jak, panowie Prusacy, będzie ta Polska, jak wygracie wojnę? Nie kręcić. Szczerze gadać. *Ah, ja*, wy nam nie dowierzacie? Polakom nie dowierzacie?

Niemcy w Zagłębiu nastali szybciej niż gdzie indziej, ale ugrzęźli pod Warszawą, więc po co się z nimi dogadywać? Czy oni carowi dadzą radę? Nie dadzą. Rosjan tylu było, że musieli wojnę wygrać. Niemcy o tym wiedzieli i dlatego pozalewali kopalnie. Gdyby się nie bali, że Rosjanie wrócą, toby kopalń nie zalewali, bo im też by się przydały.

A w ogóle, panie szanowny, jak żyć? Rosjanie strzelają do Niemców, Niemcy do Rosjan, a polskie budynki się rozlatują. W niektórych miastach po kilka razy Rosjanie i Niemcy to wchodzili, to wychodzili, a Polacy patrzyli i baranieli, nic z tego nie pojmując.

Młodzi bardzo już chcieli, żeby się Polska odrodziła. Karabin Niemcom można ukraść, bo broń mają dobrą. Ale żeby ktoś strzelać nauczył, to trzeba do Rosjanina pójść. Dogadać się można, a i przekupić łatwiej.

Pan Walerian z sympatii do Niemców raczej się wyleczył. Najpierw go wsadzili do aresztu ludzie z Polskiej Organizacji Narodowej. No nic, potrzymani, wypuścili i trochę spokoju było. Ale po paru miesiącach w redakcji pojawił się cenzor niemiecki, Georg Cleinow, i przyniósł pismo. Usiadł w fotelu i założył nogę na nogę.

– Co to jest? – zapytał redaktor Monsiorski.

– Deklaracja lojalności wobec władz. Proszę podpisać.

– Panie Cleinow, po co ja mam podpisywać taką deklarację, skoro ludzie Piłsudskiego są po waszej stronie? Chyba jesteśmy sojusznikami?

– Sojusznikami mogą być realnie istniejące państwa, a jak pan wie, nie ma takiego państwa jak Polska.

– Niemniej młodzi ludzie...

– Panie redaktorze, ja nie przyszedłem do pana na pogawędkę polityczną. Sosnowiec jest okupowany przez władze niemieckie,

które ja tutaj mam przyjemność reprezentować. Pan w swoich publikacjach na łamach gazety rozważa jakieś chimeryczne kwestie.

– Takie jak?

– Takie jak sprawa niepodległości Polski po zakończeniu wojny.

– Nie wiedziałem, że to zabronione, skoro...

– To co pan pisze, to mrzonki. Jest pan naiwny. I w dodatku uparty.

– A jeśli nie podpiszę tej deklaracji? – zapytał spocony redaktor Monsiorski.

– To proszę się spodziewać aresztowania.

Redaktor Monsiorski przestudiował powoli tekst oświadczenia.

– Przykro mi, panie Cleinow, ale niestety nie podpiszę.

– Niech się pan zastanowi.

Pot spływał redaktorowi Monsiorskiemu po czole.

– Nie muszę się zastanawiać. Nie podpiszę.

– Wie pan, jak wygląda życie w areszcie?

– O tak. Ja już siedziałem przed wojną w Piotrkowie, bo mnie wsadzili Rosjanie, teraz siedziałem w Sosnowcu, bo mnie wsadzili Polacy, więc myślę, że i Niemcy mnie muszą wcześniej czy później wsadzić.

– Niechże pan podpisze – cenzor poprosił niemal łagodnym tonem.

– Nie.

W drzwiach Cleinow odwrócił się raz jeszcze.

– Daję panu ostatnią szansę.

– Dziękuję, ale nie skorzystam – powiedział poblady pan Walerian.

Cenzor pokręcił głową.

– Jest pan durniem, Monsiorski.

– Mogę się z panem zgodzić...

– Niech pan podpisze...

– Nie.

Cleinow wyszedł.

Pan Walerian zawołał Bursztyna.

– Józef, jak mnie zaaresztują i wywiozą, zajmiesz się gazetą, słyszysz?

– Jakże to się zajmę?

– Jako redaktor odpowiedzialny, pod moją nieobecność będziesz wszystkiego pilnował. Uważaj na redaktora literackiego, żeby nie wyciął powieści w odcinkach.

– Bizukonta?

Mimo że w redakcji wszyscy wiedzieli, że Bizukont był wdową po Korzeńcu, używali tego pseudonimu w rozmowach między sobą. Dziennikarze wyczuwali też, że między redaktorem Monsiorskim a panią Korzeniec coś jest na rzeczy, ale nikt w redakcji tego głośno nie komentował.

– Tak, nie pozwól mu na to, jeśli możesz.

– Dobrze, obiecuję.

– I w miarę możliwości płać godziwie autorce, bo czasy ciężkie, a wiesz... ona wdowa... – Zacerwienił się.

– Oczywiście. Ale może jednak, Walerianie, twoje obawy... – Redaktor Monsiorski pokręcił głową.

– Cleinow mi nie daruje, zobaczysz. Poczul się upokorzony.

– Jeśli cię aresztują, zrobimy, co w naszej mocy, żeby cię jak najszybciej wypuścili, wiesz o tym. Poruszymy, jako dziennikarze, niebo i ziemię.

– Józef, ja cię proszę, nie wdawajcie się w żadne awantury polityczne. Pilnuj gazety.

\* \* \*

Koniec końców redaktor Monsiorski znalazł się w obozie jenieckim w Havelbergu. Są obozy lepsze i gorsze, ale rozchorować się można wszędzie. Sala dla jeńców, z długim rzędem łóżek, była słabo ogrzewana, a na rurze żelaznego piecyka można by gołym tyłkiem siadać, oczywiście gdyby ktoś był akrobatą. Wiatr wpadał przez szpary w nieszczelnych oknach. Dieta nie służyła wzmocnieniu organizmu. Chleb z kartofli, konfitury z buraków, kawa z jęczmienia. Wszystko udawało coś, czym nie było, nawet życie.

Najpierw zaczęło się szemranie w szczycie płuc. Jak strumyk szemrało i wyglądało na to, że być może wywiąże się niegroźne zapalenie, ale nie ma nic niegroźnego dla ludzi w średnim wieku w obozach jenieckich.

„Monsiorski! Do lazaretu!”. Dali mu workowatą, barchanową piżamę w biało-niebieskie pasy i położyli na żelaznym, kanciastym łóżku. Przyłożył głowę do poduszki, licząc na to, że w lazarecie będzie lepiej niż w sali jenieckiej, ale nic z tego. Tu też zgrzebna pościel, a poduszka twarda, wypełniona mielonymi trocinami.

W lazarecie wszystko cuchnęło lazaretem.

Pomimo osłabienia pan Walerian wstawał z łóżka i spoglądał przez zaparowaną szybę na plac apelowy, gdzie na wysokim maszcie powiewała chorągiew. Pocieszał się, że na froncie żołnierze mają dużo gorzej. Nawet smród znoszą gorszy, bo w najlepszym razie wszystko im śmierdzi łojem: tornister, podłogi w barakach i stopy, a w najgorszym – nic im już niczym nie śmierdzi.

Zaordynowano aspirynę. Nie pomogło. Zaordynowano więcej aspiryny. Też nie pomogło. Szemranie przeszło w chrobotanie, potem w rżenie.

„Kaszel suchy czy mokry?”. „Nie wiem”. „Niech pan zakaszle”. Spróbował. Przepona podrygiwała boleśnie. „To jest szczekanie, a nie kaszel” – mruknął lekarz.

Twarz paliła, wypieki wykwiwały na policzkach, wdała się gorączka, skakała po wariacku. Dwa razy dziennie wtykano pacjentowi rurkę z rtęcią do ust. Lekarz kazał pluć do błękitnej flaszeczki, kręcił głową, straszył groźbą krwotoków, przebąkiwał coś o przestrzeni międzybrowej. W końcu wydał wyrok. *Tuberculosis pulmonum*.

Przeniesiono jeńca Monsiorskiego do prawdziwej infirmerii. Dopiero tu polepszyły się jego warunki. Pod ścianą pomalowaną białą farbą olejną stało białe metalowe łóżko, w oknie wisały białe firanki, a przy łóżku stała biała szafka. Drzwi były białe, framugi białe i naczynia białe. A poza tym zainstalowano tu dużo za dużo metalu jak dla zdrowego człowieka: duża metalowa umywalka, niklowany kran. Światło elektryczne przebijające zza klosza wykonanego z mlecznego szkła również nie wróżyło niczego dobrego.

W październiku nastaly ciepłe dni i wtedy okno infirmerii przez kilka godzin było lekko uchylone. Po południu je zamykano, a kiedy wieczorem włączano światło, wokół bańki pod sufitem zaczynały fruwać biedronki. Pacjent Monsiorski leżał w łóżku na wznak

i widział, jak ogłupiałe owady obijają się o klosz, oblatują go z każdej możliwej strony, a potem znikają u góry, gdzie znajdował się mały otwór, przez który wpadały do środka. Chwilę później widać było przez mleczne szkło, jak latają jeszcze może minutę, może dwie, a w końcu nieruchomiały. Zawsze wpadały, zawsze potrafiły wcisnąć się do środka, ale nigdy nie potrafiły się wydostać. Pacjent Monsiorski obserwował ze smutkiem, jak na dnie klosza zbierało się coraz więcej ciemnych plamek.

– Proszę nie otwierać okien, bo ja nie mogę patrzeć, jak co wieczór w kloszu giną biedronki – powiedział któregoś dnia.

– Wietrzenie jest zapisane w regulaminie infirmerii – odparł sanitariusz. – Nie można z powodu kilkunastu biedronek zmieniać obowiązujących przepisów.

Lekarz niemiecki nie bardzo chciał się gruźlikiem zajmować, pomimo że składał przysięgę Hipokratesa. Zresztą o Polakach nic tam nie było.

Zgłosił się na ochotnika niejaki doktor Mojkowski, którego czytelnicy poznali już jako doktora toreadora. Przed wojną był lekarzem głównym Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Jego też internowano. Dowiedział się, że jeniec z Sosnowca, znany mu redaktor „Iskry”, zapadł na gruźlicę i bez porządnej opieki umrze. Niemieckiemu lekarzowi głównie chodziło o to, żeby się nie zarazić, i o to, żeby cały obóz nie zachorował na gruźlicę, bo to by rzucało złe światło na opiekę medyczną, a w dodatku powodowałoby problemy, więc jeśli jeniec – polski doktor – chciałby się pacjentem osobiście zająć, to proszę bardzo, ale w izolacji od otoczenia i przy jak najsurowszym zastosowaniu zasad higieny. Nie żałować formaliny ani kwasu karbolowego. Dezynfekować, choćby miało od smrodu nos urwać.

Pacjent Monsiorski leżał z gorączką i marzył o polskim chlebie. W chorych myślach obracał nieistniejący bochenek na wszystkie strony. Najmniej smaczna jest spodnia skórka, ta umączona. Od niej należy zacząć jedzenie świeżej kromki, żeby się jej jak najszybciej pozbyć. A potem zostają dwie najlepsze części: chrupka, przypieczona skórka i miękki, pulchny środek. Można najpierw zjeść skórę, żeby został sam środek albo odwrotnie. Świeży chleb najlepszy jest z samym masłem, albo z masłem, cebulą i solą, albo



ze smalcem i z cebulą. Kiedy pan Walerian był chłopcem, nigdy nie potrafił z piekarni chleba do domu przynieść w całości. Na ogół oddawał мамie bochenek bez skórki i ze stanowczo wyjedzonym wnętrzem, trochę tak, jakby kupił wydmuszkę. I wprawdzie mama burczała, ale niestety nic się w tej materii poprawić nie dało. Wystarczyło bochenek palcami przycisnąć i usłyszeć, jak pęka wypieczona skórka, a już palce ją po kawałku odrywały, a potem, kiedy się już dokonało wyłomu w integralności bochenka, następował szturm po ciepły jeszcze miąższ, mimo iż ojciec ostrzegał, że od ciepłego chleba można dostać skrętu kiszek.

– Jak pan tyle myśli o jedzeniu, to znaczy, że pan wyzdrowieje – powiedział kiedyś doktor Mojkowski.

– Nie myślę o jedzeniu. Myślę o polskim chlebie. Do obozowego jedzenia mam wstręt.

– Kolejny dowód na to, że pan z tego wyjdzie.

Rzeczywiście doktor Mojkowski wyleczył redaktora Monsiorskiego. Właściwiej byłoby powiedzieć „podleczył”, bo gruźlica to nie przeziębienie i w każdej chwili mogło się to źle skończyć. W końcu jednak uznano, że jak na potrzeby obozu jeniec Monsiorski był na tyle zdrowy, że mógł wykonywać proste, a niezbędne obowiązki. „Mocny pan jesteś jak koń”, powiedział z uznaniem zadowolony doktor toreador.

Pan Walerian napisał szczery list do pani Jadwigi: że zachorował na gruźlicę. I napisał, że pewnie długo nie pociągnie, ale jeśli pociągnie, no to rzecz jasna, hm, hm... ale co to by miało za sens dla niej z chorym się wiązać. Pisali do siebie przez całe trzy lata, kiedy przebywał w Havelbergu. Tak jak przedtem nie było tygodnia, żeby nie pojawił się nowy odcinek powieści Klandestyna Bizukonta w „Iskrze”, tak teraz nie było tygodnia, żeby do redaktora Monsiorskiego nie dotarła koperta od pani Jadwigi. Wojna to ów szczególny czas, w którym mężczyźni i kobiety piszą do siebie wyjątkowo dużo listów. Oczywiście jeśli żyją. Dużo listów można też pisać do siebie w czasie pokoju, ale to zupełnie coś innego.

Ona zrozumiała jego obawy, ale szczególnie się nimi nie przejęła. Niech tylko wróci z obozu, niech się wojna skończy. Już ona nad nim popracuje. Podkuruje go, pojedzie z nim do sanatorium. Pisz sobie, pisz. I tak cię do ołtarza doprowadzę.

\* \* \*

Pan Walerian i doktor Mojkowski pełnili dyżur przy skrobaniu kartofli. Siedzieli nachyleni nad kotłami. Nogi w szerokim rozkroku, łokcie oparte o uda, a w dłoniach trzymali małe nożyki.

Krągły kartofel – najpierw brązowy, a po kilkunastu ruchach nożem żółciutki – frunie do kotła, bęc, a obierzyny skręcone w długi wiór spadają na rozłożone papiery.

Doktor planował, że po wojnie, kiedy wróci do Sosnowca, dokończy pracę nad dziełem o psychologii morderców. Medycyna jako taka już go specjalnie nie pociągała, natomiast od kiedy zaczął współpracować z policją w sprawach kryminalnych, rozwinął w sobie nową pasję i prowadził studia nawet w obozie. Jeśli nie miał akurat dyżuru przy obieraniu kartofli ani przy czyszczeniu latryn, ani nie pełnił służby w infirmerii, ślęczał nad swoim dziełem. Niemcy pozwalali mu pracować i sprowadzać specjalistyczne książki z Berlina, Hamburga i Tybingi, bo Niemcy cenią *Bildung* nade wszystko i nigdy by im nie przyszło do głowy, żeby komuś zabronić się rozwijać w *Bildungu*, choćby w obozie. A nuż jeniec wymyśli coś pożytecznego, co można będzie później wykorzystać? Poza wszystkimi innymi cechami Niemcy mają też i tę, że są dozgonnie oddani idei robienia czegoś lepszego z czegoś dobrego, czyli wierzą w rozwój. Skoro jeniec – polski doktor – miał czas i na obierki, i na ścierki, i na puszczenie krwi niedożywionym więźniom, to niechże sobie w wolnych chwilach studiuje, co chce.

Tymczasem jednak pan Walerian i doktor Mojkowski siedzieli na zydlach i obierali kartofle na obiad dla wszystkich tych legionistów, którzy po wojnie mieli zostać ważnymi generałami.

„Głuchowski” („Obecny!”), „Ostrowski!” („Obecny!”) i teraz *Scheisserei* trzeba wyczytać te nazwiska, które są nie do wyczytania, Orlicz-Dreszer! („Obecny!”), „Ryś-Trojanowski!” (Obecny!) „...i jasna cholera, Kolataj... Kolataj, Sss, Ssss... Sssyyyzeze, *Scheisse*, *Scheisse*, jak że cię zwą!?” „Kołataj-Srzednicki! Obecny!” „Jak można się tak nazywać! I to niedoszły *Polnische Wehrmacht! Mein Gott!*”

Wszyscy przyszli generałowie uzależnieni byli tego dnia od kartofli obieranych przez redaktora i doktora.

Zaprzyjaźnić się z doktorem medycyny nie jest wcale łatwo. Bo jak się pozbyć nieprzyjemnego wrażenia, że lekarz patrząc na

człowieka, widzi w nim przede wszystkim obiekt studiów, jakiś mniej lub bardziej zajmujący przypadek? Z drugiej strony, trudno nie chcieć zapytać zaprzyjaźnionego medyka o swoje dolegliwości, ot tak, przy okazji, co z kolei wzbudza poczucie winy, że medykowi zawraca się głowę. A jeśli człowiek o nic nie pyta, to go doktor tym uważniej obserwuje. Z tego błędnego koła nie ma wyjścia. Oczywiście jeszcze gorzej, niż przyjaźnić się z lekarzem, byłoby ożenić się z lekarką. Bo wyobraźmy sobie na przykład taką sytuację... albo lepiej nie. To już naprawdę z dwojga złego lepiej ożenić się z pisarką.

Nad kotłem z ziemniakami doktor i redaktor prowadzili dyskusję o istocie zbrodni.

– Więc uważa pan, że zawsze istnieje motyw? – zapytał redaktor Monsiorski.

– Zawsze. Na ogół bardzo racjonalny. Zbrodnia może być na przykład aktem zemsty za inną zbrodnię. Albo służy ukryciu wcześniejszej zbrodni. Albo jest wynikiem chciwości... Tudzież próbą sprawdzenia, czy policja poradzi sobie z zagadką...

Redaktor Monsiorski zaoponował.

– Podchodzi pan do tego, doktorze, jakby śmierć była abstrakcyjnym rebusem. Nie można jednak zapominać, że morderstwo w swej najgłębszej istocie to nie akt matematycznej kalkulacji, ale przede wszystkim akt agresji.

– W ten sposób niczego byśmy nigdy nie wyjaśnili. Agresja leży w ludzkiej naturze. Od zawsze. Koniec kropka. Powiedzieć, że morderstwo jest aktem agresji, to powiedzieć, że zabijanie to bycie człowiekiem. – Doktor Mojkowski nie zamierzał ustępować.

Pan Walerian podniósł głowę. Obierki z półskrobanego kartofla zwisały smętnie.

– Czy pan nie jest czasem zwolennikiem tego nowego kierunku w medycynie... w psychiatrii, no wie pan, to się szerzy głównie w Wiedniu... coś jakby współczesna forma oczyszczenia duszy...

– Psychoanaliza?

– Tak się to nazywa?

– Chodzi panu o Freuda?

– O właśnie.

Doktor Mojkowski pokiwał głową.

– Psychoanaliza. Coś w tym chyba jest. Nie mogę powiedzieć, że jestem zwolennikiem tego kierunku, bo za mało na ten temat czytałem. Zyskuje coraz bardziej na popularności, ale to jeszcze o niczym nie świadczy...

– Mówi się, że to tajna nauka żydowska.

– Bzdury – skwitował lekarz.

– A wracając do agresji... jeśli się nie jest sadystą, panie doktorze, to niech mi pan powie, po co się oferuje obcina głowę? To znaczy, czy taki rodzaj zabójstwa może wynikać z czegoś innego niż wrodzone okrucieństwo?

– Jak najbardziej.

– Fetysz? – zaryzykował pan Walerian.

– Nie u nas. Na Borneo wśród łowców głów to tak, ale nie u nas. – Doktor Mojkowski wrzucił żółciutkiego kartofla do kotła. – Obcięcie głowy ofierze sugeruje po pierwsze, że się to umie zrobić, a po drugie, że sprawca jest człowiekiem w gruncie rzeczy psychicznie słabym, delikatnym, zasadniczo nienadającym się do popelnienia mordu.

Pan redaktor otworzył usta ze zdumienia. Po chwili zapytał:

– A nie jest wręcz przeciwnie?

– Błąd, panie redaktorze. Podstawowy błąd człowieka, który się nie zna na psychologii złooczyńcy.

– Jak to?

Doktor sięgnął po następnego kartofla.

– Proszę pana, dam taki przykład. Lubi pan ryby?

– Łowić?

– Nie. Jeść.

– No, raczej tak, chociaż nie jakoś szczególnie.

– A na talerzu woli pan rybę z głową czy bez?

Redaktor Monsiorski nie wahał się.

– Bez.

– Właśnie. A co pan robi, jeżeli, dajmy na to, wniosą panu w restauracji całego pstrąga na talerzu?

– Nie rozumiem.

– No... jak pan podchodzi do tego pstrąga? Obskubuje go pan z mięsa, tak jak jest, czy może odcina pan z obrzydzeniem głowę i odkłada na drugi talerz, odsuwa pan ten drugi talerz od siebie

i dopiero wtedy pan może spokojnie jeść pstrąga, kiedy pan go już pozbawił głowy i usunął ją z pola widzenia?

– Rany boskie, ma pan rację. Odcinam głowę, odkładam ją i nawet każę kelnerowi zabrać talerz z głową. Dopiero wtedy jem rybę, kiedy ją mam na talerzu bez głowy.

– Odcina pan głowę... A robi pan to dlatego, że ta czynność sprawia panu perwersyjną przyjemność, czy dlatego, że łatwiej pan sobie radzi z rybą bez głowy?

– Oczywiście, że łatwiej sobie radzę z rybą bez głowy. Ale jednak ryba to nie jest żywy człowiek i ja nie ucinam głowy żywej rybie.

– Po pierwsze pan nie jest mordercą. A po drugie, żywa, czy nie, to nie ma znaczenia. Gdyby ryba była żywa, tym bardziej chciałby pan, żeby głowa zniknęła z pola widzenia, bo ta głowa wytrącałaby pana z równowagi. A jak głowy nie ma, to problem natychmiast jest mniejszy. Łatwiej sobie z nim poradzić. Więc morderca ucina głowę nie dlatego, że jest bestią, tylko dlatego, że nią nie jest i łatwiej mu się... Ja to w swojej teorii typów kryminalnych już nawet nazwałem depersonalizacją.

– Depersonalizacją – powtórzył pan Walerian z uznaniem. – Trudne słowo.

– A tak. Widzi pan. I to jest właśnie przykład depersonalizacji, czyli zapewnienie sobie większego komfortu, że ofiara jest korpusem, a nie człowiekiem. Ot co.

Pan Walerian nie był do końca przekonany. Poza tym była jeszcze inna sprawa. Ktoś tak delikatny nie mógłby przecież pracować w rzeźni.

Zapytał jeszcze:

– Co takiego, pana zdaniem, czyni głowę tym szczególnym...

Doktor Mojkowski wbił ostrze noża w kartofel i wykroił oczko.

– Oczy. Moim zdaniem chodzi o oczy.

– Że patrzą z wyrzutem?

– To też. Ale nie tylko. Wie pan, te sprawy religijne. Że przez oczy dusza wylatuje i takie tam. Wyczytałem nawet, że u Hindusów są sekty, których członkowie nie jedzą niczego, co ma oczy.

– Nie jedzą oczu? Nie dziwię się.

– Nie to, że nie jedzą oczu. W ogóle wszystko co ma oczy, jest z definicji niejadalne.

– To niewiele im zostaje.

– Głównie owoce i warzywa. I korzonki.

Nadal obierali kartofle.

– Wystarczy?

Doktor Mojkowski zajrzał do kotła.

– A gdzie tam. Pół kotła nie ma przecież... – Podniósł wzrok. – Natarkowałoby się trochę tych kartofli, zrobiłoby się jakieś bliny...

Redaktor Monsiorski nie chciał jednak zmieniać tematu.

– Wie pan... z tą psychologią złoczyńcy to ciekawa sprawa...

– Z moich studiów wynika, że są dwa główne typy morderców. Typ spontaniczny, taki, który działa pod wpływem impulsu, i typ metodyczny. I oczywiście groźniejszy jest ten metodyczny.

– Tak, domyślam się.

– I jak się dobrze zastanowić, sosnowieckiej zbrodni na nasypie, hm... musiał dokonać typ metodyczny. To nie było morderstwo w afekcie.

– Tu też się zgadzam.

Wiele razy rozmawiali o tamtym przypadku, można powiedzieć, że sosnowieckie zbrodnie stanowiły główne pole zainteresowań doktora. W czasie tych rozmów pan Walerian ostrożnie powiedział, że tuż przed wybuchem wojny nawet doszedł do pewnych rozwiązań i wytypował mordercę, ale niestety nie miał żadnych dowodów, rosyjska policja uciekła, z nową okupacyjną nie było jak załatwiać starych spraw. A potem obóz... gruźlica... i sam pan widzi doktorze, sprawa utknęła w martwym punkcie. To znaczy nie można było skonfrontować podejrzanego z moimi domysłami.

Doktor Mojkowski wyciągnął z kosza dorodnego kartofla i obracał go w palcach lewej dłoni.

– Problem z metodycznymi zabójcami jest taki, jak dowodzą moje lektury spraw sądowych, że nie poprzestają na jednej zbrodni. Na ogół po pierwszej planują kolejne. I samo planowanie sprawia im największą przyjemność.

Pan Walerian nie mówił nigdy, kogo konkretnie podejrzewał o dokonanie zabójstwa, zresztą trzeba oddać doktorowi Mojkowskiemu, że nie pytał.

– Nie wydaje mi się, żeby w tej sytuacji mogło wchodzić w grę kolejne zabójstwo. Wie pan, doktorze, ja mam wrażenie, że to było morderstwo popełnione niejako przez przypadek, z wyższych pobudek... jakby... nastąpiła pomyłka.

– Pobudki pobudkami, ale nawet jeśli fakt zabicia człowieka daje władzę iluzoryczną, to ta iluzja jest dla niektórych bardzo pociągająca. Tamta osoba nie zakończyła zbrodniczej działalności, bez względu na to, z jakich pobudek zabiła po raz pierwszy. Oczywiście, o ile było to pierwsze zabójstwo.

No właśnie. Tego też redaktor Monsiorski nie wiedział.

Przez dłuższą chwilę skrobali kartofle w milczeniu.

– Mam już całą listę cech metodycznego zbrodniarza. – Doktor Mojkowski zawiesił głos, czekając, aż pan Walerian poprosi go o wymienienie kilku z nich.

– Tak?

Lekarz uniósł nożyk.

– Po pierwsze inteligentny. – Machnął nożykiem jak czarodziejską różdżką.

– Wykształcony?

– Niekoniecznie. Ale bardzo często tak. Inteligentny i dobrze funkcjonujący w społeczeństwie. Nie jakiś kloszard, rozumie pan...

Redaktor Monsiorski mruknął coś niewyraźnie, bo akurat nachylony wyciągał kolejnego kartofla.

– Po drugie, porządny, czysty, dobrze zorganizowany. Zresztą, jak pan widzi, wszystkie te cechy się ze sobą łączą.

– Tak, zauważyłem. Chociaż pozwoli mi pan jednak dodać, że moim zdaniem w tej regule są na pewno wyjątki...

– Wszędzie są wyjątki, panie redaktorze. Ja mówię o prawidłowościach, które mogą w przyszłości pomóc policji w pracy. Ale reguła nigdy nie zastąpi myślenia.

– Trudno się z panem nie zgodzić.

– Po trzecie, metodyczny morderca zostawia niewiele śladów, ponieważ nie wpada w panikę, a w każdym razie nie tak łatwo wpada w panikę jak przestępca przygodny czy działający w afekcie. Wie pan, o co mi chodzi?

– Tak. Wszystko lepiej przygotowuje.

– Właśnie. Przed i po. Uważam też, że każda kolejna zbrodnia jest przez niego precyzyjniej zaplanowana.

– Rozumiem.

– Jeśli na przykład zastaniemy ofiarę przywiązaną do krzesła i uduszoną, to proszę niech mi pan powie, czy dokonał tego morderca przygodny, czy metodyczny?

– Hm. Nie wiem. A to można wywnioskować?

– Oczywiście. Ten rodzaj morderstwa sugeruje zbrodnię przygotowaną i przemyślaną. Morderca bałaganiarz albo działający pod wpływem impulsu nie idzie do domu ofiary z kneblem czy sznurem. Rozumie pan?

– Chyba tak. Trudno szukać w mieszkaniu sznura czy knebla, podczas gdy ofiara próbuje walczyć albo uciekać.

– No właśnie.

– Ale co z odcięciem głowy? Poza tym wszystkim, co pan mówił wcześniej... Czy taki... akt... również sugeruje mordercę metodycznego?

– Można by od biedy uznać, że odcięcie głowy miało na celu utrudnienie identyfikacji.

– Nie, nie, w marynarce Korzeńca znaleziono dokumenty.

– Metodyczny morderca nie mógłby czegoś takiego przeoczyć. Chyba że z jakiegoś powodu chciał, żeby ofiara została zidentyfikowana. Chociaż nie można wykluczyć i tego, jeśli głowy nie było, że na nasypie leżał cudzy korpus z dokumentami Korzeńca. A Korzeniec gdzieś uciekł. Pomyślał pan o takiej ewentualności?

Pan Walerian pokręcił głową.

– Ależ pan ma wyobraźnię, doktorze. Przecież głowę później znaleziono.

– I zidentyfikowano jako głowę Korzeńca?

– Niechże pan już przestanie...

– Ja tylko chcę wykazać, jak bardzo pozory mogą być mylące. Przecież bardzo często chodzi o to, żeby policja podążała błędnym tropem. – Doktor Mojkowski wzruszył ramionami.

– W tym przypadku policja nie podążała żadnym tropem, bo głównie zajęła się ewakuacją samej siebie w głąb Rosji.



– No tak. W efekcie czego my siedzimy w Havelbergu nad kotłem... A wie pan, u mnie w domu był specjalny stołeczek do obierania kartofli. U pana też?

– Też.

Znowu milczeli przez chwilę. Wreszcie doktor Mojkowski powiedział:

– Niech mi pan wierzy, morderca Korzeńca ma już na oku kolejną ofiarę.

Redaktor Monsiorski obracał w lewej dłoni kartofla, by się do niego wygodniej przyłożyć z nożykiem.

– Ciekawe, kto to może być.

– Ciekawe – zgodził się doktor.

– I czy można temu jakoś zaradzić.

– Siedząc w obozie jenieckim nad obierkami? Szczerze wątpię.

Po każdej takiej rozmowie redaktor Monsiorski sporządzał notatki, ponieważ uważał, że kiedyś w przyszłości kryminologiczno-psychologiczna wiedza doktora Mojkowskiego może się okazać przydatna.

## Rozdział 3

# Panna Izabela i bolszewicka rewolucja

Wróćmy do 11 listopada 1918 roku, bo to przecież nie był taki dzień jak każdy inny.

Pan aptekarz przeszedł szybko na drugą stronę ulicy, zauważył bowiem, że pod jednym ze sklepów, na drewnianej skrzynce, stał chudy mówca w taniej marynarce z szerokimi wyłogami i wystrzępionym kołnierzem. Otaczało go kilkanaście osób.

– Zwracam się do ludzi myślących! – wołał człowiek na skrzynce zachrypniętym głosem. Oczy błyszczały mu nienaturalnie. – Nie zwracam się do durniów! I stawiam takie pytanie! Kim są ci, którzy podburzają robotników? Kim są ci, którzy każą motłochowi krzyczeć: „Precz z Polską!”, „Precz z burżuazją!”, „Precz z armią!”. Wiecie? Tak! Wiecie, o kim mówię! O nich mówię! Mówię o Trockich-Bronsteinach! Mówię o Radkach-Sobelsonach! To oni wpędzili naród rosyjski w ruinę! To oni pograżyli go w chaosie! I kto wie, ile minie lat, ile minie dziesiątek lat albo wieków, zanim naród rosyjski się otrząśnie! A czy wiecie, dlaczego te Wienzichery i Perle tak uczyniły? Dlaczego? Tak! Macie rację! Słyszę was! Bo chcą wszystko sami zagarnąć! Bo chcą każdego zniewolić, a u nas pod płaszczykiem ogólnoludzkich haseł pragną stworzyć Judeo-Polonię!

– Upuścić bolszewickiej juchy! – zawołał ktoś w grupie słuchaczy.

– Słusznie! – zgodził się zachrypły orator. – Nie wierzcie w demagogię czerwonego sztandaru!

Pan aptekarz wiedział, gdzie jest jego córka, która mogła wyjść za sprzedawcę pierzyn z Zawiercia, a tymczasem uciekła do Petersburga z bolszewikiem. Ale nikt w jego miasteczku tego nie wiedział i nie daj Boże, żeby sprawa kiedykolwiek wyszła na jaw.

W zasadzie pan aptekarz zgadzał się, że sami, panie dzieju, z żydostwem sobie nie poradzimy. Przydałoby się jakieś prawo stanowiące, że pierwszeństwo w Polsce mają Polacy, że na przykład nie może żyd być burmistrzem...

– Dzień dobry... Żonę pan zgubił?

Przechodzień, którego pan aptekarz znał, ukłonił się i wyrwał go na chwilę z zamyślenia.

– A co mi żona – powiedział buńczucznie pan Hieronim, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

...ani prezydentem, że nie może być za dużo żydów w radzie, nawet jeśli w mieście stanowią oni większość... polscy przedsiębiorcy powinni jakoś wypchnąć żydów z gospodarki, bo to akurat prawda, że jak się młodzi żydzi spotykają, to od razu pachnie bolszewickim spiskiem... a z tego, co się ostatnio czyta o rosj... mój boże mój boże... gdzie ta izunia pojechała. marznie tam gdzieś. czyta się, że zwykle polano kosztuje osiem rubli bodajże, więc mało kto pali w piecach, tylko w paltach siedzą. dobrze, jak futra mają, ale kto będzie ryzykował siedzenie w futrze, od razu go za kułaka wezmą, rozstrzelają, kolbą w łeb dadzą, futro zabiorą. jak dym z komina leci, to znaczy, że na polana ich stać, więc palić w piecu strach, w paltach w zimnych izbach wszyscy siedzą. i czym się tu rozgrzać, jak funt herbaty ponad sto rubli kosztuje. podobno nawet mleka w miastach nie ma, dostarczają rozcieńczone raz na dwa tygodnie i butelka stoi dziesięć rubli. szynka u spekulanta poniżej tysiąca nie schodzi, czyta się też, że zamiast chleba wydają głodującym owies, i jeszcze w kolejkach trzeba stać. głupie jajko po pięć rubli sprzedają. grosz do grosza uzbiera się kokosza. durne kury nawet nie wiedzą, że w rosj złote jajka znoszą. kury są fałszywe. z tymi małymi oczkami. kiedy moja siostra była mała, to ją dwie kury napadły na podwórku i podziobały. za nic. patrzyła na nie uśmiechniętymi oczami, a te cholery huzia na nią. grosz do grosza uzbiera się. czarna mąka ze sporyszem ponoć stoi ponad dwadzieścia rubli za funt, worki po osiemset rubli sprzedają, koniny zepsutej już nawet nie mają, bo wszystkie konie wcześniej zżarły, tylko śmierdzące śledzie im zostały funt psiego mięsa chodzi jakoś po dwadzieścia rubli a ostatnio rzekomo nawet zaczęli myszy sprzedawać po dwa ruble

za jedną i głód taki że niektórzy jedzą skórzane rękawice bo już nic innego nie mają ale czy to prawda jest kto to wie. może izunia przy tym bolszewiku się lepiej ma ale od kiedy matka zabroniła jej pisać do domu nic a nic nie wiadomo co się z nią dzieje. tyfus podobno szaleje przecież tyfus nikogo nie oszczędzi nie patrzy czy ktoś bolszewik czy nie leków żadnych też nie mają chyba że dla swoich coś...

– Hieronimie!

Z drugiej strony ulicy zawołała go żona. Od kiedy córka wyjechała, pani Maria w jeden miesiąc postarzała się o dziesięć lat i nie lubiła, kiedy mąż wychodził z domu. Czuła się w miasteczku niepewnie i coraz częściej mówiła, że powinni wyjechać gdzieś daleko, może nawet za granicę, bo wcześniej czy później ludzie się dowiedzą...

Pomachał do niej ręką i chciał przeciąć ulicę, a tu, trach, ledwie zszedł z trotuaru na bruk, uderzył w niego automobil. Pan Hieronim runął jak rażony gromem. Dlaczego się nie rozglądał, dlaczego był tego dnia tak nieuważny? Czy to ma sens, w tak długo wyczekiwany dzień odzyskania niepodległości wpaść pod automobil?

Pani Maria krzyknęła i ruszyła ku mężowi, a ludzie dotychczas słuchający uważnie człowieka na drewnianej skrzynce obrócili się, zaczęli coś wołać i zmierzać w kierunku automobilu, bo to jednak było znacznie ciekawsze niż abstrakcyjne sprawy demagogii czerwonego sztandaru.

Kierowca otworzył drzwiczki i wyskoczył. Z drugiej strony wysiadła poblada kobieta. Oboje podbiegli do pana Hieronima, coś wołali do niego, ale on się nie ruszał.

Nie ma się co dziwić.

Z tego nie mogło wyniknąć nic dobrego.

– Zlinczują nas – powiedziała młoda kobieta, patrząc z przerażeniem na nadciągających mężczyzn wygrażających laskami i kobiety wymachujące parasolkami.

\* \* \*

Tymczasem w jaskini lwa nastąpiło wczesne popołudnie, słabe piotrogrodzkie słońce świeciło w okno, a panna Izabela robiła sobie

oraz Mikołajowi herbatę. Była dopiero w piątym miesiącu ciąży, ale już poruszała się ciężko, z ostrożnością.

– No i macie teraz tę waszą niepodległą Polskę – powiedział Krylenko, odbierając filiżankę z jej rąk. Był w mundurze, ponieważ musiał jeszcze tego dnia wyjść w pilnych sprawach do sądu. Zresztą zajmowały go wyłącznie pilne sprawy, a to w Piotrogradzie, a to w Moskwie.

– Ciekawa jestem, co w domu słyhać. Miałam dzisiaj bardzo zły sen.

– Eh, sny...

Wtedy, w czerwcu 1914 roku pociąg nie pojechał przez bezkresną równinę. Na dworcu okazało się, że Krylenko wcale nie wybiera się do Petersburga.

– Mówiłeś, że wyjeżdżasz do Petersburga – powiedziała zdumiona. – Okłamałeś mnie...

– Tak... Ale co bym zrobił, gdybyś na mnie doniosła? – Milczał przez chwilę. – Jadę do Szwajcarii. Do Petersburga również, później. Najpierw muszę załatwić sprawy w Bernie... Ale moja propozycja jest aktualna.

– Propozycja? – Zawiesiła głos.

– Zaproszenie.

– Przecież nie mam nawet wizy do Szwajcarii...

Machnął ręką.

– Paszport masz?

– Mam.

– Wizę dostaniesz od ręki na granicy.

Wahała się tylko chwilę. Skoro już przyszła na dworzec, równie dobrze może jechać do Szwajcarii.

Rozmawiali o wszystkim. O siłach duchowych nowoczesnych społeczeństw, o dążeniach i osiągnięciach ludzkości, o tym, że są sprawy ważne, ważniejsze i najważniejsze, więc należy umieć poświęcać drobiazgi i skupiać się na całości obrazu. Mówili też o tym, że biedacy mieszkają w nieopalonych norach i że tak dalej być nie może. Nawet o Bogu rozmawiali. Boga nie ma, mówił Mikołaj. Ja też czasami wątpię w jego istnienie, mówiła panna Izabela. Ale Mikołaj kręcił głową. Wątpienie nie wystarczy. Wątpienie w Boga jest w swej istocie wiarą w Boga, podobnie jak

wiara w Boga zawiera w sobie wątplenie, gdyż wiara i wątplenie nie są przeciwieństwami. Są swoim koniecznym dopełnieniem.

– Mikołaju, zawsze się zastanawiałam, gdzie się tak dobrze nauczyłeś języka polskiego.

– Kończyłem gimnazjum w Lublinie. Nawet dostałem złoty medal wzorowego ucznia. – Roześmiał się.

– W Lublinie?

– Mój ojciec był tam urzędnikiem. Zesłali go z guberni smoleńskiej, z całą rodziną, bo nie był prawomyślny... Ale na studia pojechałem do Petersburga.

– I nie chciałeś tam zostać?

– Nie mogłem.

Spojrzała na niego.

– Wydalono mnie. Właściwie to najpierw mnie przez jakiś czas śledzono, potem aresztowano, a w końcu wyrzucono z miasta.

– Za działalność polityczną?

Skinął głową.

– Za działalność. Za przekonania. Za przynależność do partii socjaldemokratycznej. I zgadnij, gdzie mnie zesłano?

– Na Sybir?

Roześmiał się cicho.

– Nie. Do Lublina. Bo tam było moje miejsce stałego zamieszkania. I to oznaczało, że policja mogła mieć nade mną nadzór. Szpicle nadali mi nawet pseudonim. „Mały”.

Nic nie powiedziała, więc dodał sam:

– W sumie mieli rację. Wysoki nie jestem.

– Potem już zostałeś w Polsce? – drążyła temat.

– Nie całkiem, bo jeszcze wracałem do Petersburga, tylko musiałem sobie wyrobić zezwolenie na czasowy pobyt. Chciałem złożyć egzaminy końcowe z literatury i filozofii. – Wzruszył ramionami. – Później studiowałem prawo. Ale musiałem regularnie wracać do Lublina i cały czas mnie śledzono. Długo nie mogłem znaleźć pracy.

– Bo byłeś podejrzany?

Przytaknął.

– Szkoły państwowe nie chciały mnie zatrudniać. Dyrektorzy się bali. W końcu dostałem posadę w gimnazjum handlowym Vetterów,

ale przepracowałem tylko rok, bo kiedy carska policja zaczęła szykanować dyrektora, zwolnił mnie. Potem zatrudnił mnie Kunicki w swojej szkole. Matematyk. Radykał. Postępowiec. Złego słowa nie mogę na niego powiedzieć. Pozwolił mi nawet zorganizować uczniów i prowadzić odczyty. Ale zasadniczo uczyłem języka rosyjskiego i literatury.

– Tak jak później w Sosnowcu?

– Tak.

– I uczniowie za tobą przepadali?

– Chyba mnie lubili.

– Jestem pewna! – zawołała. – Ale dlaczego przyjechałeś właśnie do Sosnowca?

– Bo z Lublina miałem za daleko, żeby się regularnie spotykać z Leninem. On był wtedy w Krakowie, więc musiałem przenieść się jak najbliżej, na samą granicę carstwa. Czyli do Sosnowca. Pewnie starałbym się wcześniej o możliwość opuszczenia Lublina, ale i tam miałem zadanie. Lenin polecił mi przygotowanie drogi przerzutowej przez granicę z Krakowa do Petersburga i Moskwy. Po drodze były Lublin i Chełm. Tamtędy szły nasze przerzuty. Więc mój pobyt tam był organizacji na rękę. Dopóki nie okazało się, że trzeba mnie przenieść do Sosnowca... A potem to już wiesz...

– Wiem? – Roześmiała się. – Okazuje się, że nic nie wiem i nic nie wiedziałam. Nikt o niczym nie miał pojęcia.

– To i dobrze, to i dobrze... – powiedział w zamyśleniu.

W Bernie uczestniczył w Konferencji Przedstawicieli Zagranicznych SDPRR. Do Petersburga wrócili latem 1915 roku, tyle że miasto nazywało się już wówczas, na złość Niemcom, Piotrogradem.

Spotkał Mikołaj przyjaciela, którego nie widział kilka lat, a ten do niego od razu: „Polaczkę sobie przywiozłeś? *Wot, durak*. Do czego ci ona? Rozejrzyj się, Mikołaj. Zobacz, jakie u nas piękne kobiety. Polaczka będzie zawsze fochy stroić. Będzie się wywyższać. Pani ci potrzebna?”. „Nie wszystkie Polki są takie”. „Każda Polaczka w Rosji to Maryna Mniszchówna. Ledwie granicę przekroczą, chcą władzy. Kiedyś wspomnisz moje słowa”. „Nie byłeś w Polsce, nie gadaj”. „A ty byłeś i głupszy wróciłeś, to co warte takie wyjazdy?”.

W 1916 roku Mikołaja aresztowano.

– Co ja mam ze sobą teraz zrobić?

– Czekaj na mnie. Moi przyjaciele ci pomogą.

Skierowali go na front. Chorąży Krylenko na froncie, a Izabela w Piotrogradzie.

W lutym 1917 roku wrócił.

– Co się stało?

– Nic, nic. Wszystko dobrze. Rewolucja.

– Mikołaj! Czy ty będziesz wreszcie w domu? Bo ja tu zwariuję.

– Będę! Ale najpierw walka. Teraz nadszedł moment, na który tak długo czekaliśmy. Jestem sekretarzem komitetu partyjnego pułku.

W marcu został sekretarzem komitetu partyjnego dywizji. W kwietniu był już sekretarzem 11. Armii Frontu Południowo-Zachodniego. Izabela niemal nie widywała go. Z ramienia frakcji bolszewików został delegatem I Ogólnorosyjskiego Zjazdu Rad. Zaczęła się w tym wszystkim gubić.

– Kim jesteś teraz, Mikołaj?

– Członkiem Ogólnorosyjskiego Komitetu Wykonawczego.

– A teraz kim?

Był czerwiec 1917 roku.

– Teraz jestem członkiem Biura Ogólnorosyjskiej Organizacji Wojskowej.

Przyszła prawdziwa rewolucja i został członkiem Piotrogradzkiej Rady Wojskowo-Rewolucyjnej.

Pewnego dnia siedział w mundurze przy biurku i z zafrasowaną miną przeglądał stos papierów. Ona wyglądała na spokojną do niedawna ulicę. Okno było zamknięte, bo z dalszych przecznic, tam gdzie podpalono kilka domów, dochodził swąd dymu. Słysząc było przytłumioną kanonadę. Czerwone flagi zwisały na deszczu, a gdy od czasu do czasu błysnęło słońce, odbijały się w kałużach. Na rogu ulicy stał jakiś żołdat i skubał słonecznik. Kiedy widział kobiety przemykające chyłkiem ze spuszczonej głowami, zakutane w szare chustki, jedną ręką rozpinął w ich stronę rozporek, a drugą nadal wkładał ziarna słonecznika do ust i wypluwał pestki. Wszystko robił w milczeniu.

Panna Izabela chciała odejść od okna.

Nagle za rogiem pojawiła się jakaś wataha obdartusów.



Kopali we wszystkie drzwi. Zakutana starucha biegła za nimi i podjudzała: „Zabijcie wszystkich!”. Byli uzbrojeni, ale nie w jakiś logiczny sposób. Każdy z nich był po prostu obwieszony, wręcz objuczony ponad ludzką wytrzymałość szablami, karabinami, nożami, kordzikami, po kilka sztuk wszystkiego. Z tego powodu nie mogli się zbyt szybko przemieszczać, ale i tak nie oddaliby ani jednej sztuki uzbrojenia ze swoich osobistych arsenałów. Najchętniej mieliby po dziesięć rąk i w każdej broń: a to do strzelania, a to do sieczenia, byle móc więcej naraz bić i zabić.

– Mikołaj! – zawołała przerażona panna Izabela. – Jacyś uzbrojeni ludzie idą ulicą, kopią w drzwi! Zaraz będą u nas!

Wstał od biurka. Podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Jego ludzie, pomyślała. Właśnie znaleźli się pod ich domem i zaczęli łomotać.

– Nie wychodź do korytarza – Mikołaj rzucił krótko. Panna Izabela zamarła przy oknie.

Mikołaj otworzył drzwi na oścież.

– Co to za hałas? Kogo tu szukacie? – zapytał srogim tonem.

Na widok munduru członka Rady Rewolucyjnej stracili pewność siebie.

– Wrogów! Wrogów ludu szukamy! – krzyknął człowiek, który stał z przodu i najmocniej kopał w drzwi. Żyły nabrzmiały mu na czerwonej szyi tak, że omal nie pękły. Wargi miał spierzchnięte od wrzasku i od chłodu na dworze. Dyszał ciężko.

W korytarzu unosił się smród taniego samogonu.

– Tu ich nie znajdziecie – powiedział Mikołaj spokojnie, chociaż pobladł. – Jestem członkiem Rady Rewolucyjnej.

Poznali swojego. Choć nawet wtedy jeszcze, jak psy, które nie chcą przestać szczerzyć kłów, skoro już raz zaczęły, nie do końca ustępowali.

– Skąd my to mamy wiedzieć? – zawołał bełkotliwym głosem stojący z tyłu karzeł, który dzierżył czerwony sztandar. Sztandar był mokry i wyglądał jak brudna szmata na kiju. Karzeł, jako jedyny, nie był obwieszony bronią. Nie dałby rady jej udźwignąć. Miał za to na głowie czarną papachę i przez to wydawał się nieco wyższy.

Mikołaj wyciągnął z kieszeni jakiś oprawny dokument i pomachał im przed oczami.

– Który z was gramotny? – zapytał.

Nastała cisza.

– My niegramotni – powiedział cicho ten z przodu.

– Do mnie się mówi, towarzyszu komendancie – syknął Mikołaj i złapał go za kłapy brudnego kubraka.

Pozostali cofnęli się o krok. Zapadła cisza. Panna Izabela dygotała ze strachu.

– My wszyscy niegramotni... towarzyszu komendancie – powtórzył ten z przodu.

Mikołaj puścił przywódcę watahy.

– Na tej ulicy nie ma wrogów ludu, rozumiecie?

Pokiwali głowami. Ci z tyłu zdjęli czapki i ukłonili się. Karzeł też ściągnął papachę z głowy.

– Tak jest, towarzyszu komendancie – wyrecytowali chórem jak w cerkwi.

– Idźcie już. – Machnął głową.

Zamknął drzwi, a oni bez słowa wyszli na ulicę.

Mikołaj podszedł do okna i wiódł za nimi wzrokiem, aż zniknęli za rogiem.

– Wiesz, co o nas mówią wrogowie? – zwrócił się do panny Izabeli. – Władza bezrozumnej czerni, która pcha Rosję w otchłań.

Nic nie powiedziała.

Nastały dni ciemne, gniewne i krótkie, dni obficie roszone łzami, dni zaryglowanych drzwi, trwoźliwie pogaszonych świec, dni rozpacz i wściekłości, dni dzikiego upojenia. Dni śmierdzących onuc i niesprzątanym odchodom na ulicach, dni ponure i puste, dni udręki i zagłady.

To nie był żaden początek lepszego świata. To był jego apokaliptyczny koniec.

Panna Izabela zrozumiała, że francuska Marianna z czerwonym sztandarem w dłoni, Marianna, w której ideały powszechnej równości uwierzyła kiedyś w Sosnowcu, tutaj ustąpiła miejsca jakiejś podłej babie. Na mokrych ulicach można zresztą było znaleźć ulotki przedstawiające karykaturę zawszonego, bezzębego babska z drzewcem sztandaru w chudej dłoni. Za rozrzucanie takich ulotek groziła kula w łeb. Nawet strach było na nie patrzeć, przejść koło nich strach, zdeptać w kałuży też strach.

– Mikołaj, a to wszystko, ten rozlew krwi, czy to jest tak, jak miało być? Czy to jest konieczne?

– Konieczne. Niestety, konieczne.

Znalazł się w składzie pierwszej Rady Komisarzy Ludowych.

– Czym ty się zajmujesz, Mikołaj?

– Nic się nie martw, ja jestem w Komitecie do spraw wojskowych i morskich.

– Jakże się mam nie martwić?

W listopadzie przyszedł do domu i był wyraźnie podekscytowany.

– Co się stało?

– Wyznaczono mnie na Najwyższego Naczelnego Dowódcę Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej – powiedział.

– Czyli ministra obrony? – upewniła się.

Roześmiał się.

– Tak. Po waszemu to by tak było.

Od marca 1918 roku organizował sądownictwo. A ona zaczęła się niepokoić coraz bardziej. O tych sądach chodziły różne słuchy. A pod koniec sierpnia, kiedy wrócił wieczorem do domu i zataczał się ze zmęczenia, powiedziała mu:

– Jestem w ciąży.

– Jak to? Na pewno?

Uśmiechnęła się lekko.

– Na pewno.

Spojrzał na jej brzuch podejrzliwie, tak jakby już mógł być zaokrąglony.

– Ale jak to? Jakże to... że zaszłaś w ciążę. Kiedy?

– No, wtedy... Mikołaj, no przecież wiesz... w pierwszy dzień lata.

Usiadł na krześle.

– A... no wtedy. – Głos mu zmatowiał.

– Pamiętasz, ja nie chciałam...

– Tak, tak, pamiętam – powiedział całkiem już zgasłym tonem.

– No i mówiłam ci... Ale ty...

– Tak, pamiętam... – Wstał z krzesła zirytowany. – Ale czemu ty dopiero teraz mi to oznajmiasz? A wcześniej ani słowa? – Potarł dłonią czoło.

– Nie miałam pewności.

– A.

– Nie chciałam ci zawracać głowy, dopóki nie wiedziałam na sto procent... – Patrzyła na niego badawczo. – Nie cieszysz się?

– Nie... to nie to... – Urwał. Przytulił ją, ale widać było, że jego myśli są gdzie indziej. – To nie jest tak, że się nie cieszę. Tylko, widzisz, to na mnie nagle spada... A może trzeba coś przedsięwziąć... w tej sprawie... nie chciałabyś?

Odsunęła się od niego.

– O czym ty mówisz?

– Bo gdybyś uważała, że chcesz... to nie jest jeszcze za późno... żeby urządzić wszystko...

Spoglądała na niego zdumiona.

– Ja nawet nie chcę wiedzieć, o czym ty mówisz... – I dodała cicho: – To niemożliwe.

– Ja wiem, ja wiem. Ale sama rozumiesz... W jakim świecie żyjemy, co się tu dzieje, ile ja mam państwowych obowiązków teraz i jak to ciężko będzie... – Nagle krzyknął: – Przecież ja literalnie cały kraj mam na głowie! – Opamiętał się jednak i dodał ciszej: – Rozmawialiśmy tyle razy, że ślubu brać nie chcemy, że wolność, że swoboda wyboru...

– A czy ja o ślubie mówię, Mikołaj?

– No, wiem, nie mówisz, tylko myślałem, że pomimo rewolucji, żyjemy w takim świecie, że pewnie byś chciała...

– Może bym i chciała, ale teraz chcę mieć zdrowe dziecko. I chcę, żebyś ty też tego chciał.

– Ależ chcę, chcę, tragedii nie ma, tylko wiesz, że akurat w tym momencie to niezbyt w naszej sytuacji wygodnie...

– ...ale ja wtedy mówiłam, żebyś dał spokój, żebyś uważał chociaż... a ty nie posłuchałeś...

– Trzeba było stanowczo...

– Ale ja tak nie umiem, Mikołaj... Wiesz zresztą... I gniewałbyś się.

– No, gniewałbym się, wielkie coś. – Westchnął. – Przeszłoby mi przecież.

– Mikołaj, mnie jest trudno... ja tu mam tylko ciebie...

– Tak, tak – powiedział zniecierpliwiony – rozumiem, ale ja z kolei muszę myśleć o tylu sprawach, o różnych... – Urwał, bo sam słyszał, jak to brzmi.

– Ty mi nic nie tłumacz, Mikołaj. Ja tylko chcę, żeby nasze dziecko przyszło na świat.

– Toż i przyjdzie. Tu już niczego chcieć nie trzeba.

A teraz, w listopadzie 1918 siedział w fotelu, odbierał filiżankę z herbatą z jej rąk, przyglądał się jej zaokrąglonemu brzuchowi i powiedział:

– No, to macie teraz tę waszą niepodległą Polskę.

## Rozdział 4

### Kino „Sfinks”

Z czarnego dzioba projektora wylatywał promień światła, biegł przez salę, rozwidlając się, ciął przestrzeń jak nożyce, rozbijał się na ekranie w białym okręgu, a na koniec zmieniał w ruchomy obraz. Emma siedziała w tylnej części sali, mimo że było prawie pusto, ale jeśli oglądała film z bliska, musiała mrużyć oczy.

KTO NIE JEST OSTROŻNY W MIŁOŚCI, MOŻE SIĘ NARAZIĆ NA ROZCZAROWANIE. POLA – PIĘKNA, MŁODA DZIEWCZYNA – ODBIERA LEKCJĘ ŻYCIA.

*Niewolnica zmysłów z Polą Negri. Emma widziała już ten film. Nie szkodzi. Czymś się trzeba zająć. Polacy biegają po ulicach i wołają o niepodległości, Niemcy uciekają, młodszy pan się zamartwia. Wieczorem ma w pałacu spotkanie z panem Schönem i z panem Lamprechtem. Słyszy się, że 11 listopada 1918 roku to historyczna data, o której dzieci będą się uczyły w szkole, ale co to ma wspólnego z nią? Niemcy przegrali wojnę. Ostatni list od kapitana Schulte przyszedł w sierpniu, a od tego czasu ani słowa... (Pola przytula i całuje wielkiego psa, mówi coś do niego z czułością, kładzie się na plecy; pies nachyla się nad jej twarzą). „Dlaczego ona się tak wije? Dlaczego leży w nieskromnej pozie? Czy to jeszcze dziecko, czy już kobieta? Czy Berndt żyje? Może jest ranny i leży w szpitalu?”. Niemal przez całą wojnę pisał. Raz w miesiącu przychodził list. Ten pierwszy już w sierpniu 1914 roku. Emmo, list do ciebie. Zdziwiła się. Spojrzała na kopertę. Adres berliński: Paretzerstrasse. (Rodzice Poli odchodzą od zmysłów. Dziewczyna ma szesnaście lat i spędza wieczór poza domem. Wokół niej kręcą się kawalerowie. Jest grubo po północy. Płacze matka w chuście, płacze wąsaty ojciec. Córka już dawno powinna wrócić i leżeć w łóżku. Co ludzie pomyślą? Dobre imię, to wszystko co*

*mają. Ojciec załamuje ręce, rwie włosy z głowy, krzyczy na matkę). Nie znała nikogo w Berlinie, nie wiedziała, gdzie jest Paretzerstrasse. Adres pisany był ręką kobiety. Otworzyła. To był list od niego. Wyjaśniał, przepraszał, oddelegowali go na front. O mało nie zemdląca z wrażenia, z radości i ze strachu o niego. (Pola z grupką młodzieży beztrąsko bawi się nad rzeką. Młodzi podnoszą butelki, dziewczęta lgną do chłopców. Pola rozlewa wódkę. Nagle chlust. Wódka spływa po czyjejs twarzą). „Cóż z tej dziewczyny za ziółko! I w ogóle co za okropne towarzystwo!”. (Tańce, akordeon, bijatyka. Dziewczyna z kawalerem na ławce w parku. Od razu widać, że to prostak. Są sami, nie wiadomo, gdzie podziła się reszta młodzieży. On ją chce pocałować, ona nie pozwala, przekomarza się z nim, on nalega, ona ucieka, on idzie za nią, aż pod jej dom. Nawet przed drzwiami chce ją pocałować. Pola wchodzi do pokoju przez okno, bo drzwi są zamknięte. Rodzice już śpią, ale ojciec się budzi. Zwleka córkę z łóżka na podłogę, okłada pięściami. To ją nauczy moresu. Matka go odciąga, tuli Polę i uspokaja. Ojciec siedzi na łóżku wściekły i mamrocze coś ze złością). Okazało się, że adres na kopercie był miejscem zamieszkania jego siostry. Na ten adres należało do niego pisać. Widocznie tak było łatwiej i bezpieczniej. Na pewno w jednostce źle by patrzyli, że frontowy oficer dostaje listy z Rosji. Kto by wiedział, że od Finki w służbie u Niemca? Zresztą z tego, co mogła się domyślić, przerzucali jednostkę Berndta z miejsca na miejsce. Kiedy usypiała, wyobrażała go sobie: maszeruje z karabinem, w ciężkim hełmie, z plecakiem na grzbiecie, a kiedy indziej znowu widziała w myślach, jak jedzie wzdłuż szeregu piechoty na koniu, w eleganckim ekwipunku, w końcu był oficerem. (Rodzice usypiają, a Pola rozpacza. Zabiera kilka ubrań i wychodzi przez okno. Ognisko domowe nic dla niej nie znaczy. Stuka do okna kawalera. – NIE WIEM, CO ZE SOBĄ ZROBIC! – POMOGĘ CI. POCZEKAJ TU NA MNIE). „Nie ma się co oszukiwać. To nie czyni z niej przyzwoitej dziewczyny. Gdybym miała taką córkę jak ona, oszalałabym ze zgrzyoty”. Czy był w piechocie, czy w artylerii? Nic o tym nie pisał. Ale widziała kiedyś, jak przez Sosnowiec przechodził oddział artylerzystów. Mocne konie ciągnęły ciężkie działa... Nie mógł pisać o tym, co się dzieje, bo cenzorzy kontrolowali korespondencję. Jego siostra musiała otwierać listy Emmy wysyłane z Sosnowca na jej adres i wsuwała je we własne*

listy do brata. Taki wykoncypowali spisek. (*Ucieknijmy! Nie chcę wracać do domu! Oczy mu zabłyśły. Pojechali do hotelu. Zamówił wódkę. Pola po kryjomu wylewa zawartość swojego kieliszka. On w końcu usypia pijackim snem, ona zabiera mu pieniądze. Zostawia list i obiecuje, że zwróci dług. To tylko pożyczka.*) Przez cztery lata wojny Emma wysyłała listy do kobiety, której nie znała, dla mężczyzny, którego też nie znała, a on wysyłał listy przez siostrę... Raz w miesiącu przychodziła koperta z Berlina. A teraz od sierpnia cisza. (*Znajduje pracę u krawca. Jest modelką. Krawiec zaprasza ją wieczorem do kabaretu. Pola przygląda się, jak baletnica wiruje na czubkach palców. Postanawia zostać tancerką. Pierwsza lekcja. Naturalny talent!*). „Pola nie potrafi tańczyć na czubkach palców. Jest zbyt rozłożysta w biodrach, tak jak ja, to dlatego”. Emma zamartwiała się nieprzytomnie. Czy to nie byłaby zbyt straszna ironia losu, kiedy już wojna się skończyła? Co się mogło stać? Widziała pociągi z transportami rannych żołnierzy. Wracały do Niemiec i miały wymalowany czerwony krzyż na wagonach. Miały też czerwony krzyż na dachach, ale tego nie było widać. To było dla aeroplanów. Pociągi składały się z wielu wagonów, a w nich transportowano żołnierzy: bez rąk, bez nóg i takich, którzy się prawie nie ruszali, tylko leżeli na noszach. (*Pojawia się ktoś nowy. Człowiek stateczny, ma żonę i córkę. Wybiera się na występ kabaretu, żeby zobaczyć sensacyjny taniec apaszowski w wykonaniu niezwyklej tancerki. Artystka jest ubrana w czarną aksamitną suknię, obcisłą, z rozcięciem, spod którego widać prawą nogę. Ma czarne buty na wysokich obcasach. Partner tancerki z pejczem... Scena jest mała, tańczą tuż przy sobie. Stateczny mężczyzna prosi, żeby przedstawiono go artystce. Pola przyjmuje go w swoim pokoju, leżąc na sofie.*) „Trudno się skupić, czemu ona cały czas podryguje?”. Po takim pociągu sanitarnym uwijały się pielęgniarki w białych fartuchach oraz lekarze w kitlach nałożonych na mundury i co rusz widać było kogoś w zakrwawionym kitlu, kto się bardzo spieszył. Wydawało się, że wszyscy byli zabandażowani. Ileż oni mieli tych bandaży w każdym pociągu? Składy sanitarne przejeżdżały co kilka dni. Ostatni wagon był kostnicą. Miał szczelnie zaryglowane, zapieczętowane i oplombowane drzwi. O ile z innych wagonów dochodziły różne dźwięki, krzyki, jęki, stukoty i hałasy, o tyle w tym ostatnim panowała cisza. Tam leżeli ci, którzy



zmarli od ran podczas podróży z frontu do domu. Pociąg z rannymi i martwymi żołnierzami często zatrzymywał się w Sosnowcu, wszak to już było prawie w Niemczech, a poza tym Niemcy rządili w mieście, więc mogli uzupełnić zapasy, poprzemienić z wagonów opatrunkowych do wagonów kostnicowych tych, których bezwzględnie należało przenieść. Można też było dostawić dodatkowy wagon-kostnicę. *(Podryguje przed lustrem, kiedy się cześć, nie może usiedzieć spokojnie. Dyrektora teatru, który przychodzi podpisać z nią kontrakt, przyjmuje w szlafroku)*. Nigdy nie trzeba było dostawiać wagonów opatrunkowych, bo w czasie transportu rannych w pociągu nie przybywało, natomiast martwych – owszem... Ale była przecież i inna możliwość... Czy wolała, żeby zginął? Czy żeby znalazł sobie jakąś kobietę? Mój Boże... A może to tylko jego siostrze coś się stało? Wówczas dałby znać. Czy wypadało zapytać jego siostrę, dlaczego przestał pisać? Nie, nie wypadało. Na to nie pozwalała duma.... W myślach układała listy do niego. Zaczynały się od słów, że „opatrność nam ewidentnie nie sprzyja”. *(Pola nie wie, że stateczny mężczyzna ma żonę i córkę. Podwójne życie, które prowadzi ów człowiek, każe mu pić. Siedzi w restauracji przy stole i rozmyśla ponuro. Wpatruje się tępo w stół. Ściąga kapelusz i drapie się po głowie. Kłęby dymu spowijają jego zmarszczone czoło)*. Czy lepiej, żeby... Emma wpatrywała się w ekran. Chociaż rozgrywały się na nim ostatnie akty dramatu, nie potrafiła się tym przejąć. *(Pola i adorator idą do Cafe de Paris. Chłopak, któremu kiedyś zabrała pieniądze, pracuje tu jako kelner. Pola chowa twarz, żeby jej nie poznał. Wyrzuty sumienia każą jej oddać dług. Wychodząc z lokalu, zostawia pieniądze w kopercie. Chłopak wpada w furję. Pola zrywa ze statecznym adoratorem, kiedy okazuje się, że jest obarczony rodziną. Jest jednak za późno. Żona zabrała córkę i wyniosła się do matki, a potem ze zgryzoty zapadła na nieuleczalną chorobę i umarła)*. „Czy oglądanie cudzych cierpień i nieszczęść na ekranie powoduje, że moje własne troski wydają się bardziej znośne? Bo przecież mnie nikt nie zasztyletował, mnie się nic nie stało... Mam pracę, spokój, wikt. Więc rodzi się chwilowo ulga. Ja nie mam tak źle jak oni”... Czy lepiej żeby... *(Chłopak odnalazł Polę w luksusowym hotelu. Strzela. Pola umiera)*.

Zapalono światła.

Emma wstała z fotela i wyszła na korytarz, odsuwając czarną, zakurzoną kotarę. W gablotach westybulu kolorowe plakaty zapowiadały nadchodzące filmy.

*Obłąd duszy kobiecej*. DRAMAT. Aktorka na afiszu kusi obnażoną szyją i oszalałymi z miłości oczami.

*Otello i Desdemona*. DRAMAT W KOLORACH. Zazdrośnik wznosi błyszczący sztylet i lada moment zatopi go w niewinnej piersi kobiety. Usta Desdemony otwierają się w bezgłośnym krzyku, a stygmat śmierci zdobi jej czoło.

Do tego dwie komedie: *Operator nagniotków* i *Gawrosz wyłysiał z miłości*. Wszystkie te filmy Emma oglądała jeszcze przed wojną. Właściciel kinematografu nie sprowadzał niczego nowego.

Binder wyjrzał z klatki, która była kasą biletową, i ukłonił się wiernej klientce. Potem porozumiewawczo mrugnął okiem.

– Coś panience pokażę.

Podeszła bliżej. Podniósł z podłogi niewielkie urządzenie.

– Co to jest? – zapytała.

– Aha! Panienska się nie domyśla?

– Nie.

Binder roześmiał się.

– To jest niemiecki *ernemann*! Kamera, znaczy się. – Wyszedł z klatki kasy. – Proszę, niech panienska weźmie do ręki. Lekka, prawda? Niemcy, uciekając z miasta w pośpiechu, zostawili, a ludzie mi przynieśli, bo ja jestem w tych sprawach specjalista. Ja się na filmowaniu najlepiej znam.

– I po co panu ten *ernemann*?

– Jak to po co? Będę kręcił filmy. Kto wie, kto wie... mógłbym robić na przykład kroniki sosnowieckie, takie obrazki z życia miasta.

Wzruszyła ramionami.

– Tu się nigdy nie dzieje nic ciekawego.

## Rozdział 5

# Życie po końcu świata

Późną popołudniową porą dwa powozy przejechały pod ceglanym łukiem bramy i zatrzymały się na dziedzińcu pałacu Dietla. Z jednego powozu wysiadł pan Ernst Schön, mężczyzna niemal siedemdziesięcioletni, władczy, barczysty, wysoko noszący głowę, ale o twarzy pomarszczonej jak stare jabłko, a z drugiego pan Aleksander Lamprecht, mniej więcej dwa razy młodszy, szczupły i bardzo schludny. Uchylili kapeluszy, zdjęli rękawiczki i grzecznie podali sobie dłonie.

– Dobry wieczór – powiedział Lamprecht. – Mam nadzieję, że zdrowie wujowi dopisuje?

Pan Ernst oddychał ciężko i nie był w najlepszym humorze.

– Nie dopisuje. Ale mniejsza o moje zdrowie. Powiedz, co słychać u mamy.

– Śle pozdrowienia, oczywiście.

Matka pana Aleksandra, Fanny Lamprecht, z domu Schön, była młodszą siostrą pana Ernsta.

– I jak ona znosi tę... tę niepewną sytuację?

Lamprecht wzruszył lekko ramionami.

– Tak jak my wszyscy. Martwi się.

– A co u ciebie, Aleksandrze? Nie szykanują cię?

– Kto?

– Polacy.

– Za co?

– Choćby za to, że w czasie wojny byłeś we władzach miasta.

– Na razie, wuju, nie szykanują. Nie robiłem też nic takiego, czym mógłbym się komuś narazić – powiedział pan Aleksander z lekką irytacją.

Nie wspomniał o żenującym incydencie, który wydarzył się rankiem. Na terenie punktu kwatermistrzowskiego urządzonego w jego fabryce bezczelna grupka polskich gówniarzy w harcerskich mundurach rozbroiła oddział składający się z dziewięciu niemieckich wartowników.

– Hm – mruknął pan Ernst, niezbyt przekonany. – A z żoną jak ci się układa?

Lamprecht ożenił się przed rokiem i kilkoma miesiącami. Kobieta płaska, twarda, więc nie wiadomo, co z tego będzie.

– Całkiem dobrze, dziękuję.

– Dzięki Bogu – mruknął pan Ernst. – Dość już mamy w tym roku zmartwień.

Przez wiele lat pan Ernst, wraz z młodszym o dwa lata bratem Franzem, zarządzał potężnym imperium przemysłowo-handlowym, ale w maju Franz zmarł. Pan Ernst uważał to za wielką niesprawiedliwość losu, że młodszy brat odszedł pierwszy i zostawił go na tym gruzowisku. W dodatku pan Ernst czuł, że sam też długo nie pociągnie. *Primo*, kiszki bołą, *secundo*, brzuch puchnie, *tertio* plecy trzeszczą, hemoroidy krwawią co drugi dzień, każdy ruch to katorga, kości skrzypią jak stare zawiasy, po schodach się nie da wchodzić, bo coś w kolanach chrupie... eh, wszystko trzeba by przekazać przed śmiercią Wilhelmowi. No bo komu? Wilhelm, syn Brunona, starszego brata Ernsta i Franza, człowiek po czterdziestce, odpowiedzialny, od ponad dwudziestu lat pracował w Sosnowcu, o interesach rodzinnych wszystko wiedział, a na dodatek ożenił się z córką Franza, Elsą, która miała teraz lat chyba ze trzydzieści trzy albo trzydzieści dwa, albo trzydzieści cztery, w każdym razie coś koło tego, no i dała Wilhelmowi piątkę dzieci, to ostatnie dopiero co się urodziło. A mówią, że małżeństwo w rodzinie to zła rzecz i na dzieciach się odbije, a tu proszę, kuzynostwo bliskie, oboje dzieci moich braci, a jaką piękną piątkę pociech zmajstrowali. Ludzie twierdzą, że Wilhelm ożenił się z Elsą w nadziei, że odziedziczy fabryki, a nie dlatego, że się w kuzynce bez pamięci zakochał. No cóż, jeśli liczył, że odziedziczy, to dobrze liczył.

Pan Ernst nie miał żony, nie miał dzieci, nie miał kochanki, nie miał bękartów, jego żoną, kochanką i jego dziećmi była firma

„Bracia Schön”. Nie miał komu przekazać majątku, powinien był umrzeć przed Franzem.

Dietel przywitał obu panów na podjeździe koło klombu.

Wszyscy trzej uchyliłi kapeluszy, wszyscy trzej podali sobie dłonie, pochrzęścili butami po ścieżce i weszli do pałacowego holu. Wspięli się po schodach. Minęli bonę Dietla z dwójką starszych dzieci. Ani brzydka, ani ładna, pomyślał Schön. „Papo, idziemy do parku”, powiedziała Inge. „Dobrze, tylko nie na długo, bo jest zimno”.

Dietel spojrzał na Emmę znacząco. Skinęła głową. Od października nie wychodziła z dziećmi sama nawet do parku. Zawsze w pobliżu musiało być kilku lokajów bądź ogrodnik z pomocnikami. Żeby dzieci się nie bały, nie chroniono ich zbyt ostentacyjnie. Tyle że grupka mężczyzn a to grabiła liście nieopodal, a to naprawiała ogrodzenie, a to... Nie żeby ktoś Dietlowi groził, ale sytuacja była naprawdę krytyczna. „A kto został z Klausem?” – zapytał Dietel. „Ester”, odparła Emma. Klaus miał dwa lata i był lekko przeziębiony, więc o spacerze w parku nie mogło być mowy. „Dobrze, Emmo”. Po chwili fabrykant zapytał jeszcze: „Byłaś rano w kinematografie?”. „Byłam”. „I co tam na mieście? Spokojnie?”. Emma zawahała się. „Tak, raczej tak”, odparła. Dzieci stały już na dole przy drzwiach i niecierpliwiły się, gotowe do wyjścia. Emma dygnęła i zbiegła ze schodów.

Schön wchodził ciężko na piętro, opierając się ręką o poręcz, przystając na podeście i spoglądając w swoje odbicie w lustrze. Ależ jestem stary, pomyślał. Chyba że z tym lustrem coś jest nie tak. Lamprecht nie przyspieszał kroku, a Dietel, jako gospodarz, szedł grzecznie za gośćmi.

Lokaj Wojtacha, ubrany w brązową liberię, otworzył bez słowa drzwi do pokoju fajkowego na pierwszym piętrze.

\* \* \*

Mimo że okno było zamknięte, słyszeli, jak w pałacowym parku kraczą wrony oblepiające suche korony drzew. Siedzieli w fotelach, w oparach dymu, w aromacie czarnej kawy, w złotym poblasku gazowej lampy. Na mahoniowej boazerii tańczyły pomarańczowe plamy światła. Dietel i Schön palili fajki, a Lamprecht cygaro.

Lamprecht powiódł wzrokiem po drewnianych, bogato zdobionych portalach. Przed jednym z narożnych lusterek stała odaliska z brązu, wsparta ręką o podest. Młody przemysłowiec zatrzymał wzrok na rzeźbie.

Niedawno wrócił z Rzymu. Pytano go, co mu się tam najbardziej podobało. Najbardziej podobał mu się zaprojektowany na nowo plac, gdzie po raz pierwszy w życiu zachwyciły go rzeźby. Dopóki na Piazza Esedra nie zobaczył czterech nagich nimf wieńczących Fontannę Najad, zawsze go nudziły muzea z antycznymi skorupami... Przewodnik opowiadał o historii placu i o łaźniach Dioklecjana położonych nieopodal, a Lamprecht chodził wokół fontanny. „Kto ją zbudował?”. „Guerrieri. Zaprojektował fontannę z lwami, ale czegoś w niej brakowało, więc inny artysta, Rutelli, dołożył nimfy”. Chodziło właśnie o te nimfy. Każda z czterech nagich figur wspierała się na wodnym zwierzęciu. „Te stwory oznaczają rodzaje wód: konik morski oceanu, wąż – rzeki, łabędź – jeziora, a jaszczurka podziemne wody”. Kiedy tryskający strumień uderzał nimfę, wokół tworzył się obłok z małą tęczą. Najady wyginały swe ciała lubieżnie. Na samym środku fontanny stał barczysty Glaukos, syn Posejdonu i zmagił się z potężną rybą, z której paszczy bił w niebo potężny strumień wody. Lamprechta jednak nie obchodził Glaukos i jego zmagania. Właściwie z całego Rzymu najbardziej obchodziły go te cztery mokre Najady. Doszedł do wniosku, że rzeźby nie powinny stać w muzeach. Jest ich tam za dużo. Rzeźb nie da się podziwiać więcej niż cztery naraz, a najlepiej, żeby to były nagie kobiety spryskiwane wodą.

– Zamyślił się pan? – Usłyszał głos Dietla.

Lamprecht ocknął się z zadumy i zatoczył ręką szerokie koło. Jego ruch objął kolumny, arkady, medaliony, szafki i dekoracje, ale nie objął półnagiej odaliski z brązu.

– Piękna stolarka. Kto panu to robił?

– Nie mnie. Ojcu. Zatrudnił majstrów z Wrocławia.

– Te rzeźby zwierząt... znakomite...

– Były wzorowane na średniowiecznych bestiariuszach.

– Dobra robota.

Wszedł Wojtacha z tacą; niósł na niej butelkę i trzy kryształowe kieliszki. Sprawnie wyciągnął korek, przetarł serwetą omszałą

szyjkę butelki i nalał purpurowego burgunda do trzech kieliszków. Nie odezwał się przy tym ani słowem. Zerknął tylko na pana Dietla, a na jego znak ukłonił się i wyszedł, zamykając cicho ciężkie drzwi.

Fabrykanci z Sosnowca od dawna z najwyższym niepokojem przyglądali się rozwojowi sytuacji. Nie dość, że Prusy podpisały haniebne tezy Wilsona, to poprzedniego dnia oficjalnie dotarły wiadomości o wybuchu rewolucji w Berlinie. Cesarz abdykował, a w Polsce wszyscy zabrali się do rozbrajania Niemców. Przyszły też depesze, że w Lublinie utworzono rząd tymczasowy. W kopalniach buntowali się robotnicy. Lada moment sytuacja mogła całkowicie wymknąć się spod kontroli.

Dietel chrząknął.

– Panowie, każdy z nas ma tu własne interesy i nie dlatego zaprosiłem was do siebie, by kogokolwiek pouczać albo żeby mówić, co kto ma robić. Ale wydaje mi się, że powinniśmy wspólnie zastanowić się nad przyszłością, by sobie nawzajem nie szkodzić. Bo co innego konkurencja w handlu czy przemyśle, a co innego... Chodzi, krótko mówiąc, o przetrwanie. To, co się wydarzyło, jest w pewnym sensie, z naszej perspektywy, końcem świata.

Lamprecht uniósł dłoń z cygarem.

– Nie przesadzajmy. Historia zna takich końców wiele. Padł Rzym, padło Bizancjum... a świat trwa.

– Przyzna pan jednak, że z naszej perspektywy upadek Rzymu i Bizancjum nie miał aż takiego znaczenia? – powiedział cicho Dietel.

– Przyznam. I rzeczywiście trzeba się zastanowić, co dalej. Czy my sobie w ogóle damy tutaj radę. Tyle że nie przepadam za metaforami.

Dietlom wojna nie przyniosła nic dobrego. Już w lipcu 1914 roku mieli przedsmak tego, co ich czeka. Transport surowca wyjechał ze stacji Kursawka w Rosji do stacji Sosnowiec i chociaż wszystko było opłacone – nie tylko fracht, ale i ubezpieczenie – pociąg zniknął. Jak to zniknął? No, zniknął. Przepadł. Nie dojechał. Trzeba było nie wysłać z Kursawki. Poszedł więc kolejny transport ze stacji Bogusławskaja. I co? Zniknął. Na trasie Sosnowiec-Moskwa, czyli w drugą stronę, też nie lepiej. Wysłał Dietel duży transport przędzy wełnianej zamówionej przez moskwiczanki. Ha,

mógł sobie przedstawiciel firmy czekać na przędzę do końca świata. Transport ulotnił się jak kamfora.

Kiedy w niedzielę, 2 sierpnia 1914 roku, Niemcy z pieśnią na ustach wkraczali do Sosnowca, w przędzalni pracowało ponad tysiąc osób, głównie kobiety. Najpierw zamknięto sortownię, bo nie było czego sortować. Gdzieś tam ktoś pewnie skradzione transporty sortował, ale nie u Dietla w fabryce. Potem zamknięto pralnię, bo nie było czego prać. Zamknięto czesalnię, bo nie było czego czesać. Zamknięto przędzalnię. I na koniec stanęła pakownia. „Powietrza nie będę pakował”, powiedział wówczas rozgoryczony Dietel.

Po wybuchu wojny Sosnowiec znalazł się pod okupacją niemiecką. Po roku u Dietla zostało tylko dwieście osób zabezpieczających mienie przed grabieżą, pracujących w parku i w pałacu. W 1916 roku Dietlowie oddali miastu Szkołę Aleksandryjską, bo jej dalsze utrzymywanie stało się finansową niemożliwością. Powiatowemu miastu Będzin oddali koszary i w ten sposób pozbyli się kolejnego balastu. Koszar nie żalowali, ale szkoły było szkoda.

Schön powiedział:

– Ja nie myślę o sobie, bo jestem stary, ale martwię się o rodzinę. My się nigdzie stąd nie ruszymy. Już na tej ziemi wylaliśmy dość potu. – Zawahał się. – I krwi. Choćby syn Brunona... nieszczęsny Oskar... – Urwał i westchnął ciężko.

Lamprecht i Dietel pokiwali głowami z udawanym współczuciem. Podczas robotniczych wystąpień w 1905 roku syna jednego z braci Schönów zastrzelili polscy bojówkarze z PPS. Ale też wszyscy wiedzieli, że pan Oskar miał zdecydowanie za ciężką rękę wobec robotników. A do robotnic... Nie jest wcale przypadkiem, że akurat na niego targnęli się zbuntowani bojówkarze.

– A teraz – wysapał Schön – wojna zabiła Franza. Właściwie zabiła go zgryzota. Zamartwiał się... Miał szczęście, że nie dożył klęski Niemiec.

– Niemcy zostali w czasie tej wojny upokorzeni jak żaden inny naród. – Lamprecht skrzywił się. – A warunki zawieszenia broni są absurdalne. Okupacja Kolonii, Moguncji, Koblencji... Jak można



rekwirować takie ilości amunicji, okrętów wojennych, łodzi podwodnych, taboru kolejowego? Które państwo to udźwignie?

– Podobno jest mowa o pięciu tysiącach lokomotyw i stu tysiącach wagonów – wtrącił Dietel.

Lamprecht kręcił głową.

– Niemcy są zbyt wielkim narodem, by wiecznie znosić upokorzenie.

– Ale przynajmniej jedno teraz wiemy... – powiedział spokojnie Dietel.

Spojrzeli na niego pytająco.

– ...że jesteśmy Niemcami.

Dotychczas byli „niemieckimi Rosjanami”, tak stało w papierach. Gdyby się nie zgodzili na rosyjskie obywatelstwo, nie mogliby nic kupować na własność ani przejmować cudzych majątków. Obnosili się więc ze swoim rusofilstwem. Ale jak Schönowie mieli nie kochać Rosji, skoro przed wojną potężne fabryki braci zatrudniały ponad trzy tysiące robotników, praca odbywała się na trzy zmiany, maszyny szły pełną parą dwadzieścia cztery godziny na dobę i w całym carstwie nikt nie mógł konkurować z Schönami w branży włókienniczej? Byli najwięksi. Nie żeby Dietlowie byli mali, co to, to nie.

Lamprechtowie? Drobnica. Setka zatrudnionych osób? Gdyby nie byli spokrewnieni z Schönami...

Pan Dietel przyglądał się dwójce gości z uwagą.

Schönowie przyjęli obywatelstwo rosyjskie, jeden z braci, Robert,ponadawał dzieciom rosyjskie imiona, a Franz przedstawiał się jako Franz Bogdanowicz Schön. Ładne z nich Bogdanowicze, skoro ojciec miał na imię Ferdynand Gottlob. A teraz rynek rosyjski diabli wzięli, w dodatku przez tych cholernych bolszewików przepadły wszystkie wkłady w bankach rosyjskich. I jakby tego mało, zdewaluowano rubla. Rusofilstwo źle będzie widziane, oj źle. Ernst to wie i na nagrobku nie napisał, że brat jest Franz Bogdanowicz Schön, tylko że Franz Emil Schön. I po niemiecku literował, a nie po rosyjsku. I na ewangelickim cmentarzu leży, a nie na prawosławnym.

Kiedy budowano cerkiew, Franz próbował starego Dietla prześcignąć i fundował, że ho, ho, a to dębowy ikonostas, a to

korkowy dywan na posadzkę.

Tymczasem wojna i tak pokazała, kim kto jest.

Rosja stanęła naprzeciw Niemiec, więc obywatele carstwa w wieku poborowym dostali powołania do armii. Młodzież męska z rodzin Lamprechtów, Schönów i Dietlów miała się stawić w Białymstoku celem pobrania w żołdacy. Jak się tu nie stawić, skoro nie było wiadomo, kto koniec końców wojnę wygra, a za dezercję – kula w łeb czyś jest Schön, czy Mefistofeles, bez różnicy. Gdyby młodzież męska nie stawiała się celem pobrania w żołdacy, tylko na przykład uciekła do Niemiec przez przejście w Myslowitz, co byłoby łatwe, Rosjanie dobraliby się do skóry rodzinom, fabryki i majątki by skonfiskowali, rosyjskich Niemców na Sybir by powlekli i tyle. Ruszył więc młody Alfred Dietel wraz z młodym Romanem Lamprechtem do wyznaczonego miejsca zakwaterowania w Białymstoku. Nikt nie powie, że nie ruszyli. Wszyscy widzieli, że przebierali nogami. Znaczą szli. Że za wolno? Każdy idzie, jak potrafi. Już w Będzinie wpadli w ręce nadciągających wojsk niemieckich. Niedaleko zaszli na drodze do Białegostoku, to fakt. Ale przecież człowiek nigdy nie wie, gdzie w życiu zajdzie. Trafili do niewoli, wylądowali w twierdzy w Nysie i ani w armii rosyjskiej, ani w pruskiej nie służyli. Wojnę na niemieckim wikcie przesiedzieli. Jednak dezercji nie było, o to ich nie można posądzić. Kto może coś na to poradzić, że mu syna aresztują? A w rodzinie Schönów, proszę państwa, wydarzyło się coś podobnego. Władimir Schön w momencie wybuchu wojny znalazł się przypadkowo na granicy w Myslowitz. Raz dwa go wojska pruskie zabrały do aresztu i wywiozły w głąb Niemiec do obozu dla rosyjskich cywilów. No to i on do carskiej armii nie poszedł. Ani do niemieckiej. Ktokolwiek by tę wojnę wygrał, nie byłoby źle.

Tylko nikt nie przewidział jednego. Że tu po wojnie nie będzie ani Rosja, ani Niemcy, tylko Polska. Psia mać. *Scheisserei!* Chichot losu.

Teraz będzie wszystko szło ku ruinie. Wolniej albo szybciej, ale ku ruinie. Boże, Boże, za co Ty nas tak ukarałeś, że możemy stracić to, co nadludzkim wysiłkiem budowaliśmy na tej niegościnniej, jałowej ziemi!

– Ma pan jakieś wiadomości z dzisiejszego dnia? Bo ja, mówiąc szczerze, starałem się nie pokazywać w mieście.

– Na ulicy Szopienickiej Polacy ustawili posterunki graniczne i próbowali rozbrajać oddziały uciekające na Śląsk... – powiedział Dietel.

– Raczej odchodzące... – sprostował Lamprecht.

– *Herr Dietel* – mruknął Schön – ulega polskiej propagandzie. Słyszał pan o jakichś utarczkach?

– Nie.

– Właśnie. Całe to rozbrajanie dotyczy małych grup i pojedynczych maruderów. Jeśli przez most szedł oddział niemieckich żołnierzy z ładunkami i stawiał opór, Polacy rezygnowali z konfrontacji i pozwalali żołnierzom przejść. Więcej tu wymachiwania szabelką niż prawdziwych szykan. Zresztą wartościowe rzeczy wywieziono pociągami. Nie przenoszono ich przez most.

– Podobno Polacy porozkręcali szyny.

– Owszem, słyszałem. – Schön skinął głową. – Ale nie odnotowano poważnych strat.

– Wczoraj zatrzymano trzy pociągi z węglem i drewnem.

– Niech sobie zatrzymują pociągi z węglem i drewnem, byle nie te z armatami – powiedział Lamprecht.

– Jednak sytuacja jest niepewna.

– W najwyższym stopniu. Co do tego wszyscy się zgadzamy. Uważam, że w ogóle niepotrzebne są te utarczki, które na dzień dzisiejszy niczego nie zmieniają. Słyszałem, że niemieckie samoloty ostrzelały zatrzymane przez Polaków pociągi. I po co?

– Wiem, o jakim incydencie pan mówi. Stoczono wielką bitwę o sto pięćdziesiąt tysięcy par kalesonów. Obie strony rościły do nich prawo. Obie strony kategorycznie żądały zwrotu kalesonów. O to się teraz walczy.

– I co?

– W końcu się podzielili.

– Polacy się boją, że Niemcy mogą ponownie wkroczyć do Sosnowca. A Niemcy nie wkroczą, a w każdym razie nie w najbliższym czasie, bo mają własne problemy.

– Nie wiem, czy panowie zauważyliście, że część niemieckich żołnierzy chodzi z czerwonymi kokardami przy mundurach. Wiecie, co to oznacza.

– To mi zakrawa na zdradę – powiedział Lamprecht.

– Myśli pan – zapytał Schön – że grozi nam w Niemczech powtórka z Rosji?

– Mam nadzieję, że nie, ale wszystkiego się można spodziewać. Bolszewicko-komunistyczny Związek Spartakusa będzie wszelkimi siłami dążył do przejęcia władzy. W ostatnich dniach oficerowie wierni cesarzowi walczyli przeciwko Czerwonej Gwardii na Unter den Linden o każdy dom. Nie wiadomo, kto rządzi dzisiaj i kto będzie rządził jutro. Ani w Niemczech, ani tutaj.

Dietel zaszeleścił kartkami.

– Jeśli mowa o Sosnowcu, to nowo mianowany komisarz, Falkowski, powiedział urzędnikom, że mogą chwilowo pozostać na swoich stanowiskach pod warunkiem, że mówią po polsku. I wszyscy muszą mu się bezwzględnie podporządkować.

– To nie jest dla nas zbyt dobra wiadomość.

– Sam nie wiem. Ugrupowanie Falkowskiego działa przynajmniej jak normalna partia, a nie jak ten rewolucyjny motłoch. Mają dziesiątki komitetów, organizacji i stowarzyszeń. – Zerknął do kartki. – Polska Macierz Szkolna, Domy Ludowe, jakieś Koła Polek.

– Mają też organizacje paramilitarne pod płaszczykiem towarzystw gimnastycznych i straży pożarnej – powiedział Lamprecht.

– Widzę, że jest pan zorientowany. Falkowski i jego komitety, wszystkie te spółdzielnie, cechy, kółka i stowarzyszenia mają poparcie polskich przemysłowców i dyrektorów w największych fabrykach.

– Podlizują się różnym warstwom społecznym, ale nie zauważyłem, żeby w czymkolwiek pomagali nam.

– A czy my popieraliśmy ich Zjednoczenie Narodowe?

– A czy francuscy przemysłowcy je popierali? – odpowiedział Lamprecht pytaniem na pytanie.

– Nie. Ale z dzisiejszej perspektywy uważam, że brak poparcia z naszej strony był błędem i jeśli nie chcemy teraz za ten błąd słono

płacić, trzeba przestać stanowić opozycję wobec państwa polskiego.

– Państwo polskie ogłasza pan chyba na wyrost. To są pierwsze chwile po wojnie, tu nie ma żadnego unormowanego toku zdarzeń. Przez długie miesiące będzie rządził przypadek.

– Państwo polskie – prychnął Schön. – Nie mają nawet własnej policji.

– Mają milicję.

– Pan żartuje... – Schön uniósł brwi.

– Nie. Są już nowi szefowie milicji miejskiej i milicji powiatowej.

– Kto?

Dietel zerknął na kartkę.

– Konstanty Strzelecki i Artur Michael.

– A skąd mają milicję?

– Poprzebierali strażaków.

– No to, jak na Polaków, rzeczywiście szybko przystąpili do pracy.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Schön opuścił ciężkie powieki i wyglądał tak, jakby w skupieniu liczył miarowe uderzenia zegara.

Lamprecht leniwie wodził wzrokiem po pokoju. Wydłużone ciała zwierząt zdobiących meble łączyły się z roślinnymi splotami w jedną całość, łodygi lian, szerokie liście, smoki gotujące się do skoku, maszkarony wyzierające spoza zwojów roślin. Nad progiem w kolistym medalionie potężny Samson rozdzierał gołymi rękami lwa. Mięśnie mocarza, nad którym unosiły się dwa gryfy, napięły się jak powrozy. Surowy biskup z pastorałem w dłoni spoglądał z drzwi jednej z szafek.

Wysoki, szczupły Lamprecht i stary, połamany Schön tworzyli dziwną parę. Młody Niemiec nie mógł liczyć na to, że wuj przekaże mu majątek. Zresztą Lamprechtowie nie znali się na przedziałniach. Ojciec pana Aleksandra nie był dobrym przedsiębiorcą. Te poronione inwestycje chemiczne... W mieście jego zakłady nazywano kościarnią. Odtłuszczało się w nich i zwęglowało kości zwierząt. Węgiel stosowano później do oczyszczania cukru. Jeśli ktoś herbatę słodził, nie myślał o tym, że najpierw trzeba było

cukier przez zwęglone kości przepuścić. Stary Lamprecht produkował też mączkę używaną do produkcji nawozów, ale nawozów przynajmniej się nie je. Tak czy owak nic z tego wszystkiego nie wychodziło i kościarnia wiecznie przynosiła straty. Lamprecht zamienił więc kościarnię na papiernię, pożyczwszy pieniądze u Franza Schöna. (Jak było odmówić szwagrowi?). Zaczął produkować tekturę i kartonowe tulejki do przędzalni. (Od kogo miał szwagier kupować, jak nie od niego?). Potem Lamprecht zaczął produkować papę i to już mu dobrze szło. Nawet tak dobrze, że zaczął czynić nieostrożne inwestycje w kopalnie węgla. Od zadłużonych polskich hrabiów kupował kopalnie i tak na tym wyszedł, że go to koniec końców zabiło. W 1905 roku po śmierci ojca i spłaceniu braci interesy Lamprechtów przejął Aleksander i radził sobie lepiej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. W ostatnich latach Aleksander działał nawet w magistracie... no właśnie...

– Wiecie panowie – Dietel przerwał ciszę – nie raduje mnie fakt, że w czasie wojny władze niemieckie konfiskowały z mojej fabryki, co się dało.

Lamprecht poruszył się nerwowo w fotelu.

– Już od jakiegoś czasu niczego nie rekwirowano – powiedział.

– Jakże nie? Jeszcze parę miesięcy temu zabrano mi obrabiarki, chociaż już było wiadomo, że wojna przegrana.

– Oddał pan? – zapytał Lamprecht.

– W tych burzliwych czasach? Miałem do wyboru: albo obrabiarki, albo kotły. Wybrałem kotły, poświęciłem obrabiarki. Już nie mówię o tym, że gdyby moi rodacy nie zabrali mi wełny i przędzy, miałbym teraz zapasy na parę lat.

Schön mruknął. Jego magazyny też spustoszone, a tam gdzie dawniej piętrzyły się surowce albo gotowe produkty, zakwaterowano wojsko. I tak jak u Dietla część urządzeń wywieziono, a resztę poniszczili żołnierze.

Schön nie chciał jednak stawiać Lamprechta w niezręcznej sytuacji, więc zmienił temat.

– A jeśli wrócą Rosjanie? Na wschodzie toczą się walki. Gdzieś pod Przemyślem.

– Powrót Rosjan nie byłby katastrofą, gdyby Rosja była taka jak dawniej. Ale tamtej Rosji już nie ma. I nigdy jej już nie będzie.

A gdyby mieli tu przyjść bolszewicy, to broń nas panie Boże.

– Innymi słowy, chce pan powiedzieć, *Herr* Dietel, o ile dobrze odczytuję kierunek pańskiego myślenia, że aby nie dopuścić do rozprzestrzenienia się zarazy bolszewickiej, powinniśmy wspierać Polaków, bo tylko oni mogą tę zarazę powstrzymać?

– Kraje zachodnie dlatego dopuściły do odbudowy państwa polskiego, że Polska stała się potrzebna jako tarcza przed pochodem komunistów na Zachód. Gdyby nie rewolucja w Rosji, nikt by nie potrzebował Polski.

– Czyli Polacy w gruncie rzeczy zawdzięczają niepodległość bolszewikom?

– Tak, ale raczej się do tego nie przyznają.

– A co jeśli w tej nowej Polsce też zwyciężą rewolucjoniści? Co wtedy z naszymi fabrykami?

– W Sosnowcu może to wyglądać na realne zagrożenie, bo tu czerwony żywioł jest silny, ale w innych regionach nie ma przemysłu i nie ma robotników. Tam są tylko księża i chłopci, więc jeśli Polska jako państwo się utrzyma, komuniści nie mają szans.

– Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co się będzie działo.

– Tak czy owak w Rosji komuniści już mają władzę i to jest fakt dokonany, a tutaj jej nie mają.

– Czyli... – Schön nieudolnie próbował założyć nogę na nogę. – Dla dobra naszych interesów najlepiej byłoby dobrze Polsce życzyć?

– Powiem więcej. Uważam, że dla dobra naszych interesów należy jednoznacznie opowiedzieć się po stronie Polski w tym sensie, że uznamy ten kraj za nową ojczyznę.

– *Herr* Dietel, z umiarem! Ja proszę! – Schön zatrzęsł się z oburzenia.

– No, może nie za ojczyznę, chociaż bywało, że o Rosji mówiliśmy jak o ojczyźnie. – Dietel spojrział z ukosa na Schöna. – W każdym razie powinniśmy być lojalnymi obywatelami nowo powstającego kraju.

– Lojalnymi obywatelami Polski. – Schön trzasnęła nerwowo artretycznymi palcami. – Przyznam, że jeszcze parę tygodni temu ten ekstrawagancki pomysł nie przyszedłby mi do głowy.

– Nie mamy wyboru. Nie poprzenosimy fabryk i pałaców do Niemiec.

- A szkoda. – Lamprecht westchnął.
- Prasa będzie ważna. To, jak o nas piszą – mruknął Schön. – Która gazeta jest najbardziej wpływowa?
- „Iskra” – powiedział Lamprecht.
- Może trzeba by porozmawiać z redaktorem naczelnym?
- Wątpię, czy się uda. – Lamprecht pokręcił głową.
- Dlaczego? – zapytał Schön.
- Mówi wujowi coś nazwisko Cleinow?
- Georg?
- Tak.
- Niechże sobie przypomnę... Bodajże był na początku wojny cenzorem prasowym?
- No więc ów Cleinow, chorobliwie antypolski, doprowadził do aresztowania redaktora naczelnego „Iskry” i kilkunastu innych osób. Redaktora wywieziono do obozu jenieckiego w Havelbergu. Rozchorował się na gruźlicę.
- Wrócił?
- Tak. I znowu zarządza „Iskrą”. Myśli wuj, że będzie nam przychylny?
- To zależy, czy ma żal do wszystkich Niemców, czy tylko do Cleinowa. Czemu Cleinow się akurat na niego wziął?
- Tego nie wiem.
- Wydaje mi się, że przede wszystkim nie powinniśmy podejmować pośpiesznych ani panicznych działań. Ale można by na przykład w karnawale coś... – Dietel szukał odpowiedniego słowa – ...zaimprovizować.
- Schön uniósł brwi.
- To znaczy?
- No, coś zorganizować.
- Ale co?
- Sam nie wiem. Jakąś uroczystość? Może koncert? Albo przyjęcie?
- Czy to oznacza, że mamy się Polakom starać przypodobać? Pan zamierzasz Polaków w swoim pałacu gościć? – zapytał Schön z niedowierzaniem.
- Zamierzam robić wszystko, żeby to, co zbudował mój ojciec i co buduję ja, nie zostało zaprzepaszczone.



Schön sapnął z dezaprobatą, a Dietel strzepnął jakiś nieistniejący pyłek z aksamitnych wyłogów surduta i powiedział cicho:

– *Herr Schön*, buta nic teraz nie pomoże. Przecież pan przed wojną organizował w swoim pałacu pyszne przyjęcia, wystawne obiady, uroczystości, koncerty, bale maskowe...

– Ale nie dla Polaków.

– Właśnie. Te przyjęcia dla rosyjskich gubernatorów... Tym bardziej, *Herr Schön*, powinien pan teraz starać się, żeby nowa władza szybko o tym zapomniała.

Lamprecht roześmiał się niepewnie, a Schön zacisnął wargi.

– To wcale nie jest zabawne.

Znów milczeli przez dłuższą chwilę.

– Panowie, musimy jednak zakończyć tę rozmowę jakimś optymistycznym akcentem. – Dietel podniósł kieliszek i gestem poprosił obu gości, by uczynili to samo.

Lamprecht uśmiechnął się ironicznie.

– Czyli co, panowie? Niech żyje Polska?

Schön skrzywił się.

– Mój drogi Aleksandrze, nie przekraczaj granic dobrego smaku.

– W takim razie – powiedział Dietel – proponuję prosty toast. Za pomyślność.

Unieśli kielichy.

– Za pomyślność – powtórzyli Schön i Lamprecht.

Zadźwięczało szkło.

\* \* \*

Kiedy goście wychodzili z pokoju fajkowego, zatrzymali się jeszcze przy witrażach w wewnętrznych oknach.

– Witraże wstawiali ci sami ludzie z Wrocławia, którzy robili stolarkę?

– Tak. Mieli swojego artystę.

Lamprecht przyglądał się uważnie wizerunkowi leżącej kobiety.

– Walkiria? – zapytał.

– Brunhilda z cierniem snu w piersi – potwierdził Dietel. – Skazana na los śmiertelnej kobiety.

Wskazał na drugi witraż, gdzie rycerz w lśniącej zbroi wbijał włócznię w brzuch potężnego smoka.

– A tu Sigurd zabija Fafnira.

– Ojciec pana sam wybierał motywy z mitologii germańskiej?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie pytałem.

– Jakie to ma znaczenie, Aleksandrze? – mruknął zniecierpliwiony Schön.

– Myślę, że ma. O ile dobrze pamiętam, smok Fafnir pilnował skarbu karłów. To chyba znamienne...

– W jakim sensie? – zapytał Dietel.

– Te karły to Polacy.

– Hm... Tak pan uważa? A kto by wówczas był Fafnirem?

– Skarby nie są ich. – Schön był już mocno zirytowany. – Skarby są nasze... Kto jest Fafnirem, dobre sobie. Nie macie panowie poważniejszych problemów?

– Kto wie, *Herr* Dietel – roześmiał się cicho Lamprecht – czy nie będzie pan musiał wymienić witraży, żeby tu były sceny z mitologii słowiańskiej.

Dietel wzruszył ramionami.

– Już kilkanaście lat temu, kiedy w kościele parafialnym polski artysta z Krakowa malował polichromie, ojciec zatrudnił go, żeby przy okazji u nas w pałacu zrobił kompozycję ścienną.

Schön pokręcił głową z dezaprobatą, a Dietel dodał w zamyśleniu:

– Jeśli Sigurd zabije smoka, musi, według mitu, zjeść jego serce. Inaczej nie zrozumie świergotu ptaków i nie otrzyma nagrody. Jeśli zaś pokona smoka i zje jego serce, będzie miał i skarb, i śpiącą dziewczynę.

– Dziewczynę możecie panowie zachować dla siebie. – Schön skrzywił się.

# **CZEŚĆ DRUGA**

1-3 lutego 1919

## Rozdział 6

### *Niewolnica zmysłów*

Pociąg do Berlina stał na zaśnieżonym sosnowieckim dworcu. Z komina lokomotywy wydobywały się czarne kłęby dymu, a celnicy bez pośpiechu chodzili od przedziału do przedziału. Po nieudanym styczniowym zamachu Januszajtisa-Żegoty, po tym, jak wprowadzono w Warszawie i Zagłębiu stan wyjątkowy, po tym, jak czeskie wojska zajęły Cieszyn, a w Paryżu otwarto światową konferencję, która miała ostatecznie zdecydować o granicach państw, celnicy mieli wszelkie prawo żywić przekonanie o bezwzględnej ważności swojej misji. Bo dzisiaj granica jest tu, a kto wie, gdzie będzie po paryskiej konferencji. Kto wie, ile jeszcze zamachów stanu dokona się w Warszawie, ile stanów wyjątkowych ogłosi się w Zagłębiu i ilu Czechów planuje inwazję na Skoczów. W dodatku tydzień temu były wybory. A po wyborach bywa różnie.

Skrzypnęły drzwi. Młoda kobieta, która dotąd wyglądała przez okno i wpatrywała się w cebule cerkwi po drugiej stronie torów, odwróciła głowę ku pogranicznikowi. Od razu wyczuła, że jest niesympatyczny. Mimo to uśmiechnęła się. Nie zareagował.

– Proszę paszport.

Podła dokument i spokojnie czekała. Jakby od niechcienia spuściła wzrok i przetarła dłonią szary materiał, którym obszyto ławki. Była pewna, że jeśli nawet ten gbur jej nie rozpoznał, to samo jej nazwisko zaraz spowoduje...

Niczego nie spowodowało. Gbur otworzył paszport, przeczytał, co trzeba i zatrzymał dokument w ręku.

– Proszę mi oddać paszport – powiedziała zaniepokojona.

– Za chwilę. Które walizki należą do pani?

– Te. – Wskazała palcem na półkę u góry.  
– Otworzyć. – Celnik spojrział na nią bez cienia sympatii.  
– Którą otworzyć?  
– Wszystkie.  
– Ale ja tam nie dosięgnę.  
– Tragarz! – celnik krzyknął w głąb korytarza. Przez wąskie przejście przepchnął się korpulentny człowiek w czapce z galonem.  
– Ściągnijcie, człowieku, te walizki.  
– Które, panie oficerze?  
– Wszystkie.  
Tragarz, sapiąc, ściągał bagaże z półek.  
– No wie pan... – zaczęła nadąsana.  
Otworzyła pierwszą walizkę. Celnik wsunął rękę do środka. Zrobiło jej się niedobrze na samą myśl, że obcy mężczyzna bezkarnie grzebie w jej bieliźnie.  
Wyjął metalową puszkę.  
– Co to jest?  
Zawahała się.  
– Film.  
Uniósł brwi.  
– Film. *Niewolnica zmysłów* – wyjaśniła. – Ja w nim występuję. –  
Była zdenerwowana.  
Schował jej paszport do kieszeni munduru. Oglądał puszkę uważnie, obracając ją w rękach.  
– Proszę mi okazać zezwolenie wywozu tego... za granicę.  
– Nie mam żadnego specjalnego zezwolenia.  
– To jakim prawem próbuje pani wywieźć film z Polski? Przecież to niezgodne z przepisami.  
– Nie wiedziałam, że przepisy nakazują... – Urwała w pół zdania. Teraz już była poważnie zaniepokojona.  
– To, że pani nie zna przepisów, wcale nie oznacza, że wolno je pani łamać.  
– No wie pan, ja sobie wypraszam. O co mnie pan oskarża? Przecież... ja złożę zażalenie...  
– Nie, proszę pani. To ja złożę meldunek. Nie dość, że pani bez zezwolenia szmugluje towar za granicę, to jeszcze pani śmie grozić urzędnikowi państwowemu?

Spurpurowiała.

– To już naprawdę bezczelność!

– Tragarz! – krzyknął celnik, chociaż mały człowiek stał tuż obok niego.

– Słucham uprzejmie, panie oficerze.

– Proszę wynieść walizki tej pani na peron. Panna... – Zerknął w paszport. – Panna Chałupiec dalej tym pociągiem nie jedzie.

Zbladła.

– Jak pan śmie w ten sposób mnie traktować? Jak pan w ogóle śmie tak traktować kobietę? – Teraz była w swoim żywiole. Podniosła rękę do oczu i krzyczała: – Jak pan śmie w ten sposób traktować polską artystkę?

– A jak pani śmie ukrywać w walizkach kontrabandę? – ryknął.

– I krzyczeć na polskiego urzędnika państwowego! Proszę natychmiast opuścić pociąg, bo inaczej zawołam policję kolejową i wsadzę panią do aresztu.

– Pan zwariował! Ja mam wykupiony bilet do Berlina, tam na mnie czeka mój impresario i nigdzie stąd nie wyjdę. Proszę kazać tragarzowi wnieść moje walizki do pociągu.

Celnik ani myślał ustępować. Walizki stały już na zaśnieżonym peronie.

– Niech pani natychmiast wysiądzie, mówię pani po raz ostatni.

Może by go nie posłuchała, ale wystraszyła się, że pociąg odjedzie, a jej walizki zostaną w Sosnowcu.

– Dobrze. I żądam, żeby mnie pan zaprowadził do naczelnika.

– Właśnie dokładnie to zamierzam uczynić. – Skinął głową. – Pójdziemy do naczelnika. Zobaczymy, co on powie na to wszystko.

Przecisnęli się przez wąski korytarz i zeszli na peron. Stanęli obok walizek. Lokomotywa sapała ciężko i posypywała śnieg czarnym pyłem.

– Najpierw to ja powiem naczelnikowi, jak mnie pan potraktował. – Była biała ze zdenerwowania.

Zawiadowca podszedł do nich.

– Co mam robić? Pociąg się opóźnia.

– Niech pan rusza.

Zawiadowca wahał się.

– A ta pasażerka?

– Nie jedzie.

– Pan oszalał! – krzyknęła. A do zawiadowcy: – Nie może pan puścić pociągu beze mnie. Ja mam wykupiony bilet do Berlina!

– Ale jak celnik panienkę zatrzyma godzinę, to ja nie mogę tu czekać.

– Jakim prawem celnik mnie zatrzymuje? Nic złego nie zrobiłam.

– Ja tam nie wiem. O Jezu, co mam robić?

– Powiedziałem panu, że pociąg może ruszać. Ta. Pani. Dalej. Nie. Jedzie.

I rzeczywiście, ta pani dalej nie pojechała. (W każdym razie nie tym pociągiem).

Celnik poprowadził pasażerkę do niewielkiej izby.

– Proszę. Pani tu poczeka.

– A moje bagaże?

– Tragarz dworcowy się nimi zajmie – burknął.

Zamknął drzwi za aresztantką i rozejrzał się po peronie. Dostrzegł dróżnika, który zdumiony przyglądał się z bliska całej tej scenie.

– Pilnuj pan drzwi – powiedział celnik. – Idę po naczelnika.

Już po chwili do izby, w której przebywała zatrzymana pasażerka, szybkim krokiem zdążył komendant.

Na widok hrabiego Dąbskiego roztrzęsiony dróżnik wyjącał:

– Panie naczelniku, ja nie będę wykonywał takiej pracy!

– Co się stało, panie Ociepa?

– Panie naczelniku, tutaj celnik uwięził młodą damę, a mnie kazał jej pilnować. Ja nie jestem do pilnowania kobiet, jestem prostym człowiekiem, ale nie będę... – zająknął się ze zdenerwowania – z całym szacunkiem, ale nie będę...

Dąbski spojrzał na dróżnika uważnie.

– Celnik mi mówił, że to jest jakaś niebezpieczna awanturnica, a pan mówi, że dama?

– Panie naczelniku, ja nie wiem, co wstąpiło w celnika, jaki go ugryzł, ale ta pani jest najpiękniejszą i najbardziej światową damą, jaką w życiu widziałem.

Dąbski trzymał już rękę na kłamce, ale cofnął ją.

– Tak pan mówisz?

– Jak Boga jedyne go kocham.  
– No to musi pan tu jeszcze postać z osiem minut.  
– Panie naczelniku...  
– No już, już, panie Ociepa. Niech jej pan strzeże jak oka w głowie.

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

– No, nie... – Ociepa złapał się za głowę.

Po ośmiu minutach (liczone z zegarkiem w ręku, tak kiedyś było na kolei) podporucznik wrócił: świeżo uczesany, wybrylantowany i wygalantowany, w mundurze pozapinanym pod szyję.

Ociepa przestraszył się nie na żarty, że dopiero zaczną się kłopoty. Zastawił drzwi własnym ciałem.

– Panie naczelniku – powiedział niemal płacząco – ja jestem pracownikiem kolei i nawet za jasnie oświetlonego cara, to znaczy chciałem powiedzieć, w carskiej niewoli, nikt mi nie kazał kobiet w areszcie pilnować...

– Panie Ociepa, jest pan wolny... – powiedział zniecierpliwiony Dąbski.

– ... to jakże to tak, żeby w niepodległej Polsce...

– Przepuść mnie pan wreszcie do tej młodej damy. Nawet gdybym chciał ją uwolnić, to nie mogę, bo mi pan nie pozwalasz. – Dąbski zdecydowanym ruchem odsunął Ociepę i nacisnął klamkę.

Wszedł do izby. Kobieta nie zareagowała na skrzypnięcie otwieranych drzwi. Stała w kącie przy żelaznym piecyku, tyłem do podporucznika, i ogrzewała sobie dłonie.

– Zdaje się, młoda damo, że naraziła się pani na jakiś kłopot – rzekł po chwili w kierunku pleców okrytych futrem.

Odwróciła się powoli, dla większego efektu, i spojrzała w jego oczy. Ma się tę dystynkcję, ma się tę subtelność. I urok też się ma, a jakże.

Przez chwilę oboje milczeli. Podporucznik jednak był tu bądź co bądź służbowo, więc nie mógł po prostu stać. Ona mogła. Jemu wypadało się przedstawić, nawet jeśli miał do czynienia z aresztantką.

– Jestem podporucznik hrabia Dąbski, naczelnik straży celnej. Proszę mi wyjaśnić, co się stało – powiedział grzecznie.

Hrabia. Hrabia!



Westchnęła.

– Nazywam się Apolonia Chałupiec... Pola Negri. Jadę z Warszawy, jestem już bardzo zmęczona, wiozę do Berlina kopię własnego filmu. Gdyby nie powstanie w Wielkopolsce, jechałabym przez Poznań, miałabym o połowę bliżej i nikt by mnie tak nie traktował. Pański ordynarny podwładny wyrzucił mnie z pociągu prosto na śnieg, krzycząc, że popełniam przestępstwo i właściwie odniosłam wrażenie, że jestem taką... – szukała odpowiednio mocnego słowa – kreaturą...

– Ależ!... – zachnął się.

– Tak, kreaturą – powtórzyła z naciskiem – że powinnam teraz zgnić gdzieś w lochu, którego klucz wyrzucono by do Wisły. – Umilkła i odwróciła się znowu w stronę piecyka.

Miało to wyglądać tak, że chce ukryć łzy, bo wstydzi się płakać w tej sytuacji, mimo że jej ubliżono. Wytężyła słuch, czekając na reakcję młodego podporucznika o błękitnych oczach.

Po chwili usłyszała cichy śmiech.

– U nas nie ma Wisły. Tutaj jest Czarna Przemsza... Zresztą... ja bym klucza do pani lochu nie wyrzucił.

Nie odwróciła się.

Usłyszała kroki, skrzypnięcie drzwi i słowa podporucznika skierowane do kogoś stojącego na zewnątrz: „Zawołajcie mojego adiutanta”.

Wciąż stała odwrócona w kierunku piecyka, ogrzewała dłonie i nasłuchiwała.

Do izby ktoś wszedł i podporucznik wydał polecenie wystawienia zgody na wywóz filmu. Dopiero wówczas Dąbski podszedł do niej. Teraz jej też wypadało odwrócić się do niego.

– Popełniła pani wykroczenie celne, ale nieumyślnie. Z pani strony nie było to żadne przestępstwo. Celnik zachował się regulaminowo, lecz był względem pani niegrzeczny. – Zawahał się.

– Za przykrość należy się rekompensata. Zwalniam panią z obowiązku uiszczenia cła.

– Ale ja zapłacę – powiedziała i uniosła głowę. – Tylko proszę mi pozwolić jechać dalej.

– Nie będzie pani płaciła.

– Ja nalegam.

– Ja też nalegam – odparł. – Poza tym to ja tu jestem naczelnikiem i to ja wydaję rozporządzenia celne.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Dziękuję. To miłe z pana strony.

– Natomiast ja rzeczywiście poproszę panią o dowód wdzięczności. – Uśmiechnął się.

Spurpurowiała.

– No wie pan... jak pan śmie w ten sposób do mnie...

Stropił się nieco.

– Ależ... ależ ja tylko chciałem panią prosić o uczynienie mi zaszczytu... – Zająknął się i spojrzał na zegarek. – Następny pociąg ma pani dopiero za dwie godziny. Czy przyjęłaby pani moje zaproszenie na obiad do restauracji?

– Zbyt wielki byłby to dla pana kłopot. – Zawahała się.

– W żadnym wypadku! – zawołał. – Żaden kłopot. Honor i przyjemność. Tak rzadko mamy tu okazję spotkać kobietę piękną i światową, że... – Nie dokończył.

– Dobrze, przyjmuję pana zaproszenie – powiedziała szybko, bo pomyślała, że ten prowincjonalny bądź co bądź hrabia zaraz się rozmyśli.

– Zapraszam panią do „Victorii”. To niedaleko stąd. Czy wezwać dorożkę?

– Jeśli to blisko, może pójdziemy piechotą?

– Bardzo blisko.

– Proszę prowadzić. Zdaję się na pana opiekę, panie hrabio. – I ujęła go pod ramię.

\* \* \*

Przy obiedzie opowiedziała mu o najnowszym filmie, który nakręciła w Niemczech. *Żółty paszport*. Premiera odbyła się dwudziestego drugiego listopada. Oglądał pan może? Niestety nie, bardzo żałuję, ale na swoje usprawiedliwienie powiem, że w listopadzie też byłem tu zajęty Niemcami. Roześmiał się. Musiałem ich rozbierać.

Pewnie pan uważa, że nie zachowuję się patriotycznie? Boże broń, uniósł dłonie, co innego polityka, a co innego sztuka. Ja mam swoją rolę do odegrania, a pani ma swoją, to oczywiste. Zresztą nie

wiem, czy film już był pokazywany w Sosnowcu, pewnie jeszcze nie, jeśli od premiery w metropoliach minęło ledwie trzy miesiące. I żeby zmienić temat, poprosił, może mi pani powie, o czym jest ten film. *Żółty bilet*? Nie, nie, *Żółty paszport*. A tak, przepraszam, to się popisałem. Ona mu powiedziała. Młoda studentka, Żydówka, bardzo wrażliwa dziewczyna, musi, jak wszyscy Żydzi w carskiej Rosji, mieć żółty paszport. No i chodzi o to, że łatwo ją pomylić z prostytutką, bo prostytutki też miały podobne paszporty. No i na tym tle społecznym jest też wątek miłosny, bo ta dziewczyna, pomimo przeciwności losu, bardzo pragnie miłości... Dlaczego pan tak na mnie patrzy?

– Nie, nic. – Zaczerwienił się.

– Powiedziałam coś głupiego?

– Ależ skąd. Ale proszę mi wytłumaczyć, jak Niemcy kręcili zdjęcia w Petersburgu, skoro była wojna i rewolucja?

– Kręcili w Warszawie. W dzielnicy żydowskiej – wyjaśniła Pola.

– Warszawa udawała Petersburg.

– To można tak? – zapytał naiwnie.

– Można. Widzi pan, film to sztuka oszustwa.

Zmarszczył brwi. Wyczuła, że mu się to nie spodobało.

Szybko zmienili temat.

On jej powiedział o tym, jakie miał zmartwienia tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Dwudziestego pierwszego grudnia wojsko otoczyło uzbrojoną załogę Czerwonej Gwardii. Na szczęście nie doszło do rozlewu krwi, bo gwardziści złożyli broń i się poddali, ale dzień później patrol zastrzelił górniką z kopalni Renard, bo ten odmówił odpięcia czerwonej kokardki.

– Więc w Wigilię, zamiast siedzieć przy świątecznym stole, musiałem pilnować, żeby pogrzeb zastrzelonego Dyląga, bo tak się nazywał ten górnik, pogrzeb, ba, wiec, nie przerodził się w otwarte zamieszki.

Ona zapytała z zatroskaną miną, czy jego zdaniem zagrożenie bolszewickie jest realne, ponieważ w Warszawie również, tuż przed Nowym Rokiem, padły strzały podczas manifestacji i było pięciu zabitych, więc czy wiadomo, ilu ich jest, tych komunistów. Wzruszył ramionami. Ilu jest sympatyków, tego nie wie nikt, ale w Sosnowcu do samej partii należy bez mała tysiąc osób. Mój Boże,

to ilu ich musi być w skali całego kraju?! Spojrzała na niego z uznaniem, bo prosił, z jednej strony komuniści, z drugiej strony Niemcy, a między nimi bohaterski komendant policji.

Zapytała, czy ma jakieś wsparcie, ale oczywiście zrobiła to w sposób jak najbardziej delikatny, żeby nie uznał jej pytania za natręctwo.

On powiedział, że jego ojciec nie żyje, a mama, no cóż, prawdę mówiąc, jest bardzo chora. Ale nie jest pan samotny? Ktoś panu pomaga przy cierpiącej mamie? Tak, tak, mam na szczęście dwie wspaniałe siostry. Starsza, Irenka, złota osoba, naprawdę zacna, jej narzeczony zresztą też, porucznik, mój kolega, złego słowa nie mogę powiedzieć. Młodsza, Ludmiła, ma czternaście lat, ale jest bardzo zaradna i zapobiegliwa. Właściwie to ona prowadzi dom, prosił sobie wyobrazić, czternastoletnia dziewczyna, wie, co lubię, czego nie lubię, wie, co ma zostać podane na śniadanie, roześmiała się, nawet pilnuje, żeby moje koszule były na czas wyprane i wyprasowane. To w takim razie pana przyszła żona będzie musiała dbać o dobre stosunki z siostrami. No chyba tak, chyba tak, ale na razie o tym nie myślałem. Siostry mogą nie dać sobie tak łatwo pana odebrać. Siostry chcą, żebym rozwinął karierę w dyplomacji, to jest ich ambicja. A pańska? Moja też, oczywiście, to co robię w Sosnowcu, jest, jak mówią, szczeblem do dalszej kariery. Musi pan teraz uważać, żeby się nie rozniosło po mieście, że jadł pan obiad z aktorką, bo to panu zrujnuje reputację. Prosił tak nie mówić, bardzo prosił. To naprawdę dla mnie zaszczyt, że pani zgodziła się przyjąć moje zaproszenie. Nigdy nie byłem w restauracji z aktorką. To dla mnie duże przeżycie. Dla mnie jeszcze większe. Nigdy nie byłem w restauracji z komendantem policji. Machnął ręką. Mój zawód, przy pani zawodzie... nie ma o czym mówić. No, no, mam nadzieję, że – jak młodsza siostra ma na imię? Ludmiła? – nie będzie się na pana dąsać, że wpadł pan w skandaliczne towarzystwo.

Zmienił temat i zapytał ją, czy lubi mieszkać w hotelach. Och, czasami tak, czasami nie. Sama nie wiem. Zależy gdzie, zależy od obsługi, w hotelach lubię to, że jest się osobą anonimową, że się nie ma odpowiedzialności za codzienne sprawy. Nawet łóżka nie trzeba słać i można rozrzucić wszystko po podłodze, a pokojówka

i tak posprząta. Można narzekać na obsługę, można zgłaszać zażalenia, ale czasami wolałabym więcej spokoju kosztem luksusu, mniej bagaży, mniej kufrów i pudeł z kapeluszami. Ale teraz, w Berlinie, mam bardzo przytulne mieszkanie. Z okien po jednej stronie widać Szprewę, a po drugiej pałac Charlottenburg i można chodzić na spacer do parku, ale za daleko się nie zapuszczam, bo czasy są niespokojne i ciągle dochodzi do starć różnych ugrupowań na ulicach, wszystko to jest trudne dla młodej kobiety. Zapytał, czy ktoś jej pomaga. Tak, tak, mam damę do towarzystwa, która jest jednocześnie kucharką. Ma na imię Lena, mówi po polsku i po niemiecku, bo pochodzi z Prus Wschodnich, spełnia wszystkie moje zachcianki, rozpieszcza mnie. Mam też nauczycielkę niemieckiego, panią Goodman, kochana Eugenia, ta to ma cierpliwość, ale wie pan, co jest najgorsze? Aż wstyd powiedzieć. Mama każdego tygodnia wysyła mi paczki z jedzeniem z Warszawy i proszę sobie wyobrazić, że większość z nich nie dochodzi, a te, które dochodzą, są spustoszone i zamiast jedzenia wyciągam z nich kamienie. Nie mam pojęcia, kto rabuje, czy Polacy, czy Niemcy, ale to takie przykre. Kochana mama tak się stara, a tu kamienie. Zawsze się wtedy popłaczę. Teraz, będąc w domu, prosiłam mamę, żeby już nie wysyłała paczek, bo jedyne co dochodzi to pasztet. Nikt nie chce pasztetów rabować, roześmiała się.

Po chwili spoważniała i westchnęła.

Namawiałam mamę, żeby ze mną jechała do Berlina, ale odmówiła. Właściwie byłam teraz w Warszawie, bo tęskniłam za mamą, a mój agent w Berlinie zgodził się dać mi kilka dni urlopu pod warunkiem, że przywiozę mu kopię tego nieszczęsnego filmu, który na mnie tyle kłopotów dzisiaj sprowadził. Kazał mi kupić udziały w *Niewolnicy zmysłów* od Hertza, nazwisko panu nic nie powie, ale Hertz jest teraz bez pieniędzy, więc Davidson dobrze wyczuł, że Hertz chętnie odsprzeda kopię, no i rzeczywiście tak się stało, kupiłam film legalnie, tylko nie wiedziałam o deklaracji celnej, ale już nie chcę do tego wracać, natomiast mnie nie tyle zależało na filmie, ile na tym, żeby namówić mamę na wyjazd, bo Warszawa to miasto bez perspektyw i byłam niemal pewna, że mama się zgodzi, ale proszę sobie wyobrazić, powiedziała, że nie może ze mną jechać, bo wrócił ojciec z więzienia, tak, tak, siedział

na Pawiaku za działalność konspiracyjną, patriotyczną, rewolucyjną, jeszcze z 1905 roku, posadzili go, apelacje nic nie dały, tylko zjadły cały majątek, w dodatku mój ojciec nie jest Polakiem, więc to było wszystko jeszcze trudniejsze, mama całą wojnę przemieszkała na poddaszu na ulicy Browarnej, żeby być blisko niego, przepraszam, że płaczę, ale... przepraszam... już dobrze... no więc mówię do mamy, żeby ze mną koniecznie jechała do Berlina, a ona na to, że ojciec wrócił, więc ja pytam, gdzie on jest, skoro wrócił, gdzie on jest, a matka, że jest w Warszawie, wie to od znajomych, no więc ja na to, że w takim razie lada moment wróci do nas, a matka, że nie wróci, bo żyje z inną kobietą... już przestaję płakać, przepraszam, a najgorsze, wie pan, panie hrabio, matka jest od ojca starsza o całe dziesięć lat i ona to akceptuje, że odszedł, sama mi powiedziała, że mu się nie dziwi, myślałam, że umrę na miejscu, kiedy to mówiła, więc ja jej na to, tym bardziej musisz, mammo, ze mną jechać, a ona mówi twardo, że nie pojedzie, bo ojciec może jej przecież w każdej chwili potrzebować, po prostu, jakby mnie ktoś uderzył w twarz, zaczęłam płakać i krzyczeć, mammo, nie zostawaj tutaj, a ona mówi, Polu kochana, muszę zostać, przecież ojciec jest po więzieniu, może się rozchorować, może mnie w każdej chwili potrzebować, mammo, wołam, chyba nie pozwoliłabyś mu wrócić, a ona na to, ja jestem od ciebie bardziej pokorna, córeczko, ale i ty z wiekiem spokorniejesz, muszę tu zostać, bo jeśli wróci, to go przyjmę z otwartymi ramionami. Proszę sobie wyobrazić, w jakim stanie wyjeżdżałam z Warszawy. Miałam rolkę z filmem, jak na ironię, *Niewolnica zmysłów*, wyjechałam zrozpaczona, dotarłam do Sosnowca i jakby tego wszystkiego było mało, wpada celnik...

Spojrzała na Dąbskiego.

Słuchał jej, ach, jak on jej słuchał. Nikt nigdy jeszcze nie słuchał jej z taką uwagą, z takim napięciem we wzroku.

Widzi pan zatem, jak to jest. Życie gwiazdy filmowej. A mnie czasami męczy bycie aktorką i chciałabym po prostu mieć zwykłą rodzinę i dom, wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale tak jest, nie zawsze, ale czasami o tym sporo myślę.

Właściwie co ją podkuśiło, żeby nieznanemu mężczyźnie coś takiego mówić?

Panie hrabio, ja właściwie muszę się odwołać do pana dyskrekcji. Ależ szanowna pani, słowo oficera i słowo szlachcica. Będzie mi miło, jeśli pan będzie do mnie mówił panno Apolonio, chętnie zgodziłabym się na większą poufałość, bo sama nie wiem dlaczego, ale poczułam do pana taką sympatię i ufność... jest pan takim świetnym rozmówcą... ale nie wypada jednak, żeby mi pan od razu mówił *per* Polu, chociaż nie ukrywam, że chciałabym tego z całego serca, to wręcz jakieś szaleństwo, prawda? Czy mogę się do pana zwracać *per* panie Eugeniuszu? Bo panie hrabio brzmi tak onieśmielająco, a panie poruczniku jeszcze bardziej, nie mówiąc o panie komendancie, którego się naprawdę można przestraszyć, szczególnie po moich przygodach z pańskim groźnym celnikiem. Jak to pani powiedziała? Niechże sobie przypomnę, aha, kreatura, no wybornie, jak można było, panno Apolonio, w ten sposób w ogóle powiedzieć, czy pozwoli pani ucałować swoją dłoń, czy byłoby to nadto śmiałe? Proszę ucałować. Ach, jakich pani używa wykwinnych perfum, w głowie mi się zakręciło. Mnie się też w głowie zakręciło i całe szczęście, że zaraz przyjedzie mój pociąg, bo przecież nie mogę tu siedzieć z panem, panie Eugeniuszu, do rana, ma pan bardzo ładne imię. Dziękuję. Panie Eugeniuszu, przecież ja pana nie znam, a pozwalam sobie doprawdy na opowiadanie takich historii rodzinnych, nawet intymnych, z głębi duszy płynących, ja nie wiem, czy w ogóle powinnam, ja muszę się chyba przejść po świeżym powietrzu. Ha, ha, nie w Sosnowcu, mówi pan? No to chociaż po mroźnym powietrzu. Mam nadzieję, że mnie pan odprowadzi na dworzec, bo pogniewałabym się śmiertelnie. Ależ odprowadzę! Chociaż zdaje sobie pani chyba doskonale sprawę, że wcale nie chcę, żeby pani wyjeżdżała i walczę z dwoma impulsami, bo z jednej strony wiem, że odprowadzając panią na dworzec, mam tę cudowną okazję czuć pani dłoń na mojej ręce, bo nie wyobrażam sobie, żeby mnie pani nie wzięła pod ramię, po prostu sobie nie wyobrażam. Zresztą szliśmy pod rękę i w tę stronę, prawda? Pan jest, panie Eugeniuszu, nader śmiały, i powiem panu szczerze, nader przystojny i ja muszę pana powściągnąć jakoś. Tak, oczywiście przejdę z panem pod rękę, ale to z jednej strony, a z drugiej strony co? Nie rozumiem. Bo przerwałam panu w pół zdania, jakoś mi się w głowie zakręciło.

Aha, z drugiej strony, ja nie chcę wcale, żeby pani odjeżdżała, mówię szczerze, ach, panie hrabio, drogi, czyż mogę? Drogi panie Eugeniuszu, panno Apolonio, droga moja, nie, nie, musimy przestać, proszę mnie odprowadzić na pociąg. Czy będę mógł chociaż do pani napisać do Berlina? Ależ tak, tak, proszę napisać, będzie mi bardzo miło. Czy wierzy pani w przeznaczenie i los i to, że nie ma przypadków, tylko wszystko się na tym świecie dzieje z jakiegoś powodu i że czasami nawet gburowaty celnik jest narzędziem w wykonywaniu planów opatrności?

Powiedziała, że wierzy.

On powiedział, że też w to wierzy.

Potem ona wyjechała do Berlina, a on został na peronie.



## Rozdział 7

### *Śmieję się, Pajacu*

W piekarni na Miłej ustawiała się kolejka po świeży chleb. Sam pan Franciszek stanął za ladą, a Janek, w białym umączonym fartuchu, szybko układał bochenki na drewnianych półkach. A co ułożył bochenek, to się osypywało z niego trochę mąki.

– Ty, Caruso, zaśpiewałbyś nam coś przy sobocie! – zawołał ktoś z kolejki.

– Nie mam czasu – powiedział Janek, nie przerywając pracy.

– Nie bądź taki – zawtórował inny klient. – Zaśpiewaj, skoro tyle czekamy.

Chłopak spojrzał kątem oka na ojca, ale nie przestał wykładać chleba.

– Panie Franciszku, niech syn coś zaśpiewa. – To już trzecia osoba ponowiła prośbę.

Klient nasz pan.

– No, zaśpiewaj – mruknął ojciec.

Chłopak odwrócił się od półek z pachnącymi bochenkami.

– Ale co? – Rozłożył ręce.

– Może to, co Gruszczyński bisował dwa razy w Teatrze Zimowym. *Śmieję się, pajacu*. Znasz? – Mężczyzna ze szpotawą stopą chrząknął i zaintonował: – Śmieeeej się, Pajaaacuuu, choć boleeeeejiesz niezmiieeernie. Śmieję się, choć bóóóól przeszywa seeeerce twee... Byłeś na koncercie?

Janek skinął głową. Dobrze sobie. Czy on to zna? On, który setki razy słuchał tej arii w wykonaniu Carusa na gramofonie kupionym w składzie u Błotniewskiego? Na koncercie Gruszczyńskiego był w ubiegłym roku, był dwa lata temu i to właśnie po ostatnim koncercie, kiedy sosnowiecka publiczność wpadła w zbiorową

ekstazę i wywoływała artystę bez końca, postanowił, że zostanie śpiewakiem. Tym bardziej że znał Staśka nie jako gwiazdora Opery Warszawskiej. Pamiętał go jeszcze sprzed wojny, jako skromnego kelnera z sosnowieckiej cukierni. „Nie martw się, Janek, że nie lubisz szkoły – powiedział mu kiedyś Stasiek. – Ja też z wilczym biletem wyleciałem”. Roześmiał się, ale od razu dodał poważnym tonem: „To było za strajk szkolny w tysiąc dziewięćset piątym”. Stasiek tak chciał śpiewać, że w kinematografie w przerwach między seansami wychodził na salę i występował za darmo. Pianista zawsze był na miejscu, do filmów akompaniował, to się w przerwie ugadywali, właściciel kina się zgadzał i Gruszczyński śpiewał. A że mu było mało, że chciał wciąż więcej, bo mu nauczyciel, pan Strzyżykowski, kazał głośno nieustannie ćwiczyć, to jeździł kelner Stasiek do kinematografów w całej okolicy. Kto by się wtedy spodziewał, że wyjedzie wreszcie nie do Zawiercia, nie do Częstochowy, tylko do Warszawy, i że zrobi oszałamiającą karierę. Teraz do Sosnowca wracał nie jako kelner, co woli śpiewać, niż ciastka roznosić, tylko jako bohater.

Stasiek z cukierni, Janek z piekarni, a co.

Tyle że Janek będzie śpiewał jeszcze lepiej. Bo Gruszczyński śpiewał wszystko po polsku, a Janek, jak Caruso, po włosku. Wyjedzie z Sosnowca w świat, a jak kiedyś wróci, będą wiwatowały tłumy. Przecież może tak być. Przecież tak się może stać.

Chłopak wyprostował się. Otarł dłonie o fartuch. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie ubielić sobie mąką twarzy, bo wtedy wyglądałby jak prawdziwy bohater *Pajaców*, ale chyba takiego czegoś by mu ojciec nie przepuścił.

Chrząknął.

Najpierw, jakby na próbę, zaintonował podkreślając mocno dźwięk „r”:

*Recitar!*

Urwał na sekundę, jakby się zamyślił, powiódł wzrokiem po klientach piekarni i wziął głęboki oddech.

*Mentre preso dal delirio,  
non so più quel che dico,*

*e quel che faccio!  
Eppur è d'uopo, sforzati!  
Bah! Sei tu forse un uom?  
Tu se' Pagliaccio!*

W ostatnie słowa starał się włożyć ból i ironię.

*Vesti la giubba,  
e la faccia infarina.  
La gente paga, e rider vuole qua.  
E se Arlecchin t'invola Colombina,*

Oddech.

*...ridi, Pagliaccio, e ognun applaudirà!*

Oddech.

*Tramuta in lazzi lo spasmo ed il pianto  
in una smorfia il singhiozzo e 'l dolor, Ah!*

Głęboki oddech. A potem zadźwięczały szyby. I nic się przez chwilę nie liczyło, ciarki ludziom przeszły po plecach, a w oczach, nie wiadomo skąd, pojawiły się łzy, kiedy Janek, syn piekarza, zaśpiewał zdumiewająco mocnym i czystym głosem:

*Ridi, Pagliaccio,  
sul tuo amore infranto!  
Ridi del duol, che t'avvelena il cor!*

Zapadła cisza. Chłopak uklonił się niezbyt zgrabnie. Klienci piekarni stali jak zaczarowani. Kto by się spodziewał, patrząc na niego. Zwykły łobuz, sądząc z twarzy.

– Jezus Maria – sapnęła jedna z kobiet w kolejce.

– Panie Franciszku, pana syn będzie sławniejszy od Gruszczyńskiego, zobaczy pan – powiedział klient ze szpotawą stopą.

Inny, bez szpotawej stopy, dodał jednak:

– Ładnie śpiewasz, synku, ale kariery nie zrobisz. Od wdychania drożdży płuca się psują, więc jak twój ojciec chce, żebyś śpiewał, to cię musi zwolnić z roboty w piekarni, zanim ci drożdże płuca podziurawią.

– Janek będzie prawnikiem – mruknął pan Franciszek. – Nie po to go do dobrej szkoły posyłam, żeby biedę klepał jako szansonista.

Piekarz Franciszek nie uznawał kompromisów. Matka Janka, Maria, kiedy chciała za niego wyjść, musiała się ochrzcić, chociaż była Żydówką, i to z dobrej rodziny. Nie będzie się do niej cała familia odzywać, no, też wielka mi rzecz.

– Te, Caruso, ojciec to cię chyba czasem biją? – zapytał zażywny rudzielec, który właśnie płacił za dwa bochenki i mrugał do pana Franciszka.

– Czasem biją – powiedział Janek bez specjalnego przejęcia.

– Pasem czy kijem?

– A i tak, i tak. – Chłopiec spojrzał na ojca. – Wszystkie bochenki wyłożyłem.

– Dobrze. Dam sobie radę, możesz lecieć.

Janek odwrócił się na pięcie i zniknął za wahadłowymi drzwiami.

\* \* \*

Pan aptekarz leżał na łóżku z wyprostowaną nogą, przykryty lekkim pledem. Złamanie kości się zagoiło, ale noga pobolewała jeszcze. Obita głowa i potrzaskane ramiona już nie dokuczały.

Sytuacja, w której się znalazł, miała jeden niewątpliwy plus. Po raz pierwszy od ćwierć wieku nie musiał dzielić małżeńskiego łóża z panią Marią, ba, nie musiał nawet dzielić tego samego pokoju i był to czysty luksus, choć wbrew boskim przykazaniom. Po pierwsze, nie budziło go uporczywe chrapanie, sapanie i mlaskanie żony, po drugie nie budziło go jej przewracanie się z boku na bok (a przewracała się ciężko i konwulsyjnie, jak podduszony wieloryb), po trzecie nie budziło go uporczywe szuranie stopami po prześcieradle ani – co najważniejsze w tabeli zysków – skubanie paznokci przez sen. Wszystko to było mu oszczędzone dzięki złamanej nodze oraz obitemu ciału. Pan aptekarz został bowiem w majestacie prawa ulokowany w osobnym pokoju na czas

rekonwalescencji, gdyż nocne nieskoordynowane wywijanie kończynami przez żonę groziło pacjentowi kolejnymi kontuzjami. Pan Hieronim dumiał, jak to teraz rozegrać na swoją korzyść w sensie strategicznym i do małżeńskiego łóżka w ogóle nie wracać, kiedy się noga wygoi, bo spanie we własnym pokoju, we własnym łóżku, którym nic nie wstrząsało, w którym nikt poza nim nie miał prawa szurać szorstką piętą po prześcieradle, nikt nie taranował potylicą skrzypiącego wezgiłowia i nikt nie obskubywał paznokci przez sen, otóż takie właśnie spanie, odkryte po ćwierćwieczu splacania chybionej inwestycji z młodości było zbyt przyjemne, by z niego zrezygnować bez stawiania zacieklego oporu. W zaciszu swego pokoju pan Hieronim nabrał nawet zwyczaju pomrukiwania przed zaśnięciem, na znak akceptacji nowego losu w całej rozciągłości.

Niestety urlop obowiązywał wyłącznie w nocy. W ciągu dnia żona krzątała się po całym domu i gderała.

A on czytał właśnie o wyniku wyborów do Sejmu.

– Gdybyś nie był przykuty do łóżka, też mógłbyś głosować – powiedziała pani Maria.

Pan Hieronim powtórzył po raz setny w tym miesiącu:

– Gdybyś mnie nie wołała, nie przechodziłbym przez ulicę i automobil by mnie nie potracił.

– Owszem, wołałam cię, ale to nie znaczy, że miałeś leżać jak ciele. I co ty sobie w ogóle wyobrażasz! Ja przez twoją... – zawahała się – nieostrożność (chciała powiedzieć „głupotę”, ale żał jej się go zrobiło) mogłabym zostać sama! Czy nie dosyć, że córki już nie mam?

– Chciałbym ci uzmysłowić, Marysiu, że nie usiłowałem popełnić samobójstwa, tylko spieszyłem do ciebie. Więc nie czuję wyrzutów sumienia. Nie wpadłem pod automobil, biegnąc za inną babą. – W myślach pan aptekarz popędził jednak przez chwilę za soczystą Magdaleną, córką Jana Marii Szyjki. Ta by była warta zderzenia z automobilem. Albo na przykład ta nowa sprzedawczyni z cukierni, jakże ona się nazywa? Siekierka? Nie. Tasaczek? Też nie. Panna Toporek. No właśnie. – To po pierwsze. A po drugie, masz córkę.

– Nie mam.

– Bardzo nie lubię tego twojego zwyczaju wyrzekania się Izabeli, kiedy robi coś nie po twojej myśli.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ucieczka z bolszewikiem bez ślubu to jest coś, co mnie powinno napawać matczyną dumą?

– Nie. Tego nie chcę powiedzieć. Ale nadal masz córkę, tak jak ją miałaś. I jeśli kiedyś do nas wróci, na co bardzo liczę...

– ...nie wpuszczę za próg...

– ...to przyjmemy ją w domu z otwartymi ramionami.

Prychnęła.

– Nie licz na to.

– Ja na to nie liczę. Ja ci to oznajmiam.

Powiedział to takim tonem, że pani Maria zacisnęła ze złością usta. Chociaż Hieronim dla świętego spokoju najczęściej jej ustępował, były takie chwile, w których nie ulegało wątpliwości, do kogo w sytuacji konfliktu będzie należało ostatnie słowo. Pan aptekarz był bardzo ugodowy, gdy w grę nie wchodziły sprawy dla niego najważniejsze. Tych najważniejszych było niewiele, ale w ich obronie nie ustąpiłby przed nikim.

\* \* \*

Zajeżdżały dorożki i powozy. Nawet kilka automobili podjechało pod pałac, ale głównie korzystano z dorożek. Mało kto posiadał automobil, poza tym zimą przy takiej pogodzie nikt by automobilon na dwór nie wygnał. Niechże sobie postoi w jakiejś ciepłej stajni, żeby się nie zepsuł i nie zmarł, a wiosną się go wyciągnie. A zatem, zajeżdżały dorożki, jedna za drugą, i zatrzymywały się przed oświetlonym frontonem pałacu. Goście zadbali, żeby lakier powozów lśnił, żeby skóra była porządnie wypolerowana, a piasty kół wysmarowane maścią, bo jakże to ze zgrzytającymi kołami podjeżdżać? Służący odbierali lejce od woźniców, a stangreci zachowywali się nad wyraz przyzwoicie: nie rzucali lejca z łaski, tylko oddawali je grzecznie. Zresztą dorożki stały zaledwie przez chwilę, nikt tu nie czekał na klienta, każdy miał wrócić na umówioną godzinę. Nawet nikt koni derką nie przykrywał, całe to oddawanie lejca bardziej dla fasonu było, że to niby z pańska i z wysokich sfer.

Przed pałacem pobłyskiwał mokrawy śnieg, a zaproszeni goście wtłaczali się do środka, co rusz wypełniając drzwi swoimi odzianymi w futra postaciami. Podjazd wypełnił gwar polskich słów, bardzo dużo polskich słów, niegłośne śmiechy i rozmowy, a to pan, panie Tomaszu, a tak, zostałem zaproszony, ale nie wiem, czy już wchodzić, czy jeszcze poczekać na tego tamtego. E, niech pan wchodzi, co pan będzie na zimnie sterczał. Nie wiadomo przecież, czy ten tamten zaproszenie przyjął.

Nie obyło się też bez drobnego skandalu. Jedna z zaproszonych dam wyczytała w paryskim żurnalu, że najmodniej na przyjęcie przyjść z małym pieskiem na ręku. Piesek znakomicie się komponuje ze strojem wieczorowym. Tyle że w paryskim żurnalu na ilustracjach pieski zaopatrzone w kokardy grzecznie siedziały damom na rękach. Tymczasem mały kundelek pożyczony na ten wieczór od znajomych warczał, piszczał z przerażenia, wrywał się z rąk i wcale nie wyglądał jak elegancki dodatek do sukni. No i jeszcze lokaj w drzwiach zaczął kręcić nosem, że piesek będzie przeszkadzał podczas koncertu. „A jak się zsika?”. „Co, proszę?”. „No, jak się zsika, to co?”. Tego już było za wiele. Nie dość, że damie ręce odpadały od taszczenia warczącego potwora, który rozszarpywał zębami jej szal, to jeszcze ten tu będzie prawil impertynencje. „No, powiedz coś!”, zwróciła się do męża, który stał obok. „Ale co?”. „Nic, gamoniu”, burknęła. Odwróciła się na pięcie i wsiadła do dorożki. Mąż za nią.

*Herr* Dietel nie tylko zorganizował koncert dla polskiej publiczności, ale w dodatku był to koncert muzyki barokowej. („To już zakrawa na czystą kpinę”, stary Schön pokręcił głową z niedowierzaniem, gdy mu Lamprecht o tym doniósł). Zresztą nie tylko jemu zakrawało. Lokaj Wojtacha zaraz po Nowym Roku powiedział, że nie będzie Polakom usługiwał i z dnia na dzień zwolnił się z pracy. Jak młodszy pan zamierza zabawiać Polaków, to niech zabawia, ale on w czymś takim nie będzie uczestniczył. Inni lokaje odejściem Wojtachy się nie zmartwili. Niektórzy nawet pomyśleli z ulgą, że wreszcie odetchną od tego starego fagasa.

Honory domu pełniła pani Else, żona fabrykanta.

Z jednego końca sali balowej sunęła z szelestem na drugi, gdzie przy klawesynie czekali śpiewacy. Pani Else – w długiej srebrzystej

sukni, w białych, delikatnych rękawiczkach zapiętych aż za łokcie, cała w lśnieniach i połyskliwościach, otulona szalem i pachnąca mocnymi perfumami – przemierzała oświetlony salon, zgrabnie mijając otomany, fotele i taborety. Oczy gości świdrowały ją niezbyt ufnie, panie chmurniały i ściągały brwi albo spoglądały przez zmrużone rzęsy, panowie stroszyli ostre wąsiki; kosmate polskie głowy wydawały się jeszcze bardziej kosmate. Żona Dietla na nikim nie zatrzymywała wzroku, grzeczna, ale chłodna. Kiedy przechodziła, ci, co opierali się ramionami o kolumny, stawali prosto, ten i ów czuprynę szybko podgarniał, wąsa poprawiał.

Pani domu przystanąła przy klawesynie. Na tle luster, kotar i kobierców przywitała gości w imieniu męża i własnym, przedstawiła artystów i poprosiła wszystkich o zajęcie miejsc. Sama usiadła w miękkim fotelu nieruchomo, jak posąg, z jedną dłonią spokojnie złożoną w drugiej, nie zwracając uwagi na kobiety ubrane bez gustu i przeładowane pierścionkami.

Zaczął się koncert.

Najpierw śpiewała czarnooka panna Olga, sownie jędrna, elegancka Polka. Ręką opierała się o klawesyn. Śpiewając, spoglądała od czasu do czasu w jedno z dużych luster w salonie i w przymglonej tafli szkła rozmarzonymi oczami widziała nie salon Dietla w Sosnowcu, ale sale koncertowe w największych pałacach Europy: laury, girlandy i ciepłe brokaty.

Zaraz po niej wystąpił chudziutki francuski artysta, pan Philippe. Czarny frak wisiał na nim jak na strachu na wróble. Kiedy śpiewał, trzęsła mu się dolna szczęka, ale być może wynikało to z francuskości, to znaczy z tego feleru, że jeśli się przez całe życie mówi po francusku, to dolna szczęka sama z siebie wysuwa się do przodu, tak jak na przykład, gdy się mówi po angielsku, to się wokół ust nabiera czegoś mysiego. Kiedy Francuz śpiewał, zamykał oczy i falowała mu przepona, a koszula wydymała się i zapadała czy też, by posłużyć się słowami wieszczka, artysta wciągał w głąb pól brzucha i do płuc wysyłał z niego cały zapas ducha. Podczas fragmentów instrumentalnych z błogim uśmiechem kołysał się do taktu, a kiedy wykonywał trudniejsze frazy i bardzo się starał o efekt, cierpiał z powodu dziwnego tikku: sztywno prostował ręce



wzdłuż ciała, a one drgały, jakby zapadł na tę chorobę, od której ręce same podskakują.

Ale to było nic w porównaniu z tikiem dyrektora małej orkiestry, a jednocześnie wirtuoza klawesynisty. Kiedy zasiadł do gry, miał jedną nogę elegancko wysuniętą przed drugą, ale kiedy grał, to szur, szur, szur tak robił nogami, jakby szmatą podłogę ścierał, i już była lewa stopa przed prawą, a potem nagle szur, szur, szur, znów było odwrotnie. Suwał stopy z niezwykłą szybkością, lekko przy tym podskakując na taboreciku.

Żonka polskiego inżyniera szturchnęła męża delikatnie i wzrokiem wskazała nogi klawesynisty. Jeśli zaś chodzi o francuskiego śpiewaka, uznała, że jest w nim sporo wdzięku. Ładny chłopiec, delikatny, elegancki, no po prostu widać, że prawdziwy artysta, trochę nie z tego świata. Ciekawe, czy ci uduchowieni ludzie mają takie same potrzeby, no, takie zwykłe potrzeby jak inni, którzy są z tej ziemi, tu żonka pana inżyniera zarumieniła się do własnych myśli i ich nie dokończyła, zresztą właśnie rozległy się oklaski i tok jej rozważań został zaburzony.

Zdaniem gości koncert był interesujący, ale stanowczo za długi. Słuchacze mieli wrażenie, że każdą zwrotkę powtarzano trzy razy, nie wiadomo po co. Wynikało to najprawdopodobniej z faktu, że Niemcy, niestety, nie potrafili zadowolić się niczym krótkim.

Podczas poczęstunku uroczyste skupienie przy stole, które panowało na początku („Jedzą i piją, jakby komunię przyjmowali”, pomyślała pani Else) ustępowało miejsca coraz bardziej swobodnemu rozgwarowi, w miarę jak pałaszowano potrawy, podejmowano kielichy i wznoszono kolejne toasty. Największe wrażenie na gościach robiły jednak nie podawane dania, a wielkie białe, sztywno krochmalone serwetki wsuwane w srebrne kółka. W Sosnowcu była to nowość.

Po posiłku poczęstowano mężczyzn cygarami z wielkiego drewnianego pudła. Tylko kilkunastu panów reflektowało. Niektórzy byli stremowani. Kelner specjalną maszynką odkrawał skośnie czubek cygara, a panowie czekali, poprawiając binokle albo wyłamując nerwowo palce. Wreszcie wkładało się cygaro w usta, a kelner odpalał je specjalną zapalniczką. Zarówno zapalniczkę, jak i maszynkę nosił na breloczku przy kamizelce.

Rozpłomieniły się zarzewia i gęste kłęby dymu spowiły połowę pomieszczenia. Wkrótce trudno było oddychać. Pokój fajkowy był za mały, żeby tam można urządzić palarnię na czas przyjęcia, dlatego wydzielono część salonu.

– Co tak cuchnie? – zapytała głośno jakaś oburzona kobieta. – Przecież tu się można uwędzić.

Zażywny ksiądz w elegancko skrojonej sutannie zaniósł się kaszlem, wypuścił cygaro z ust i nerwowo otrzepywał popiół z brzucha. Krzepki mężczyzna w wojskowym mundurze zaczął go klepać po plecach.

– Bóg zapłać, panie pułkowniku – wykrztusił załzawiony ksiądz. Po salonie uwijał się Binder z przenośną kamerą.

– To do kroniki miejskiej – tłumaczył wszystkim. – Pan Dietel, on mnie zlecił nakręcenie stosownych migawek z dzisiejszej uroczystości.

„Ruchliwy Żydek”, usłyszał gdzieś z boku, ale rozplynęły się te słowa w tłumie.

Panna Olga siedziała z *Monsieur Philippe*'em i coś sobie opowiadali po francusku. Ona od czasu do czasu nucila cicho i postukiwała palcami po stole, jakby grała jednocześnie na fortepianie. Widać, że żyła muzyką. Francuz z uznaniem zerkał na powabnie falującą pierś *Mademoiselle*, ale co do jej śpiewu, to uważał, że Polka ma zbyt metaliczną barwę głosu i kariery nie zrobi. Oczywiście nie powiedział tego.

*Herr* Dietel podszedł do redaktora *Monsiorskiego*, który ubrany był w ciemną dwurzędową marynarkę.

– Nie poczęstował się pan cygarem? Maria Mancini. Dostawa prosto z Bremy.

– Dziękuję. Mam na to za słabe płuca. – Nie dodał, że sam widok cygara w ustach budzi u niego bardzo niemiłe skojarzenia z termometrem. – Pan pozwoli, że przedstawię moją towarzyszkę. Pani Jadwiga Korzeniec. Pisarka.

– Uszanowanie łaskawej pani. – Dietel stuknął obcasami i uklonił się szarmancko, chociaż o przedstawicieli prasy mu głównie chodziło, a nie o twórców literatury. – Dziękuję, że państwo przyjęliście moje zaproszenie. Jak się pani podobał koncert?

– Wspaniały. Cały wieczór... uroczy.

– Trzeba odpocząć czasem od spraw codziennych... trudnych. Zresztą – zwrócił się do pana Waleriana – jako redaktor naczelny ważnej gazety sam pan wie, że polityka ostatnio zbyt brutalnie wciska się w nasze życie.

Redaktor Monsiorski nie miał ochoty dyskutować o polityce.

– W tej chwili w naszej prasie toczy się interesująca debata na tematy higieny.

– Doprawdy?

– Epidemiolodzy wzięli się za łby. Szkoła miazmatyków, że się tak wyrażę, twierdzi, że chorobom winne jest złe powietrze, a przede wszystkim gazy wydobywające się ze smrodliwych szamb, a szkoła mikrobowców utrzymuje, że winna jest woda.

– Z tego co ja sam wiem z prasy niemieckiej – powiedział Dietel – z medycznego punktu widzenia sprawa jest rozwiązana. Winna jest woda, nie wapory. Wystarczy jedna zakażona studnia, żeby zaraza wybiła miasto.

– Trudno mi to rozstrzygać. Nie jestem lekarzem. Na łamach „Iskry” dopuszczam do głosu przedstawicieli różnych nurtów. Na przykład Towarzystwo Lekarskie Zagłębia Dąbrowskiego...

Dietel w końcu powiedział to, co zamierzał powiedzieć od samego początku.

– A właśnie... Chciałem panu podziękować za felietony społeczne w „Iskrze”. Są bardzo wyważone.

Redaktor Monsiorski skinął lekko głową.

– Staram się publikować obiektywne oceny.

– Ja to szanuję, bo wiem, że spotkały pana duże przykrości ze strony Niemców w czasie wojny...

Redaktor Monsiorski zarumienił się. Wiedział, że przemysłowiec zaprosił go, bo potrzebuje życzliwości prasy i chce zjednać sobie opinię publiczną.

– W moim mniemaniu, *Herr* Dietel, pańska działalność służy dobru wspólnemu – powiedział. – Moje osobiste doświadczenia z przeszłości nie mają znaczenia.

Tym razem to Dietel skłonił lekko głowę.

– To szlachetne. Gdybym mógł panu kiedyś w czymś pomóc, proszę na mnie liczyć.

– Bardzo dziękuję, chociaż wolałbym nie musieć nigdy korzystać z niczyjej pomocy.

– Nie usiłuję pana przekupić. Chcę tylko, żeby pan wiedział, że ma pan we mnie sojusznika. A nigdy nie wiadomo, kto się w życiu przyda.

Wymienili jeszcze kilka kurtuazyjnych uwag i Dietel przeszedł do innych gości.

– O co mu chodziło? – zapytała pani Jadwiga, która w czasie tej rozmowy nie odezwała się ani słowem. – Nie wiedziałam, że to twój przyjaciel.

– Już myślałem, że mi wyzna przyjaźń do końca życia. – Pan Walerian pokręcił głową. – Przecież my się prawie nie znamy.

– No więc o co chodzi?

– Niemcy w Sosnowcu po prostu się boją. Dietel chciał mi powiedzieć, że docenia to, w jaki sposób o nich piszę. Jeszcze bardziej chciał powiedzieć, że zależy mu, żebym w dziennikarskiej życzliwości nie ustawał.

– I nie ustanieś?

– To zależy wyłącznie od nich.

Podporucznik Dąbski też otrzymał zaproszenie na koncert, ale wymówił się służbą. Poza tym, komu jak komu, ale jemu nie wypadało. „Dopiero co uczestniczyłem w odsłonięciu tablicy na ścianie kościoła Wniebowzięcia, wie pan, redaktorze, tej na upamiętnienie stu lat od śmierci Kilińskiego, i co, parę dni po takiej uroczystości będę się u Niemca bawił?”. „Co ma Kiliński do rzeczy?”. Pan Walerian uniósł brwi. „A to ma, że bronił Warszawy przed pruskimi oddziałami, przez Prusaków był w Poznaniu pojmany, i to Prusacy go Rosjanom wydali”, wyliczył skrupulatnie młody podporucznik. Historię polskich zrywów miał w jednym palcu. Redaktor Monsiorski uważał, że takie podejście to nadgorliwość i podejrzewał, że przyczyna tkwiła gdzie indziej. Dąbski był hrabią, a nie nowobogackim Królem Wełny, więc źle się czuł, wiedząc, że nie mógłby się zrewanżować podobnym przyjęciem. Dąbski nawet na herbatę do kawiarni nie mógłby tylu gości zaprosić. My jednak nie musimy Eugeniuszowi współczuć, bo gdyby akurat tej soboty zamiast służby wybrał zabawę, nie poznałby uroczej panny Chałupiec.

Ach, dodam jeszcze, że chociaż dawnego Dyrektora Rzeźni Miejskiej, pana Eustachego Goździka, również nie było na koncercie, jeszcze o nim usłyszymy, bo przecież nie powiedział ostatniego słowa. Że co? Że ileż można czekać? Że to kpina? Ale czymże jest niecierpliwość czytelnicza wobec niecierpliwości i niepokoju redaktora Monsiorskiego? Ten dopiero czeka na pana Goździka! Nie czeka, bo jest bohaterem fikcyjnym? Ho, ho, mocno powiedziane.

## Rozdział 8

### Niczego nie uszanują

Młodszy pan zatrudnia coraz więcej Polaków. Na przykład w tym miesiącu przyszła nowa kucharka, Polka. To dlatego, że w sobotę, w związku z koncertem karnawałowym, trzeba było przygotować jakieś lokalne specjały. Żeby w tydzień po wyborach do Sejmu móc urządzić koncert, niezbędne było pisemne zezwolenie władz, szczególnie że po próbie przewrotu na początku roku wprowadzono stan wyjątkowy.

Młodszy pan chciał zrobić wszystko tydzień wcześniej i zaręczał, że nie będzie żadnej agitacji politycznej, ale nie dostał zgody, więc koncert przesunął. Byłam przypadkowo przy tym, jak pani Else zapytała z troską w głosie, czy na pewno stać ich teraz na to, by organizować wystawne przyjęcie i w dodatku koncert, a pan powiedział, że absolutnie ich na to nie stać, ale jeszcze mniej ich stać, by tego nie zrobić. I dodał, że ostatnia rzecz, na jaką sobie mogą pozwolić, to żeby wełna butwiała w magazynach z powodu szykan nowych władz.

A wracając do kucharki, nie wiem, czy jest dobra, czy nie. Staram się trzymać z dala od kuchni. Moje doświadczenia z kucharkami nie są najlepsze. Na ogół są to kobiety, które mają dziwaczne mniemanie o tym, co się nadaje na zabawki dla dzieci. „Masz tu synku pęcherz ryby, pobaw się” albo „O, masz gęsią tchawicę. Możesz sobie tę rurkę zasuszyć”. „O proszę, chcesz ogonek królika? Zobacz, jaki milutki”.

Pojawiło się naprawdę dużo ludzi. Ogrodnik, pan Pietsch, rwał włosy z głowy, kiedy się dowiedział, że wszyscy będą dorożkami podjeżdżać pod sam pałac. Popędził do młodszego pana i zaczął lamentować, żeby nie wjeżdżali na podjazd, może niech przed

główną bramą wysiadają, na ulicy, bo jak tyle dorożek wtargnie, to nastąpią kolosalne zniszczenia, przecież te fornalskie konie kopytami wszystko potratują, klombów nie uszanują, niczego nie uszanują, połamią krzewy, zamiast porządnego podjazdu przed pałacem zostaną tylko bryły gliny i śniegu, proszę ustąpić! „Niech wjeżdżają na podjazd”, uciał krótko młodszy pan.

Wśród gości od razu zauważyłam polskiego inżyniera i jego żonkę. Nawet nie bardzo się zmienili przez te lata. Ona – kobieta o niespokojnej nóżce – miała we włosach dużą rogową szpilkę, on natomiast zapuścił modną bródkę. Postanowiłam zwrócić na nich uwagę, bo byłam pewna, że znowu coś zmalują. Jak dzieci. I rzeczywiście, w którymś momencie, już po koncercie, kiedy atmosfera się rozluźniła, a alkohol zaszumił gościom w głowach, zauważyłam, że ona ciągnie go za rękę i nakłania, żeby gdzieś szli. Nauczyłam się już polskiego na tyle, że rozumiem konwersacje, chociaż mówię wciąż z błędami. Zbliżyłam się do nich. Ona była tak zaaferowana, że mnie nawet nie zauważyła. „Chodź, muszę ci to pokazać”, mówiła do męża, a on oponował, „Chmurko, nie wypada”. „Chodź, chodź”. I poszli. Ciekawa byłam bardzo, czegoż to nie wypada i wysunęłam się za nimi. Zdażyłam zauważyć, że oboje zniknęli w łazience. Razem do łazienki? Do *tej* łazienki w dodatku? Jeszcze coś rozbijają. Po chwili usłyszałam chrobot zasuwy w drzwiach.

Drzwi zamykają się na zasuwę od środka, ale jest też duża dziurka od klucza, tyle że klucz gdzieś zginął.

Kilka minut czekałam na schodach. Słyszałam szepty i chichot, a później zapadła cisza. Byłam przekonana, że zaraz wyjdą. Nie wyszli. Podeszłam na palcach do drzwi i zajrzałam przez dziurkę.

Może wyjaśnię, że łazienka jest bardzo piękna. Wanna przylegająca do jednej ze ścian jest tak duża i głęboka, że mogłoby się w niej zmieścić kilka osób naraz. Właściwie to nawet nie jest wanna, tylko wielka kąpielowa fontanna. Kafelki na jej wewnętrznych ścianach ozdobione są rysunkami ryb, meduz, muszli, wodorostów, ośmiornic, ukwiałów i wszelkich żyjątek, więc kiedy wannę wypełni się wodą, można odnieść wrażenie, że ogląda się życie na dnie czystego, ciepłego morza. A w ścianę tak przemyślnie wbudowano krany, że strumienie wody wylatują

z paszcz porcelanowych stworów o wyłupiastych oczach, błękitnych żrenicach i uszach rozcapierzonych jak liście klonu poszarpane wiatrem. Ponad kranami unoszą się, przylegając do ściany, białe porcelanowe cherubiny, tłuściutkie, ze słodkimi dołeczkami, z rozkosznymi kędziorami i zabawkami w dłoniach, a i to nie koniec dziwów, ponieważ tłem wszystkich porcelanowych rzeźb i figurek jest wymalowany na kafelkach fresk w barwach białych i ciemnobeżowych. Przedstawia półnagie syreny na grzbietach delfinów. Wokół nich, w powietrzu i na spienionych falach baraszkuje amorki, a do syren zalecają się nagie trytony o muskularnych ramionach.

Wszystkie ściany łazienki są zdobione kafelkami, a w okna wbudowano barwne witraże. Myślałam więc, że kobieta o niespokojnej nóżce postanowiła polskiemu inżynierowi pokazać te łazienkowe cuda.

Ona tymczasem postanowiła mu pokazać cuda, ale zgoła inne.

Tego, co ujrzałam, nie wypada opisywać. Wanna ich nie interesowała wcale. Ani kafelki. Ani witraże. Ona przed nim klęczała na posadzce, a on przed nią stał. W pierwszej chwili wystraszyłam się, że ją dusi, bo wyglądało to tak, jakby chciał jej ukrećić głowę, tak mocno ją trzymał. Serce podeszło mi do gardła. Później zauważyłam, że on ma spodnie opuszczone do kostek. Co tu dużo mówić, Heinz bez majtek zupełnie inaczej wygląda niż polski inżynier. Zasłoniłam usta dłonią, żeby nie krzyknąć i odskoczyłam od drzwi. Pomyślałam, że powinnam szybko czymś zatkać dziurkę od klucza, żeby ich nikt nie podglądał, może wezmę od dzieci plastelinę? Ale oczywiście nic takiego nie zrobiłam, tylko uciekłam po schodach na górę do swojego pokoju. Rzuciłam się na łóżko i rozpłakałam. Nie dlatego, że to, co widziałam, było niemoralne czy grzeszne i powinno mnie oburzać. Nie otrząsałam się z odrazą. W końcu są małżeństwem.

Płakałam na niesprawiedliwość losu. Niektórzy mogą być ze sobą cały czas, a wciąż im mało i pragną być jeszcze bliżej siebie. Jeśli oni nie mogą się powstrzymać do chwili, gdy wrócą do domu, to co ja mam powiedzieć?

Wykończyłabym się nerwowo, gdyby tym razem opatrność się nade mną nie ulitowała.



Dzisiaj po śniadaniu przyszedł list z Paretzerstrasse. Tak! Siostra Berndta pisała, że brat odniósł poważną ranę na froncie, odłamek pocisku trafił go w głowę, ona sama długo nic nie wiedziała, ale potem powiadomiono ją o zdarzeniu, odwiedziła go w szpitalu, przez parę miesięcy jego życie wisiało na włosku. Teraz jest już lepiej, brat mieszka u niej w Berlinie i prosił ją o napisanie listu w jego imieniu. Na razie ma jeszcze niewładną prawą rękę i pisać nie może, ale może czytać i byłby bardzo szczęśliwy, gdyby panna Emma do niego napisała. Ma nadzieję, że rychło wydobrzeje. Gdy tylko wyzdrowieje, odwiedzi ją w Sosnowcu, chyba że ona byłaby w Berlinie, nie śmie jednak prosić o wizytę, niemniej nic by go tak nie uszczęśliwiło i nie pomogło mu wracać do zdrowia, jak jej odwiedziny. Więc ona, siostra Berndta, chociaż pisze ten krótki list pod jego dyktando, również dołącza się do zaproszenia. I oczywiście brat prosi pannę Emmę, żeby już teraz pisała listy na berliński adres, bezpośrednio do niego. On zapewne będzie mógł wkrótce skreślić własnoręcznie kilka zdań, a póki co będzie korzystał z pomocy siostry.

Nie wypada mi od razu wybierać się do Berlina, zresztą nie mam teraz pieniędzy. Jeśli on nie będzie do lata na tyle zdrów, by przyjechać do Sosnowca, to do tego czasu odłożę jakieś fundusze, poproszę o urlop i odwiedzę go.

# **CZEŚĆ TRZECIA**

15-24 sierpnia 1919

## Rozdział 9

# Kuracja, konspiracja

Ależ to się jechało i jechało bez końca! Wsiadało się w Sosnowcu do berlińskiego pociągu (tego samego, którym zaledwie tydzień wcześniej fińska bona wybrała się w odwiedziny do kapitana Berndta Schulte) i od razu stało się na granicy, ponieważ trzeba było załatwiać formalności. Wreszcie pociąg ruszył w stronę Wrocławia. Pan Walerjan sprawdził, czy szyba w przedziale jest dobrze domknięta. („Żeby nas nie zawiało. Bo to niby lato, ale przeciąg jest zdradliwy”. „Bardzo mądrze. Strzeżonego Pan Bóg strzeże”.) We Wrocławiu przesiadka na pociąg do Hirschbergu. W Hirschbergu trzeba było jeszcze do powoziku. I dopiero tym powozikiem, który piał się łagodnie wzdłuż linii lasu i poprzecinanych ścieżkami łąk, docierało się na miejsce.

Na stacji wraz ze stangretem czekał doktor Euler, jeden z dwóch lekarzy kierujących sanatorium, dobry znajomy doktora Mojkwoskiego.

– Proszę do mnie mówić do prawego ucha, bo lewe mam permanentnie zatkane. Przepraszam, wiem, że to kłopot. – Jowialny doktor przez całą drogę prowadził monolog. – Nasze sanatorium jest niewielkie. I nie zajmujemy się zasadniczo leczeniem, a jedynie wzmacnianiem rekonwalescentów po przebytych chorobach. Mamy także gości, którzy po prostu chcą zregenerować organizm... Z państwa przybyciem umiędzynarodowimy się, że tak powiem, bo na ogół odwiedzają nas Niemcy... Proszę przy okazji o przekazanie moich ukłonów doktorowi Mojkwoskiemu. Przyjaźnimy się jeszcze od czasów wspólnych studiów medycznych. Mieszkaliśmy razem w bursie we Wrocławiu. Zaczny człowiek, inteligentny, znakomity kompan. W dodatku wybitny umysł. Ma cechę potrzebną każdemu

lekarzowi – intuicję, choć zżyma się, gdy mu to mówię. Samo słowo „intuicja” go irytuje. Nie widzieliśmy się dobrych kilka lat, piszemy do siebie od czasu do czasu, nieraz wysyłam mu jakieś trudno dostępne w Polsce publikacje. Niemiec łatwo nie nawiązuje przyjaźni, ale jak już nawiąże, to na całe życie. Lojalność. Szacunek. Tak. Zapraszałem go do siebie, mógłby i odpocząć, i pomóc w sanatorium. A on pisze, że w góry nie przyjedzie, bo ma lęk wysokości. – Doktor Euler roześmiał się. – Tak jakbyśmy tu stali nad przepaściami. W końcu chyba będę musiał go w Polsce odwiedzić, ale wicie państwo, jak to jest, kiedy się pracuje. Człowiek nigdy nie ma czasu. No, a teraz jeszcze... ten nieszczęsny spór o Górny Śląsk... Nie byłem nigdy w Polsce... Tak, tak. Niemcy z kretesem przegrali wojnę i teraz walczą o resztki godności... Będziecie tu państwo u nas głęboko oddychali świeżym powietrzem, ale na początek proszę z tym nie przesadzać, bo trzeba się zaaklimatyzować.

Pani Jadwiga nie rozumiała chaotycznego monologu, ot, piąte przez dziesiąte, pojedyncze słowa, natomiast pan Walerian grzecznie potakiwał i pomrukiwał.

Oboje mocno odczuwali trudy podróży. Z Sosnowca wyjechali wczesnym rankiem, a na miejscu byli późnym wieczorem. Chociaż dzień był długi, do pensjonatu dotarli, kiedy się ściemniło. Dorożka zatrzymała się na brukowanym placu.

– Pan jutro rozpocznie dzień od porannego spaceru – powiedział doktor Euler, zanim się pożegnał.

– Tak od razu? Przecież kurację mam zaordynowaną od poniedziałku.

– To nic. Proszę przed śniadaniem iść na godzinną przechadzkę, a potem będziecie państwo oboje werandować. Aha, podczas spaceru niech pan nie chodzi po wilgotnej trawie. Proszę się trzymać zwirowanych ścieżek – przykazał doktor. – Personel sanatorium zaraz się wszystkim zajmie. A ja już państwu życzę dobrych snów.

Noc była przyjemna, gwieździsta mocno.

Kiedy stali na głównym tarasie, oboje w nowych letnich płaszczach, a portier zajmował się ich bagażami, pani Jadwiga zapytała:

– Myślisz, że tutaj jest tyle gwiazd, bo jesteśmy w górach i stąd jest bliżej do nieba? – Nigdy wcześniej nie była ani w górach, ani tak daleko od domu.

– Nie. W mieście tak gwiazd nie widać, bo jest za dużo światła i za dużo dymu w powietrzu. To chyba dlatego, że tu jest niebo czyste i ludzi mało.

Kiedy latem w Sosnowcu wybuchła epidemia czerwonki, a obywatele miasta zaczęli umierać, doktor Mojkowski kazał redaktorowi Monsiorskiemu wyjechać do sanatorium. „Pan tu nie może zostać”. „Ale ja nie jestem chory”. „Panie redaktorze, czy mógłby mnie pan posłuchać i nie kłócić się? Wie pan, jaka tu jest teraz śmiertelność?”. „Wysoka?”. „Wysoka. Poza tym zanotowano przypadki tyfusu i cholery. Może pan nie jest chory, ale ma pan osłabioną odporność. A choroby przede wszystkim atakują ludzi słabych. Powiem wprost, po przebytej gruźlicy jest pan pierwszym kandydatem do zachorowania. Nie mówiąc o tym, że sanatorium panu naprawdę bardzo się przyda”. „A kto się będzie zajmował gazetą?”. „Niech mnie pan nie denerwuje. Ma pan przecież zastępcę. Jak siedzieliśmy w Havelbergu, to przecież no... jak się nazywał ten, który pana zastępował?”. „Bursztyn”. „No, to niech pana teraz też wyręczy w obowiązkach”. „Ale gdzie jechać?”. „W góry. Znam dobre sanatorium w Riesengebirge i znam tamtejszego dyrektora. Przyjmie pana na pewno”. „W Riesengebirge? W Niemczech?” – jęknął pan Walerian. „Niech pan nie będzie śmieszny”, zdenerwował się doktor Mojkowski. „Przecież Niemcy to nie Antarktyda, a to sanatorium jest znakomite. Podreperuje pan wreszcie zdrowie. Przez Niemców je pan stracił, niech je panu teraz naprawiają”. „I kiedy miałbym jechać?”. „Im szybciej, tym lepiej, ale ja potrzebuję trochę czasu, żeby wszystko pozałatwiać. Jest koniec czerwca. Myślę, że z całą korespondencją i dokumentacją uporam się w kilka tygodni. Pojedzie pan w połowie sierpnia i zostanie do końca października”. „To za długo”. „Nie za długo. Krótszy wyjazd nic nie da, pan tam będzie przechodził kurację i regenerację organizmu. To musi trwać”. „A dałoby się panu załatwić dwa miejsca?”. „Dałoby się”. Doktor Mojkowski nie wyraził zdziwienia. „To ja przyjdę do pana za dwa dni i powiem panu, co

zdecydowałem, ale na razie niech pan jeszcze nie podejmuje żadnych działań, dobrze?”.

W podjęciu decyzji pomogła panu Walerianowi procesja w intencji oddalenia zarazy od miasta. Ludzie poprzywiązywali dywany do balkonów, do dywanów przytwierdzili obrazy święte, a za obrazy utkali świeże kwiaty. Ulicą Krzywą procesja sunęła w kierunku Kołłątaja. Redaktor Monsiorski wyjrzał przez okno redakcji, kiedy usłyszał zawodzenie wiernych i ostre dźwięki trąb górniczej orkiestry. Akurat pod spodem przesuwiał się baldachim. Pod baldachimem przesuwiał się proboszcz z kościoła Wniebowzięcia, w złotym ornacie, unosząc monstrancję, podtrzymywany pod łokciami przez najwierniejszych z wiernych. Dzięki temu, że był podtrzymywany, ręce mu za mocno nie cierpły. Już bardziej w nocy mu cierpły. We śnie dłonie mu puchły, tak że rano po przebudzeniu musiał zawsze kilkakrotnie palcami poruszać, żeby opuchlizna ustąpiła. No, mniejsza. Ministranci okadzali proboszcza tak szczerze, że trochę go brało na kichanie i na sen, ale jednak nogi niosły. Ksiądz Franciszek Ksawery (jeszcze do niego wrócimy) pomyślał sobie, że nawet gdyby nogi całkiem podgiął, to i tak by się dalej przesuwiał, podtrzymywany przez pomocników, podpięty pod monstrancję, ale potem przestał już o tym myśleć, bo należało intonować pieśni przeciwko zarazie.

Żydzi na wszelki wypadek sklepy pozamykali i zaryglowali drzwi, a katolicy wznosili modły o rychłe oddalenie czerwonej i żeby nie porobiło się jeszcze gorzej z tym tyfusem i cholera.

Sprawa była zatem poważna. Pan Walerian zamknął okno i postanowił wyjechać do sanatorium.

Pani Jadwiga tak się ucieszyła, że obiecała redaktorowi Monsiorskiemu, iż nie tknie absyntu, a w dodatku sama też podda się kuracji wzmacniającej. „Bo ja mam wciąż apetyt na życie!”, zawołała. Redaktor Monsiorski trochę się tego apetytu wystraszył i nieomal zrezygnował z wyjazdu, ale raz kozie śmierć. Wrócił do doktora Mojkwskiego i czerwieniąc się, wyjąkał, że pojedzie jako kuracjusz, a jako druga kuracjuszka, ale całkiem osobno, pojedzie w tym samym czasie pani Jadwiga Korzeniec.

„Wreszcie pan robi coś z sensem”, mruknął doktor Mojkwski. „Tylko wie pan... – redaktor Monsiorski westchnął – ...nie jest mi

ten termin na rękę, bo się szykuje nowa zawierucha”. „Jaka znowu zawierucha?”. „Polityczna”. „Chodzi panu o Śląsk?”. „Tak”. „Co się ma stać, to się stanie i bez pana”, powiedział doktor Mojkowski z filozoficznym spokojem. I dodał jeszcze: „Proszę zabrać ciepłe ubrania i pledy, bo w górach jest zawsze chłodno”.

Tyle że zanim wyjechali, musiał redaktor Monsiorski uporać się z pilnym problemem (Wiadomo: jak krótko, to i rwie się). W środę 13 sierpnia (jak tu nie być przesądnym?) późnym popołudniem w drzwiach stanęły dwie postaci.

Henio. I Hanka.

Ubrani byli w coś, co im wydawało się eleganckim strojem na wyjazd do miasta, ale ewidentnie nie należało do nich, tylko zostało gdzieś tanio kupione od Żyda. Henio stał w przydługim garniturze, miał podwinięte nogawki spodni i rozczłapane buty. W ręce trzymał ceratową walizkę, rękawy zakrywały mu dłonie, kapelusz był niedobrany. Kiedy pan Walerian otworzył drzwi, Henio położył walizkę na ziemi i spuścił ręce po sobie. Hanka stała obok brata, bez słowa. Na głowie miała chustkę, ubrana była w lichy płaszcz.

– Co się stało? – Pan Walerian domyślił się, że wydarzyło się coś złego. – Wejdźcie.

Henio podniósł walizkę. Weszli i stanęli obok siebie. Hanka zdjęła chustkę z głowy. Pan Walerian oniemiał. Była łysa. Zostało jej tylko kilka nadpalonych kępek włosów, skręconych i poczerniałych od żaru.

Przez długą chwilę nie mówili nic. Oboje głośno płakali. Henio znów odstawił walizkę.

Wreszcie uspokoiili się na tyle, że mogli usiąść, a przy herbacie opowiedzieli o swoim nieszczęściu.

Drewniany dom w Siewierzu spłonął. Ktoś podpalił? Nie wiadomo. Stodoły często podpalali, ale dom?

– Potrzebujemy kąt do spania i pracę musimy znaleźć. Nie mamy nic.

Później na stronie Hanka powiedziała panu Walerianowi, że podejrzewa celowe podpalenie, bo w czasie wojny Henio trochę dorabiał w taki sposób, że we wsiach skupował od chłopów mąkę i kaszę, a potem furmanką z Siewierza woził towar pod osłoną nocy

do Dąbrowy, do Będzina, czasem aż do Sosnowca. To było nielegalne, bo młyny pozostawały pod kontrolą Niemców, ale komendant żandarmerii z Siewierza okazał się przekupny, w miastach brakowało wszystkiego, więc Henio handlował. Nie baliście się? Hanka powiedziała, że się bali, ale z czegoś trzeba było żyć, więc ona nawet popierała tę działalność, zresztą Henio nie robił niczego sam, bo trzech ich pracowało na jednej furmance. Ona pozostałych nie знаła, jacyś koledzy Henia to byli. Swoje wsparcie wyrażała tym, że serwowała bratu czarną kawę z melasą. Melasy mieli cały worek, sama nie wie skąd. Cukru niestety nie było. Kawę w czasie wojny piliście? Nie, nie, to była kawa zbożowa. W każdym razie Henio mógł się komuś narazić, wejść w drogę innemu handlarzowi i ten w zemście dom podpalił. Sporo słyszało się o takich porachunkach. Ty Walerek tego nie wiesz, bo w innym świecie żyjesz. W innym świecie? Redaktor Monsiorski roześmiał się gorzko. Ja, Haniu, trzy lata w obozie w Niemczech przesiedziałem, zdrowiem to przypląciłem.

Henio z kolei powiedział panu Walerianowi na stronie, iż podejrzewa, że Hanka zaproszyła ogień. Ostatnio zaczęła kurzyć fajkę i coraz częściej kładła się z fajką do łóżka. Chociaż Hanka się wypiera, Henio jest przekonany, że kiedy usnęła, fajka wypadła jej z ust, pościel się zajęła, od pościeli zajęły się Hanksi włosy, franki i cała reszta. Dom był drewniany, lato gorące, zanim przyjechali strażacy, chałupy nie było. Całe szczęście, że z życiem uszli. On zdołał uratować to: pokazał Walerianowi nadpalony modlitewnik, a Hanka nic nie uratowała, ani fajki, ani włosów. Henio pieniądze w sienniku chował i na szczęście coś tam jeszcze zdążył złapać, przyda się. Asekuracji na dom nie mieli wykupionej, bo za co? Może plac sprzedadzą, bo już nie chcą do Siewierza wracać, zbyt bolesne wspomnienia. Gdyby się mogli w Sosnowcu zatrzymać, jakby im Walerek pomógł pracę znaleźć, celem przeżycia, dopóki parceli nie opchną, to jakoś na nogi staną, tylko teraz...

Pan Walerian nie uważał się nad nimi. Nie próbował ich też pocieszać. Są chwile, kiedy pocieszenie nie jest nikomu do niczego potrzebne. Zaczął szybko myśleć. Za dwa dni miał jechać do sanatorium. Cóż on w dwa dni zaradzi?



– Posłuchajcie, ja wyjeżdżam na trzy miesiące, więc dopóki mnie nie będzie, możecie tu mieszkać, nawet dobrze, bo się bałem zostawiać wszystko samopas, w takich czasach zaraz by mnie ktoś obrabował, myślałem, że zatrudnię kogoś, kto by miał baczenie, a tak to wy mieszkajcie póki co.

– Walerek, my do twojego powrotu popilnujemy wszystkiego, niczego nie zniszczymy...

Żeby tylko Hanka nie spaliła mieszkania – przemknęło panu Walerianowi przez głowę.

– Nie będzie mnie do końca października, więc możecie mieszkać. Gorzej z pracą. Gdzież ja wam coś tak szybko znajdę?

Wówczas przypomniał się panu Walerianowi *Herr* Dietel. Gdyby on obietnicę z zimy spełnił i na przykład zatrudnił Hanke w przędzalni, choćby do tego, żeby podłogi w halach zamiętała, a Henia jako stróża nocnego, już by była jako tako sprawa rozwiązana. Tyle że się trochę wobec Dietla człowiek uzależni. I nie wiadomo, czy Dietel o obietnicy pamięta. Ale z kolei czasy jeszcze bardziej niepewne dla Niemców, więc może będzie skłonny pomóc. Przez te kilka miesięcy pan Walerian starał się rozsądnie do polityki podchodzić i spraw trudnych nie zaogniać, więc fabrykant ma za co być mu wdzięczny.

Nazajutrz, w czwartek, pojechał do Dietla. Zastał go w tkalni. Blade kobiety w chustkach na głowach siedziały rzędem przy krosnach. Hałas panował taki, że nie dało się swobodnie rozmawiać. Niemiec grzecznie ujął redaktora Monsiorskiego pod łokieć i gestem tym dał do zrozumienia, że muszą wyjść na dwór. Trochę to prowadzenie za łokieć krępowało pana Waleriana, ale się nie wyrywał, bo nuż takie są niemieckie obyczaje grzecznościowe? Skoro *Herr* Dietel za łokieć ujmuje, znaczy się – kontaktu dotykowego nie unika, nie dystansuje się.

W poniedziałek 18 sierpnia Hanka i Henio mieli stawić się do pracy: Hanka będzie zamiętała hale, Henio zostanie nocnym stróżem. Pan Walerian miał nadzieję, że nie tylko jego domu Hanka nie spali, ale że i fabryki Dietla z dymem nie puści. Zezowata jest, może z ogniem źle trafić.

Na wieść, że mają robotę i kąt do spania, Hanka klękła przed panem Walerianem i złożyła ręce, co go strasznie zdeprymowało,

bo patrzyła na niego jak w obraz święty, a głowę miała łysą, z tymi kępkami nadpalonych włosów. Henio nie klęknął, ale głośno chrząkał i kasłał, a to znaczyło, że dziękował szczerze. Stało na tym, że do końca października Henio i Hanka posiedzą u pana Waleriana, pracując u Dietla, a jednocześnie spróbują sprzedać parcelę ze zgliszczami i poszukają jakiegoś kąta.

– Będziemy teraz miastowi – powiedział Henio. – Chociaż i w Siewierzu byliśmy miastowi, ale nie aż tak.

– A kąć znajdziemy blisko ciebie – dodała Hanka. – I będziemy mieszkać po sąsiedzku. Cieszysz się?

– Tak, oczywiście – bąknął pan Walerian.

– No. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło! – zawołała Hanka. Włożyła chustkę na głowę, bo się wstydziła łysiny, i wyszła na dwór zapalić fajkę. Już zdążyła kupić nową, turecką, wykonaną z pianki morskiej. Żyd przysięgał, że tylko w jednym mieście Muzułmany takie fajki robią, a w dodatku to miasto leży bardzo daleko od morza. Żyd na pewno łgał, ale fajkę tanio sprzedał, bo była trochę obita. Nie szkodzi, Hance i tak się podobała: rzeźbiona, biała i porowata, nikt takiej nie miał, i też to, że ona jest z pianki morskiej. Hanka się od razu bardzo wielkomiastrawa poczuła.

W takiej to sytuacji w piątek, 15 sierpnia, pan Walerian opuszczał Sosnowiec i wyjeżdżał do górskiego sanatorium w Niemczech.

Wróćmy do naszych bohaterów, tam, gdzie ich zostawiliśmy przed chwilą.

– Myślisz, że tutaj jest tyle gwiazd, bo jesteśmy w górach i jest bliżej nieba? – zapytała pani Jadwiga. Nigdy wcześniej nie była ani w górach, ani tak daleko od domu.

– Nie. W mieście tak gwiazd nie widać, bo jest za dużo świateł i za dużo dymu w powietrzu. To chyba dlatego, że tu jest niebo czyste i ludzi mało.

Dostali dwa pokoje, po sąsiedzku. Powiedzieli sobie dobranoc. Byli tak zmęczeni, że każde z nich chętnie schowało się we własnych czterech ścianach.

Pani Jadwiga rozchyliła muślinowe zasłony i otworzyła oszklone drzwi balkonu. Chłód spowodował, że szybko je zamknęła z powrotem. Rozglądała się za stolikiem, na którym mogłaby

poustawiać wszystkie swoje flakony i puzderka. Spodziewała się, że w zagranicznych pokojach będzie przytulniej, że na biureczkach będą stały eleganckie figurki... Przecież ona przywiozła szale nie po to, żeby je na wycieczki nosić, ale żeby na szeszlunku drapować... a tymczasem wystrój tutaj jakby nazbyt surowy, nader higieniczny... jakże ma kobieta uwodzić mężczyznę w takich mało sprzyjających warunkach?

Stała przed lustrem i lekko przyglądała włosy.

– Poradzisz sobie – powiedziała do swojego odbicia.

\* \* \*

Tego samego dnia wczesnym popołudniem podporucznik Eugeniusz Dąbski zapukał do mieszkania Poli Negri w Warszawie. Aktorka przyjechała z Berlina na trzy dni. Hrabia był w mundurze. Został przedstawiony matce Poli. Ucałował jej dłoń i wręczył bukiet śniegowych róż.

Wzrok matki mówił wszystko. Od czasu do czasu spoglądała znacząco na córkę i oczy jej się śmiały. Oficer, hrabia, skarb prawdziwy, rycerz na białym koniu. Nie miała matka Poli wielu powodów do radości, ale ku Eugeniuszowi jej serce pomknęło od razu.

Został na herbacie.

– Muszę najpierw panu złożyć kondolencje. Pola wspominała, bardzo zmartwiona, że tuż po waszym pierwszym spotkaniu, kiedy pan ją uratował przed aresztem, zmarła pańska mama.

– Tak, dwudziestego lutego. A my z pani córką spotkaliśmy się... bodajże...

– Pierwszego lutego – powiedziała Pola.

– No, właśnie.

– ...A gdyby nie powstanie w Wielkopolsce, to byśmy się nigdy nie spotkali.

– Jak to? – Matka załamała rękę.

– Bo to z powodu powstania pociągi z Warszawy nie jechały do Berlina zwykłą trasą, przez Poznań. Musiałam skorzystać z drogi okrężnej, przez Sosnowiec i Wrocław.

– Szczęście w nieszczęściu – powiedział Eugeniusz.

– Ach, no tak. Raz się na coś polityka przydała – zgodziła się matka Poli. – Ale myślę, że wszystkim dobrze zrobi, jeśli się trochę odpocznie od spraw światowych. Idźcie, dzieci, na spacer.

Wybrali się do Ogrodu Saskiego. Eugeniusz podziękował Poli, że przyjechała z Berlina.

– Tak jak pisałem w ostatnim liście... myślę o pani bezustannie... Bałem się żywić nadzieję... Dziękuję, że pani zgodziła się na spotkanie.

Uśmiechnęła się do niego. Czekwała, co będzie dalej.

Kiedy Eugeniusz odprowadził ją po spacerze i szarmancko się pożegnał, matka zapytała z wypiekami na twarzy:

– I co?

– Przeszliśmy na ty.

– A oświadczył się?

– Nie.

– Nic nie szkodzi. Oświadczy się jutro.

\* \* \*

Podczas długiej porannej przechadzki nakazanej przez doktora Eulera pan Walerian zauważył, że górską ścieżką idą w jego kierunku trzy krowy. Ponieważ akurat patrzył pod słońce, poznał to wyłącznie po tym, że zbliżające się kształty miały rogi i kołysały się na boki. To, co szło w środku, było małe, widocznie cielę. Dopiero z bliskiej odległości zauważył, że zasuszona kobiecina w chustce na głowie prowadziła dwie wielkie krowy na postronkach, a jej chód niczym się nie różnił od kołysania się zwierząt. Ponieważ chustkę na głowie miała zawiązaną do góry, a jej końce sterczały na boki, patrząc pod słońce, można ją było wziąć za cielę.

– *Grüss Gott* – powiedział pan Walerian grzecznie i uchylił kapelusza, kiedy kobiecina znalazła się obok niego na ścieżce.

– *Grüss Gott* – odpowiedziała staruszka, a krowy machnęły ogonami, jakby i one zrozumiały pozdrowienie.

Pani Jadwiga nie poszła na spacer z redaktorem Monsiorskim. O tej porze? Mowy nie ma, żeby zdążyła się ubrać i wyszykować przed godziną ósmą, tak by móc się ludziom pokazać na oczy.

Spotkali się przy śniadaniu o godzinie dziewiątej. Posiłek podano na stoliku przykrytym krochmalonym, śnieżnobiałym

obruszem. Wszystko było bardzo zdrowotne. Ryż na mleku z cynamonem (pani Jadwiga uśmiechnęła się do siebie), miód, marmolada, pieczywo, sery, jajecznica i wędlina w plastrach. Kawę w dymiącym dzbanku przyniosła do stołu młoda dziewczyna w czarnej sukni. Na głowie miała biały czepek. Kelnerka to czy pielęgniarka, zastanawiał się pan Walerian.

Wystarczyło parę godzin, żeby pani Jadwiga zorientowała się, że moda tu jest zupełnie inna niż w Sosnowcu. Poszli do miasteczka, ponieważ redaktor Monsiorski chciał koniecznie kupić widokówkę i jak najszybciej wysłać doktorowi Mojkowskiemu. Oglądał różne kartki i nie potrafił żadnej wybrać. Tymczasem pani Jadwiga przyglądała się spacerującym po ulicach kuracjuszkom. Nosiły dużo krótsze spódnice niż te, które ona przywiozła ze sobą. Ona miała suknie i spódnice do kostek, a Niemki kostiumy ze spódnicami sięgającymi za kolana.

– Nie mogę się zdecydować. Czy kupić tę czarno-białą, za dziesięć fenigów, czy kolorową za dwadzieścia?

– A którą wolisz?

– Czarno-biała, ta z zamkiem Kynast, wydaje mi się bardziej elegancka niż ta podbarwiona, ale jest o połowę tańsza. Nie chcę, żeby doktor Mojkowski myślał, że jestem skąpy.

– Kup więc kolorową – powiedziała, nie bardzo go słuchając.

– Ale ta czarno-biała jest ładniejsza, spójrz.

Rzuciła okiem.

– Masz rację, kup czarno-białą. – Była poirytowana tym, że zamiata swoimi prowincjonalnymi sukniemi ścieżki i chodniki, a wszyscy wokół widzą, że nie zna się na najnowszej modzie. Nie chciała odróżniać się w taki sposób.

– Czy czymś cię uraziłem? – zapytał pan Walerian, przyglądając jej się z niepokojem.

– Ależ skąd – odparła.

\* \* \*

– Jak tam u was wygląda sytuacja? – zapytała matka Poli. – Bo my tu w Warszawie słyszymy niepokojące rzeczy.

– Nie jest zbyt dobrze, szanowna pani.

– Nie bardzo się na tym rozumiem. Proszę mi wszystko wytłumaczyć w prostych słowach.

– Od kilku dni w hutach i kopalniach na Górnym Śląsku trwa strajk powszechny.

– A jak dużo osób strajkuje?

– My oceniamy, że sto tysięcy, ale równie dobrze może być dwieście tysięcy. Sytuacja cały czas się zmienia. Wczoraj pod bramą kopalni w Mysłowicach czekało na wypłatę trzy tysiące górników. Niektórzy przyszli z rodzinami. Dyrekcja bała się wpuścić tylu ludzi naraz, więc ustalono, że mają wchodzić po trzydziestu. Wszystko wlokło się w nieskończoność, zniecierpliwiony tłum wtargnął na teren kopalni, a ludzie z Grenzschutzu oddali strzały.

– Dlaczego?!

– Widocznie takie mieli rozkazy.

– No i co?

– Robotnicy wycofali się, ale dziesięć osób zginęło. Podobno siedmiu robotników, dwie kobiety i dziecko...

– Święty Boże. Ale to im nie chodzi o polskość? Tylko o pieniądze? Czy może jednak ci robotnicy chcą, żeby Śląsk był w Polsce?

– Robotnicy mają wiele różnych postulatów. Większość żąda przede wszystkim podwyżki płac i żeby nie było masowych zwolnień. Chcą też, żeby nie dopuszczano do pracy bojówkarzy, co się dzieje nagminnie.

– Bojówkarzy?

– Niemcy sprowadzają swoich ludzi i próbują terroryzować strajkujących. Na dzień dzisiejszy jest tak, że w każdej chwili może dojść do rozruchów.

– No to co my możemy zrobić? To znaczy Polacy?

Eugeniusz nachylił się ku matce Poli i powiedział cichym głosem, patrząc jej prosto w oczy:

– Przez ostatnie miesiące Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska w konspiracji rekrutowała ochotników i gromadziła broń.

– Za granicą?

Eugeniusz kiwnął głową.

– Tak. Po drugiej stronie granicy. Powstanie wcześniej czy później wybuchnie, a my w Sosnowcu musimy być szczególnie czujni. I przygotowani na najgorsze.

Matka Poli załamała dłonie.

– Jak to na najgorsze?

– Na najgorsze, szanowna pani. Ludzie interpretują znaki na niebie i ziemi jako zapowiedź katastrofy albo zachętę do podjęcia walki. Na przykład dwa miesiące temu, bodajże w maju, piorun uderzył w drewniany most szopienicki, przez który przechodzi się na Śląsk. Most się zapalił i zginęło kilku niemieckich żołnierzy pobierających myto. Wszyscy w Sosnowcu uznali, że to znak od Boga, Jezusa i Matki Najświętszej, że Polacy są im miłsi niż Niemcy, bo przecież pełno Polaków przechodzi codziennie przez most, a zginęli tylko Niemcy.

– A ci ochotnicy, przepraszam, że tak zapytam, będą umieli walczyć?

– Większość służyła w pruskiej armii podczas wojny.

– I Niemcy o tym nie wiedzą? – matka Poli spytała ściszym głosem. Jak konspiracja, to konspiracja.

– Wiedzą. Ściągnęli na Śląsk dodatkowe oddziały policji i wojska. Aresztują polskich działaczy, likwidują polskie gazety.

– Mój mąż też długo działał w konspiracji.

– Pola mi wspominała, że mąż pani ma tę chlubną kartę w życiorysie.

Pani Chałupiec przeżegnała się.

– Straszne czasy nastały. Może bezpieczniej by było z Niemcami nie zadzierać.

– Z perspektywy Warszawy może i lepiej, ale my tam mamy inną perspektywę.

– Ślązacy to Polacy, prawda? – upewniała się matka Poli.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Nie rozumiem.

– Mamo, daj już spokój – wtrąciła się Pola.

– Już, już, córeczko. Tylko jeszcze chciałam się dowiedzieć, czy ten Korfanty to jest dobry, czy zły?

– Dobry. – Eugeniusz wiedział, że tych spraw nie jest w stanie wytłumaczyć nikomu w Warszawie, nawet gdyby chciał.

Ale na samo wspomnienie Korfantego trochę się zachmurzył. Dwa razy z nim rozmawiał i nie były to przyjemne rozmowy. Czy Korfanty w ogóle chce powstania? Najpierw uniemożliwił jego wybuch w kwietniu, bo to podobno utrudniłoby armii Hallera powrót do kraju. Potem, kiedy w nocy z 21 na 22 czerwca miały wybuchnąć walki, Korfanty, rozwścieczony, wsiadł w samolot i przyleciał z Poznania do Sosnowca. „Co wy tu wyrabiacie, do ciężkiej cholery?”, ryknął na powitanie. „Panie komisarzu, rozkazy poszły w teren, ruszamy z powstaniem na Śląsku”. „Z krową na pole ruszacie! Powstanie nie może teraz wybuchnąć! Ja wasze rozkazy anuluję w tym momencie!”. „Ale...”. „Nie ma ale! Czy wy tu w ogóle nie myślicie? Chcecie wznieść powstanie na dzień przed debatą w parlamencie w Berlinie? Przecież wtedy Niemcy nigdy nie zaakceptują warunków traktatu pokojowego, a to jest teraz najważniejsze! Mało powstań w Polsce spartaczono?!”. Korfanty krzyczał i pomstował. Nawet nie został na kolacji. Wsiadł w samolot, wrócił do Poznania, rozwiązał komitet i powołał własny. Na jego czele stanął porucznik Zgrzebniok. No, ale stary komitet też miał swój rozum oraz zasługi i na przykład Grzegorzek nadal działał tak, jakby Korfanty komitetu nie rozwiązał. A był i trzeci komitet, sosnowiecki, pod wodzą Dreyzy, popierany przez polski wywiad. I ten Dreyza przy okazji też był zausznikiem Korfantego. Ale kto to w Warszawie zrozumie?

Dobry, dobry jest komisarz Korfanty, i tyle.

– Czy my możemy panu jakoś pomóc? – matka Poli zapytała szeptem.

Eugeniusz uśmiechnął się.

– Bardzo dziękuję. Największą pomocą od pań będzie miły uśmiech.

Pani Chałupiec odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Powinniście dzieci pójść na tańce i nieco się rozerwać. Jest lato, jesteście młodzi, jesteście w Warszawie, kiedy się macie bawić, jeśli nie teraz?

Wyszli więc wieczorem z grupą znajomych Poli.

Dąbbski nie wiedział jeszcze, że chociaż Grzegorzek i Zgrzebniok uznali, że w związku z ogólnym zamieszaniem w Komitetach podjęcie walki byłoby przedwcześnie, zniecierpliwieni



członkowie POW postanowili wziąć sprawy we własne ręce, tym bardziej że Grzegorzka zaaresztowano na granicy, zanim zdążył przekazać komendantom w terenie decyzje o odłożeniu powstania.

Najbardziej do insurekcji rwali się nie ci, co zostali w domach, tylko uchodźcy, którzy siedzieli w obozach w Sosnowcu i innych miastach. Raz dwa wyłonili kolejny komitet, na którego czele stanął Maksymilian Iksal.

Tymczasem przy stole Pola opowiadała, jak upadła ze schodów podczas kręcenia filmu *Oczy mumii*.

– Ten film w zasadzie można sobie darować, kochani. To nie jest żadne wielkie dzieło sztuki. – Śmiała się. – Ale jak ja się poświęciłam na planie! Tam jest taka scena na końcu, że Jannings ma mi wbić sztylet w plecy. Nieważne dlaczego, chodzi o to, że w scenariuszu on się we mnie kocha, a ja się Kocham w Liedtkem, więc wiadomo, jak się wszystko musi skończyć. Lubitsch, to znaczy reżyser, wymyślił, że ja po tym pchnięciu sztyletem zataczam się w tył, o jakoś tak, ale ja powiedziałam, że to za mało dramatyczne i zaproponowałam, że stoczę się po schodach.

Towarzystwo chichotało, a Pola zerknęła kątem oka na Eugeniusza. Uśmiechnął się. Zadowolona, opowiadała dalej.

– Lubitsch nie zgodził się jednak na taki finał, bo się bał, że skręcę sobie kark i on wtedy nie dokończy pracy nad filmem. Na szczycie schodów czekał Emil, znaczy się Jannings. Lena, moja opiekunka, zaczęła podejrzewać, że ja jednak stoczę się z tych schodów bez względu na to, co sądzi Lubitsch, więc w ostatniej chwili poukładała u stóp schodów stertę poduszek. Klaps, kamera, Emil wyciąga sztylet i ciach... pchnięcie... – Pola zadała wyimaginowany cios w powietrzu – ...ja wyrzucam ręce w górę, o w ten sposób... i cofam się. Ale pech chciał, że zaczęłam butem o spódnice i naprawdę runęłam ze schodów, ale nie tak jak chciałam, tak jak by to zrobiła każda tancerka, asekurując upadek i nie czyniąc sobie krzywdy, tylko bezwładnie. I oni to kręcili! Gdyby nie poduszki Leny, pewnie bym się zabiła. A to nie koniec! Słuchajcie, słuchajcie – zerknęła na Eugeniusza – podbiega Lubitsch do Emila i krzyczy, co ty robisz?! Dlaczego jej nie powstrzymałeś?! A on na to spokojnie, to po co zatrudniałeś tę polską wariatkę?! Skąd miałem wiedzieć, że się naprawdę rzuci ze schodów? A ja już

weszłam na górę i mówię: To wszystko nie ma znaczenia. Czy na pewno nakręciłeś mój upadek? Bo jeśli nie, to musimy powtórzyć całą scenę.

Wszyscy się śmiali z tej historii, ale Eugeniusz szybko spochmurniał.

Po tańcach odprowadził ją do domu i pożegnał grzecznie. Nawet jej nie pocałował.

Matka już w progu zapytała z błyszczącymi oczami:

– I co? Oświadczył się?

– Nie.

– Nie szkodzi. Oświadczy się na pewno.

– Nie oświadczy się – burknęła Pola. – On jutro wraca do Sosnowca. A ja muszę jechać do Berlina. – I zamknęła się w pokoju.

Z soboty na niedzielę w Warszawie się tańczy.

Po północy na Śląsku, wbrew rozkazom POW, wybuchły walki. Ludzie Iksała nie chcieli dłużej czekać. Porucznik Zgrzebniok, postawiony przed faktem dokonanym, objął dowództwo nad powstaniem.

\* \* \*

W poniedziałek rano redaktor Monsiorski zapukał do pokoju pani Jadwigi. Leżała jeszcze w łóżku.

– Proszę! – zawołała zaniepokojona. No tak, jak ona wygląda! Podniosła się na łokciu.

Wszedł.

– Przepraszam cię, Walerianie, że ja jeszcze... ale przed snem wzięłam książkę i zaczęłam czytać, i skończyłam chyba o pierwszej w nocy. Wprawdzie oczy mi się zamykały, ale nie mogłam się oderwać, po prostu nie mogłam...

Nie słuchał. Usiadł na brzegu łóżka. W ręku trzymał gazetę i był wyraźnie wzburzony.

– Jadwigo, musimy wracać do Polski.

– Oszalałeś? Przecież dopiero przyjechaliśmy. Dzisiaj masz zacząć kurację.

Pokiwał głową.

– Ale w nocy z soboty na niedzielę wybuchło powstanie.

– Gdzie? W Polsce?

– Nie. Na Śląsku. Musimy wracać do Sosnowca.  
– Posłuchaj, Walerianie. Skoro biją się w Niemczech, to do czego jest niezbędna twoja obecność w Sosnowcu? Ja tego nie rozumiem.

– Jestem członkiem komitetu.

– Jakiego znowu komitetu?

– W czerwcu powołano Komitet Opieki nad Uchodźcami, żeby nieść pomoc tym Ślązakom, którzy w związku z szykanami uciekli na naszą stronę. A tymczasem wygląda na to, że sam uszedłem, tyle że w drugim kierunku. – Roześmiał się gorzko.

– Posłuchaj mnie! Przecież jesteś chory! – krzyknęła.

– Przetłumaczę ci, co tutaj piszą. Na pierwszej stronie jest taka notatka: „Nocą z 16 na 17 sierpnia rebelianci podżegani przez Polską Organizację Wojskową, rozpoczęli walki we wschodniej części Górnego Śląska. Oddziały insurgentów opanowały najpierw kilka miejscowości, ale napotkały zaciekle opór i musiały wycofać się do polskiej granicy na Wiśle”. Czytam tutejsze gazety i nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Wyczytałem też, że rebelia, jak to nazywają, wybuchła po aresztowaniu kilku przywódców Polskiej Organizacji Wojskowej.

– Rozumiem. I co w związku z tym?

– Nie mogę chodzić po górach, kiedy u nas dzieją się takie rzeczy. Ja mam gazetę, jestem redaktorem...

– Walerianie, ale ty nie jesteś tutaj dla przyjemności, tylko z polecenia lekarza.

– Wiem.

– Zresztą mnie też lekarz zalecił odpoczynek.

– Tak, ja wiem.

Milczeli. On wpatrywał się we własne kolana w poczuciu winy. Był wyraźnie przygnębiony.

Westchnęła.

– Kiedy chcesz wracać?

Milczał.

– Chyba nie dzisiaj?

Nadal milczał.

– Dobrze więc. Wracajmy. – Dłonie jej drżały. – Widzę, że już podjąłeś decyzję. Tylko bardzo jestem ciekawa, co powiesz

doktorowi. I jeśli na Górnym Śląsku trwają walki, to jak dotrzemy do Sosnowca?

– Dotrzemy – powiedział cicho. – Przecież pociągi kursują.

Dotknęła jego policzka.

– Walerianie, ja wszystko rozumiem. Ale się martwię, bo ty wciąż nie jesteś w pełni sił. Jak chcesz wyzdrowieć, jeśli nie dbasz o siebie?

Zerwał się z jej łóżka i wyszedł do swojego pokoju.

Minęło może piętnaście minut i pani Jadwiga znów usłyszała pukanie do drzwi.

Nie zadała sobie trudu, żeby otrzeć łzy ani żeby odstawić butelkę absyntu.

– Proszę.

Wszedł.

– Jak długo zatem powinniśmy tu zostać?

– Powinniśmy być tyle, ile nakazał ci doktor.

– Czyli do końca października?

– Tak.

Spojrzał na nią.

– Dobrze. Zostańmy.

Odstawiła butelkę na stolik.

– Nawet jej nie otworzyłam. – Wzruszyła ramionami. – Ale miałam zamiar.

\* \* \*

Podporucznik Dąbski odprowadził Polę na dworzec. Pocałował ją na pożegnanie.

– Wracasz do Sosnowca, Eugeniuszu?

– Tak. Dzisiaj jeszcze. Muszę tylko wcześniej załatwić kilka spraw w sztabie. Pojadę popołudniowym pociągiem.

– Będziesz na siebie uważał?

– Tak.

– Napiszesz?

– Oczywiście.

– Zobaczymy się niedługo?

– Jestem tego pewien.

No i nie oświadczył się.

Kilka godzin później jechał do Sosnowca i bił się z myślami. Nie tak sobie to wszystko zaplanował, kiedy zobaczył uroczą artystkę pierwszy raz, zimną, na peronie, przestraszoną. Wówczas robił wszystko instynktownie i myślał, że skoro jest aktorką, to musi być doświadczona i byłoby nie od rzeczy nawiązać z nią romansik. Ale potem, po listach od niej i po tych kilku dniach spędzonych w Warszawie zrozumiał, że uwieść ją, ot tak, to byłby grzech i tak się polski oficer nie powinien zachowywać. Przecież przedstawiła go matce! Więc co? Prosić o rękę? Niepodobna. Mezalians jakich mało. Ona... ten jej ojciec... Wygląda na to, że Cygan... a on musi myśleć o karierze w dyplomacji, więc trzeba uważać na każdy ruch, na każde słowo. W dodatku kto wie, co Pola wyrabia w Berlinie z tymi reżyserami i amantami... Aktorka jako żona? To by mu zamknęło drogę na salony. Ona sobie myśli Bóg wie co, ale mniejsza z babskimi mrzonkami. Może jej się wydaje, że wejdzie w jego świat. Tym bardziej mrzonki. Nie, małżeństwo jest absolutnie wykluczone. Ona do niego nie pasuje. A on nie pasuje do jej towarzystwa. Matka może i dobrze chce, ale... Eh, nie można dziewczyny zwodzić, nie można jeździć za nią do Warszawy ani pisać listów do Berlina, trzeba definitywnie z tym skończyć. Czy on ma teraz mało pracy?

Powstanie. Uchodźcy.

Tym się trzeba zająć. Rzucić się w wir obowiązków. O Poli zapomnieć. O Polsce myśleć.

Już przecież walczą pod Pszczyną, pod Katowicami, pod Rybnikiem, pod Bytomiem, pod Mikołowem...

No ale, ale... Chyba nie wszyscy walczą.

Pukają przed świtem do okna, wywołują Gerarda na dwór.

Eee, Gert, pódź do powstania!

Niy pójda.

Czemu niy pódziesz?

Niy pójda. Jo zech se to dobrze wykombinował. Jak mi się udało wygramolić z okopów po wojnie i nie kojfnąć i Francuzi mnie nie ubili, to czy jo mom ała, żeby pod kule niemieckie leżć? Weź się jeden z drugim puknij w łeb! Jo w okopie tylko czekał, coby do gołymbi wrócić i do łogródka, a teraz będę się Niycom wystawiał?

Co jo z nimi wygram? Mom robota na grubie, chajtnąć sie chca, i bajtle mieć, niy pójda.

A piyrwyj żeś godoł, że pódziesz.

A, tak się godoło.

To niy kcesz, coby tukej Polska była?

Nic nie powiedział.

To niy idź. My pójdymy. Inni tyż pódą. Zoboczysz, bydziesz żałował.

Byda albo niy byda.

Okno się zamknęło. Spojrzeli po sobie niepewnie.

Jeronie, Gert ocipioł, ale fest.

Poradzimy bez niego.

On mo richtig ała.

Godoł, że niy mo.

Jak niy mo, kiedy mo.

Późdz sam, jo tu niy byda po ćmoku sterczoł.

\* \* \*

We wtorek po południu poszli w górę wsi. Pani Jadwiga miała na sobie elegancki kaftanik z lekkiej wełny, zakupiony poprzedniego dnia („Czy to był konieczny wydatek, Jadwigo?” „Absolutnie niezbędny”), pan Walerian swój letni płaszcz. Przy leśnym trakcie nagle natrafili na granitową płytę z napisem i czarnym krzyżem. Zatrzymali się.

– Grób? Czyżby tu kogoś pochowano? – zdziwiła się pani Jadwiga na widok płyty w lesie. Redaktor Monsiorski odchylił wysokie trawy i odczytał inskrypcję.

– *Hier fand seinen Tod G. Maywald d. 17. Septbr. 1838.* – Pokręcił głową. – Napis sugeruje, że tutaj zginął jakiś Maywald, a nie że jest tutaj pochowany.

– Jak myślisz, co się mogło stać?

– Nie mam pojęcia.

– Może tu zginął podróżnik? Albo drwal?

– Nawet jeśli biegł tędy kiedyś trakt przez góry, czy jeśli zginął drwal podczas wyrębu, nikt nie stawiałby pomnika tylko dlatego, że w lesie wydarzył się wypadek.

– Morderstwo!

– Całkiem możliwe. A w dodatku osoba musiała być ważna, skoro ją w ten sposób uhonorowano i pomnik stoi już od osiemdziesięciu lat.

Pani Jadwiga wzięła redaktora Monsiorskiego pod ramię.

– To przerażające. Nie sądzisz?

Pan Walerian pokręcił głową.

– Ja się nie boję grobów ani zmarłych. Ja tylko nie lubię, nigdy nie lubiłem, Wszystkich Świętych. Ale to z powodu spotkań rodzinnych nad grobami.

Szczególnie, kiedy był niemal dorosły i nagle do mamy podchodziła jakaś zupełnie obca osoba, na ogół w tanim futrze, w ciemnym kapeluszu, pachnąca perfumami tak, że aż go mdliło. Wówczas mama nieodmiennie wołała: „Walerku, nie poznajesz tej pani?”. Walerek nigdy, przenigdy nie poznawał tych obcych pań, a mama oznajmiała rozczarowana: „No przecież to jest twoja ciocia”. Jemu się robiło słabo na widok kolejnej cioci, którą powinien znać i lubić, tylko nie wiadomo, jakim cudem, skoro rodzice sami się z nią spotykali nie częściej niż raz na kilka lat, przypadkowo, na cmentarzu. Dotyczyło to w jeszcze większym stopniu licznych wujków, zazwyczaj łysych, zazwyczaj ze złotymi zębami w szczękach, w szarych płaszczach śmierdzących naftaliną, bo właśnie je po raz pierwszy od roku wywlekali z szaf. Mama oznajmiała z dumą: „Przecież to twój wujek”, co go kompletnie nie obchodziło, i jeszcze dodawała: „Jak byłeś mały, to cię huśtał na nodze” albo „Jak byłeś mały, to cię nosił na barana”, albo: „Jak byłeś mały, to cię brał na kolana”. Chciał wówczas powiedzieć: to po co mnie dawałaś, mamó, temu dziwnemu panu? Nie bałaś się, że mnie ukradnie? Tak czy owak, żadnego z tych cmentarnych wujków nie pamiętał, żadnej cmentarnej ciotki nie pamiętał, czy to jego wina, że pól Sosnowca to była bliższa lub dalsza rodzina mamy? W dodatku we Wszystkich Świętych marzły mu nogi. Cmentarze za to lubił. Tylko musiał chodzić sam, i mieć czas poczytać, co piszą na grobach. Bo na grobach są ciekawe inskrypcje, są stare i nowe daty, inspirujące wierszyki, a w dodatku można puścić wodze fantazji. Cmentarze nie napawały go ani smutkiem, ani strachem.

Wytłumaczył to wszystko pani Jadwidze. I dodał:

– Chyba tylko bałem się, kiedy byłem mały, bo dziadek mówił mi, że kiedy po jego śmierci będę przychodził palić mu świeczki na grobie, on będzie na mnie zerkał i kiwał palcem...

Pani Jadwiga wzdrygnęła się.

– Okropny żart...

– ...więc kiedy umarł, trochę się obawiałem, czy gdzieś na mnie nie kiwa, ale to jednak były z jego strony czcze przechwałki. Zwróciłem też na cmentarzach uwagę, że ludzie w danej okolicy wydają się mieć to samo nazwisko. Albo zastanawiałem się kiedyś, jak to możliwe, że w rodzinie ze strony ojca wszyscy umierali z trójką na końcu.

– Jak to z trójką?

– No, siostra ojca umarła, kiedy miała czterdzieści trzy lata, jego matka miała siedemdziesiąt trzy, a jego ojciec osiemdziesiąt trzy, więc mój ojciec, kiedy miał siedemdziesiąt cztery lata, był przekonany, że wygrał kolejne dziewięć lat życia.

– I co?

– Gdzie tam. Umarł dwa lata później.

Pani Jadwiga wróciła myślami do śmierci własnego ojca, zresztą poprzedniego wieczora opowiedziała o tym panu Walerianowi.

– Cały czas się nad tym zastanawiam...

– Nad czym, Jadwigo?

– Jak on tak mógł zrobić, że się po prostu położył i umarł?

– Kto się położył i umarł?

– Boże, mój ojciec. Powiedział, że ma dość życia, położył się i umarł.

Pan Walerian pokiwał głową.

– Można tak uczynić.

– Można?

– Tak sądzę... Ale ty tak nie rób!

– Na razie nie... – Roześmiała się.

– Ty tak nie rób, bo ty masz po co żyć, słyszysz? – Spojrzał na nią z niepokojem.

Pani Jadwiga myślała, że może teraz dowie się czegoś o samobójstwie siostry pana Waleriana. Ale on już zmienił temat.



W samą porę wrócił Eugeniusz z Warszawy. W środę Niemcy przestali się dziwować powstaniu i wydali zarządzenie, że rozstrzelają każdego rebelianta schwytanego z bronią w ręku. Przypuścili atak na Dąbrówkę, Szopienice, Nikiszowiec i Janów. Sztab powstańczy czym prędzej przeniesiono do Sosnowca.

Polscy komuniści zaczęli przebąkiwać, że Śląsk powinien zostać w Niemczech. Natomiast generał Haller zaproponował Naczelnemu Dowództwu w Warszawie, że dokona inwazji w imieniu Ententy, skoro jego armia wciąż formalnie wchodzi w skład wojsk koalicji. Jedną dywizją załatwi sprawę raz, a dobrze. Warszawa odmówiła, bo generał Weygand na posiedzeniu Rady Najwyższej ostrzegł Polskę, żeby pod żadnym pozorem nie angażowała się w konflikt.

Do miasta zjechał pułkownik Michał Żymiński. Będzie koordynował polską pomoc dla powstania.

Dąbski wzruszył tylko ramionami. „Tam, najwięcej skoordynuje, jak pomocy nie ma”.

– Nie wiem, czy pan pułkownik słyszał, że dzisiaj niemiecki samolot ostrzelał Sosnowiec.

– Są ofiary w ludziach?

– Są ranni. Ale tak poza tym...

– Co „poza tym”, podporuczniku?

– Panie pułkowniku, nic z powstania nie będzie. Co zostało jeszcze? Giszczów i kawałek Mysłowic? Jak długo się to utrzyma?

– Wy wiecie lepiej. Wy jesteście miejscowi. Ale defetyzmu nie siejcie.

Dąbski spojrzał na niego ze zdziwieniem, lecz nic nie powiedział.

\* \* \*

Na prośbę pana Waleriana doktor Euler wypytał w okolicy o grób Maywalda i dowiedział się, że jego syn, Julius, emerytowany leśniczy w dobrach Schaffgotschów, mieszka w pobliskiej wsi. Wysłał do niego pracownika z sanatorium i potem przekazał wszystkie informacje zagranicznemu pacjentowi.

– Stary Maywald był leśniczym w dobrach hrabiego Schaffgotscha. Zamordowali go dwaj czescy kłusownicy.

– Tam gdzie stoi tablica?

– Tak. Zabójcy zdzielili go w głowę jego własną dubeltówką. Kiedy go przyniesiono do domu, zdążył szepnąć: „Nie bójcie się, nie umrę”, stracił przytomność i parę godzin później było po nim.

– A morderców schwytano?

– Owszem, ale nie przyznali się do winy. Przesiedzieli parę lat w więzieniu. Jednak niczego im nie udowodniono i wyszli na wolność.

– Jeśli im niczego nie udowodniono, to może rzeczywiście byli niewinni?

Doktor Euler rozłożył tylko ręce.

– Któż to dzisiaj może powiedzieć?

– Nie ma sprawiedliwości na tym świecie – skonstatował pan Walerian. – Ani u nas, ani u was.

– Jest na tamtym świecie. Jeden z morderców spadł w górską przepaść, a drugiego stratował wściekły wół. Sprawiedliwość boska ich dopadła... Ileż to w życiu paradoksów, prawda? – Wykonał jakiś dziwny ruch ręką i dodał: – Życie w ogóle leży w bardzo złej strefie klimatycznej. Po krótkiej wiosnie, jeszcze krótszym lecie i nieprzewidywalnej jesieni następuje nieskończenie długa zima. – Ewidentnie wygłaszał tę kwestię wiele razy wcześniej i był z niej bardzo dumny.

– Dobrze powiedziane. – Redaktor Monsiorski pokiwał głową, bo czuł, że doktor Euler czeka na komplement.

– No cóż, czasami nawet prowincjonalny lekarz wymyśli jakiś aforyzm...

Pan Walerian spojrzał uważniej na doktora.

– Dlaczego pan postanowił pracować tutaj... w tej malutkiej miejscowości, jeśli mogę zapytać?

Doktor Euler milczał przez chwilę, a potem zaczął mówić spokojnym tonem, nie patrząc na redaktora Monsiorskiego, tylko spoglądając w kierunku gór.

– Cała medycyna niemiecka przez cztery lata poświęcona była temu, żeby wspierać wysiłek wojenny, czyli w praktyce przywracać zdolność bojową u rannych żołnierzy. Dzisiaj mówi się coraz głośniej, że Niemcy przegrali, bo zawiedli lekarze... oraz zdegenerowani żołnierze... neurastenicy i neurotycy, których należałoby eliminować ze zdrowego społeczeństwa. – Zamyślił się.

– Wojna wyrządziła niemieckiej medycynie duże szkody... Całe szczęście, że nie zostałem psychiatrą, a kiedyś miałem taki zamiar...

– Czy psychiatrzy robili coś złego?

– Na zmarłych w szpitalach psychiatrycznych przeprowadzano autopsje. Wie pan dlaczego?

– Hm, nie...

– Żeby lepiej diagnozować choroby umysłu i móc wyeliminować... nieważne zresztą. Nie będę pana obarczał moimi dylematami. – Doktor Euler uśmiechnął się. – Podobno nie ma w Niemczech lekarzy pacyfistów... – Westchnął. – Otóż byli zawsze. I żyją nadal. Tyle że siedzą w górskich sanatoriach, a nie w Berlinie... Panie redaktorze, nie możemy się tu zadreczać. Dzisiaj niemiecka medycyna musi się przestawić i zamiast ratować żołnierzy, powinna nakłaniać ludzi, żeby się rozmnażali... Tylu młodych zginęło... Ale, ale, dość tych melancholijnych rozważań, muszę wracać do swoich obowiązków.

Wieczorem pani Jadwiga i pan Walerian powiedzieli sobie grzecznie dobranoc i poszli do swoich pokojów. Pan Walerian położył się na łóżku i zaczął czytać gazetę, szukając informacji o rebelii na Górnym Śląsku. Po kwadransie usłyszał delikatne pukanie. Otworzył drzwi.

Pani Jadwiga stała w progu. Była w szlafroku narzuconym na koszulę nocną. Poprosiła go na chwilę do siebie.

– Co się stało? – zaniepokoił się.

Usiadła na brzegu swojego łóżka.

– Wiesz, te wszystkie krwawe historie... i w ogóle, ta architektura we wsiach, ten mur pruski, jak go nazywasz, jakoś mnie to rozstroiło i mam wrażenie, że mi bardzo mocno bije serce.

– Już idę po pielęgniarkę.

– Nie, nie, zaczekaj chwilę. Nie chciałabym zrobić z siebie pośmiewiska, jeśli mi nic nie jest. Nie będę wszczynać alarmu bez potrzeby... Ale nie myśl, że piłam absynt i to dlatego.

– W ogóle tak nie pomyślałem. Ale zawsze któraś z pielęgniarek ma nocny dyżur i właśnie w takich sytuacjach...

– Dobrze, za chwilę, trochę się ich jednak krępuję. Czy ty potrafiłbyś zmierzyć mi tętno?

– Myślę, że tak, chociaż nie mam wprawy.

Usiadł obok niej, a ona podwinęła lekko rękaw. Palcami wyczuł tętno na jej nadgarstku. Siedzieli, milcząc, a on w myślach liczył.

– Pomyliłem się. Muszę jeszcze raz.

– Dobrze...

Znów się pomylił.

– Jakoś nie mogę się skupić, przepraszam. Ale chyba rzeczywiście masz nieco za szybkie tętno – zgodził się. Dłonie mu drżały.

– Wiesz, to nawet nie w nadgarstku. Bardziej czuję, że mam nierówne bicie serca i takie coś, jakby mnie właśnie lekko zatykało.

– To naprawdę brzmi poważnie – zaniepokoił się. – Pójdę po pielęgniarkę. – Chciał wstać z łóżka.

– Nie idź jeszcze. – Chwyciła go mocniej za rękę. – Posłuchaj mojego serca, może to nic poważnego?

– Ale, Jadwigo, takich objawów nie można lekceważyć. Trzeba coś przedsięwziąć.

Przedsięwzięła. Położyła mu rękę na głowie i delikatnie pociągnęła ku sobie. Wyczuła, że w pierwszej chwili zeszywniał, ale nie cofnął się. Jego głowa, wiedziona dłonią pani Jadwigi, spoczęła na jej piersi. A konkretniej: jego ucho spoczęło na przyjemnie chłodnym jedwabiu jej nocnej koszuli.

Przez dłuższą chwilę trwali tak bez ruchu. On słuchał bicia jej serca, a ona delikatnie trzymała dłoń na jego głowie.

– Rzeczywiście – szepnął lekko zduszonym głosem – odnoszę wrażenie, że twoje serce...

– Teraz już nic nie mów. Słuchaj – szepnęła.

Dokładnie to samo powiedziałyby każda z heroin jej powieści.

Opuścimy zasłonę milczenia na dalszy ciąg wydarzeń, nie ze skromności ani nie z pruderii, tylko dlatego, że szanujemy tę parę, a podglądanie jej w tak delikatnym momencie byłoby bezeceństwem i świadczyłoby o kompletnym braku taktu. Elegancja nade wszystko, jak mawiał pan Goździk.

Biorąc pod uwagę pozytywistyczny życiorys pana Waleriana oraz romantyczne zapędy wdowy po Alojzym Korzeńcu, można by przypuszczać, że nic szczególnego tej nocy nie mogło się wydarzyć. Założenie to byłoby może logiczne, niemniej zupełnie błędne.

Stwierdzimy jedynie, że Balzac miał do pewnego stopnia rację, kiedy mówił, że kobieta dwudziestoletnia nie uczyni dla mężczyzny nic, a czterdziestoletnia uczyni wszystko.

I z wzajemnością.

Przynajmniej kiedyś tak było.

\* \* \*

Przed świtem pan Walerian przeszedł do swojego pokoju, cichutko otwierając i zamykając drzwi. Nie usnąłby w cudzym łóżku. Kiedy już zapadał w sen we własnej pościeli, ostatnią jego świadomą myślą było to, że przecież Jadwiga miała kłopoty z sercem. Jak mogli się aż tak zapomnieć? Jak mogli ryzykować? Przecież to ją mogło zabii... i usnął jak kamień.

Obudził się kilka godzin później i przez chwilę usiłował sobie przypomnieć, jaki to dzień tygodnia. Czwartek. A potem zaczął się zastanawiać, czy aby nikt nie spał w pokoju obok Jadwigi. Z jednej strony jej pokój przylegał do jego pokoju, ale z drugiej? Później jeszcze pomyślał, że opuścił poranny spacer. Miał chodzić codziennie. No, nie szkodzi, ten jeden raz... Wybiorą się wspólnie po południu.

Doktor Euler polecił im nieco dłuższą trasę do wioski Agnetendorf.

– Jeśli państwo będziecie mieli odrobinę szczęścia, to spotkacie Hauptmanna. Popołudniami często przechadza się z sekretarzem po ogrodzie.

– Hauptmann? Noblista?

– W rzeczy samej. Mieszka tu we wsi w pięknym domu, który kazał sobie zbudować. Właściwie to nie dom, a willa. Willa Wiesenstein, tak ją nazwał. Prawdziwy pałac. Oczywiście nie można wejść do środka, ale jeśli pan chce, mogę spróbować państwa umówić, chociaż nie obiecuję, że się uda, bo Hauptmann jest podobno dziwakiem i odludkiem.

Podziękowali. Nie będą sprawiać kłopotu. Doktor Euler nie nalegał. Poszli do wsi Agnetendorf, mimo że wcale nie mieli zamiaru podglądać Hauptmanna w ogrodzie. Ani pan Walerian, ani pani Jadwiga nie znali jego dzieł. Teraz interesowało ich zupełnie coś innego.

– Wiesz – powiedziała, kiedy stali przy jakimś starym mostku i spoglądali na wartki strumyk płynący w dole – może nie powinnam tego mówić, ale kiedyś w kościele modliłam się o to, żeby... żeby tak się właśnie stało... z tobą...

– Przecież pan Bóg nie może wysłuchiwać takich próśb... – powiedział skrepowany.

– Wiem, ale modliłam się o to i...

– I wysłuchał.

– Sama nie wiem. Chyba tak.

\* \* \*

Niewielki oddział policji wspomagany przez kilkunastu górników próbował przebić się przez most na Czarnej Przemszy, ale okazało się to już niemożliwe.

– Niech nikt nie próbuje leżać teraz na most! I nie stójcie na środku drogi! – zawołał Dąbski. Miał na sobie gumowy, szturmowy płaszcz.

Zajęto więc pozycje po polskiej stronie.

Od Sosnowca zbliżył się w tumanie kurzu samochód. Stał daleko od mostu. Wyskoczył z niego adiutant pułkownika Żymierskiego. Podbiegł do Dąbskiego. Przyniósł wiadomość, że w Poznaniu powołano Komitet Obrony Górnego Śląska.

– Teraz? – Eugeniusz roześmiał się gorzko. – To się Korfanty sprężył! Dzisiaj padają ostatnie przyczółki w Mysłowicach.

Adiutant rozglądał się. Tu zza węgła wystawał jeden tyłek, zza krzaka drugi, zza sterty desek trzeci. Tyłki górnicze i policyjne wypięte były ku Polsce nie z braku szacunku, tylko dlatego, że głowy, przyłożone do karabinów, skierowane były w niemiecką stronę.

Zza mostu huknęło. Po polskiej stronie eksplodował pocisk artyleryjski. Zaterkotał też niemiecki karabin maszynowy.

Górnicy i policjanci odpowiedzieli natychmiast palbą.

– Nie strzelać na oślep! – krzyknął zirytowany Dąbski.

Przypadł do człowieka, którego tyłek wystawał zza sterty desek. Nie był to policjant. Miał na sobie kolejarski mundur.

– Panie komendancie, tam jest gniazdo karabinu maszynowego, o... tam. – Wskazał jakiś punkt za mostem.

– Widzę – powiedział Dąbski.

Wymierzyli starannie. Przez chwilę słychać było, jak obaj ciężko oddychali. Strzelili w tym samym czasie.

Po drugiej stronie poszedł w górę pył. Niemiecki karabin umilkł.

– Dobra robota, panie Ociepa. – Dąbski poklepał dróżnika po ramieniu.

– To ja trafiłem? Czy pan?

– Pan.

Ociepa pokraśniał.

Ogień zaczął prażyć teraz z obu stron mostu.

Zazgrzytał żwir. Dąbski odwrócił się. Adiutant Żymierskiego przycupnął za porucznikiem i próbował przekrzyczeć kanonadę, trzask, zgrzyt i łoskot.

– To o co wy jeszcze walczyacie?

– Chcemy pomóc powstańcom przedostać się do Polski. Są po drugiej stronie granicy. Sami nie dadzą rady, bo most jest obstawiony przez Grenzschutz. Ale schowaj się pan trochę, bo panu głowę odstrzelą.

– Powinniście pozakładać hełmy – powiedział adiutant.

– Trzeba je mieć.

– Będziecie szturmować most?

Dąbski pokręcił głową.

– Trudno się połapać, ilu tam jest Niemców. Nie wiemy też, ilu naszych chce się przebić i kto jest jak uzbrojony. Jeśli trzeba będzie, spróbujemy szturmować. Ludzi tam przecież nie zostawimy.

– Powiedział to jednak bez przekonania.

\* \* \*

W piątek wybrali się na wycieczkę do zamku Kynast. W sanatorium otrzymali mapę szlaku prowadzącego ścieżkami leśnymi na górę, do ruin. Pani Jadwiga była podekscytowana i chciała sama prowadzić według wskazań mapy, ale zupełnie jej to nie wychodziło.

– Posłuchaj, moja kochana – powiedział zasapany pan Walerian, kiedy po raz kolejny poszli w złą stronę. – Nie możesz kręcić mapą raz tak, raz siak, to trzymać ją normalnie, to do góry nogami, jak ci

w danej minucie fantazja dyktuje, bo nigdy nigdzie nie dojdziemy. W prawo, w lewo... dla ciebie znaczy to samo.

– Umiem czytać mapę. – Pani Jadwidze zrobiło się przykro. – Tylko przy tobie nie umiem, bo bardzo chcę udowodnić, że to potrafię, i z tego powodu trochę mi nie wychodzi. Ale ja umiem, naprawdę.

Roześmiał się, rozbrojony.

– Umiesz różne rzeczy, Jadwigo, jesteś wspaniała i piszesz doskonałe powieści, ale akurat na mapach się nie znasz. Zresztą – dodał – jak się masz znać, skoro jesteś kobietą?

Nie odezwała się. Przecież nieboszczyk Alojzy nie zabierał jej nigdy na żadne ekskursje. Gdzie miała się nauczyć korzystać z mapy?

Doszli wreszcie na szczyt wzgórza i usiedli na dziedzińcu zamkowym przy słupie pręgierza.

– Taki mężczyzna jak ty... – zaczęła pani Jadwiga. – Każda kobieta mogłaby mi ciebie zazdrościć... a ty jesteś stanu wolnego.

Chrząknął. Zastanawiał się, co powiedzieć.

– Zawsze byłem nieśmiały wobec kobiet, szczególnie w młodości... – Wzruszył ramionami. – Wiem, że nie da się wszystkiego tak prosto wytłumaczyć, ale wydaje mi się, że właśnie z tego powodu... Nie chciałem się ośmieszyć. A młode kobiety... dużo żądały, mało z siebie chciały dać – powiedział.

– To nieprawda, Walerianie. Dobrze wiesz, że tak nie jest.

Ale pozostawało faktem, że gdy był młody, nie umiał pleść byle czego, nie znosił fanfaronady, nie potrafił zaimponować tym dziewczętom, a potem kobietom, na których chciał zrobić wrażenie. Nie umiał patrzeć zuchwale w oczy, a im kobieta miała więcej wdzięku, tym bardziej on był niezręczny. Próbował to wytłumaczyć Jadwidze, ale jej nie przekonał.

Pokręciła głową.

– Kobietom podobają się wrażliwi mężczyźni.

– Jakoś nie zauważyłem. Nie mówmy zresztą o tym...

– Ale jak mogłeś pogodzić żar, który płonął w twoim ciele – Jadwiga nie mogła całkowicie wyzbyć się myślenia kategoriami Klandestyna Bizukonta – z tym... dramatem?!

– Żar... – zachnął się.



– Przecież na pewno chciałeś być kochany!

Zapadła cisza.

– Chciałem być kochany – odezwał się po chwili niezbyt pewnym głosem – ale prawdopodobnie obrałem ku temu złą drogę.

Spojrzała na niego pytająco.

Tak jak ludzie, którzy gromadzą coraz więcej pieniędzy, żeby nie musieć się obawiać o ich brak, jak ci, którzy coraz więcej pracują, żeby jak najszybciej móc przestać pracować, jak ci, którzy odmawiają sobie całymi latami wszelkich przyjemności po to, żeby kiedyś móc z nich korzystać garściami – innymi słowy, jak wszyscy szaleńcy i ludzie ogarnięci obsesją odkładania życia na później – tak i on chciał być może osiągnąć najpierw taki poziom... hm... czego? No, czegoś... czegoś takiego, żeby nie bać się, że kobieta, którą wybierze, odmówi mu... I podobnie jak pozostali nieszczęśnicy nie zauważał, że w ten sposób nigdy nie osiągnie celu. Przegapił właściwy moment, w którym człowiek nie kalkuluje...

Starał się teraz wyjaśnić pani Jadwidze te kwestie, na tyle, na ile sam je sobie uświadamiał.

– Walerianie, to, co mówisz, jest bardzo filozoficzne, ale pozbawione sensu. Po prostu nie trafiłeś dotąd na właściwą kobietę.

\* \* \*

Do Sosnowca wrócił Augustyn Świder, poeta, zaufany człowiek z komitetu Dreyzy. W dniu, w którym wybuchło powstanie, przeszedł na Śląsk („przełoz na drugo strona”), żeby brać udział w walkach. Teraz, dzięki pomocy oddziału Dąbskiego podczas walk na moście, udało mu się przebić przez granicę.

– Dotarł pan do Lipin? – zapytał Eugeniusz, kiedy spotkali się przy spokojnej herbacie.

Świder kiwnął głową.

– I co, były walki?

– Pieronie! I to fest! No ale teraz to już bijom się ino przy samej granicy z Polską, a dalej nie... Ale wiycie, co mie najbardziej mierzi, panie poruczniku? Ida ulicą po Sosnowcu i co widza tu za winklem

na afiszu? Że dzisiaj w Teatrze Zimowym wystympuje tyn pijok i chachor, tyn haźlowaty łeb, tyn mamlok i pieroński ciul!

– Kto!? – przeraził się Eugeniusz.

– No, tyn satanista Przybyszewski! Nikaj miejsca nie zagrzoł, teraz jest bez geltu, bo w czasie wojny nikt jego berów nie czytoł, to przyjechoł do Sosnowca fulać. A jo prosto z powstania wracom i pieronie myśłołech, że mnie szlag trafi jasny, jak zoboczyłech tyn afisz. Aż zech sie za gowa chycił. Do roboty by sie wyparfinowany skurwysyn wzioł! Bydzie tam w tyatrze stoł pod ślipsem i czytoł coś takiego, co mo tytuł *Z zagadnień ducha i duszy ludzkiej*. Skąd sie takie byle co wziyno? Mom nadzieja, że nikt na tego checioka nie pódzie.

– A kogo to może teraz obchodzić? – Eugeniusz wzruszył ramionami.

– No, mnie to łon może w rzić pocałować. Jo tu byda sykretozem w Komitecie Opieki nad Uchodźcami.

\* \* \*

No i już po powstaniu. Długo nie trwało.

W sobotę na cmentarzu w Sosnowcu pochowano kolejnych sześciu poległych, a w Warszawie ukonstytuował się Komitet Zjednoczenia Górnego Śląska z Rzeczypospolitą Polską.

Trochę za późno, bo w niedzielę 24 sierpnia Alfons Zgrzebniok nakazał zakończenie akcji zbrojnej.

Eugeniusz wiedział o wszystkim już z samego rana. Pił kawę na posterunku i ponuro rozmyślał nad kolejnym nieudanym zrywem zbrojnym i nad tym, że jednak bez Poli ciężko wytrzymać. Napisał do niej kilka listów, ale i tak mu było źle na duszy.

– Panie komendancie! – Adiutant wpadł do pokoju. Ledwie zdążył zasalutować.

– Co się stało?! – Dąbbski zerwał się z krzesła i już dopinał pas.

– Niemiecki samolot znowu ostrzelał Sosnowiec! Na Polnej ranna została dziewczyna.

– Ktoś zginął?

– Nie.

– Nasi ostrzelali samolot?

– Nie zdążyli, bo za szybko odleciał.

– To po jaką cholere Szósty Pułk Strzelców stacjonuje na granicy?! – ryknął wściekły Eugeniusz.

Godzinę później:

– Panie komendancie!

– Znowu samolot?

– Nie. Ale w mieście jest wiec.

– O co tym razem?

– Żądają akcji zbrojnej na Śląsku. Skandują, że pali się na granicach, a polski rząd nic nie robi. Jakie pan daje rozkazy policji?

Dąbski wahał się tylko przez chwilę. Instrukcje miał jasne.

– Interweniować!

– Czyli?

– Rozpedzić ich, do jasnej cholery!

Wieczorem w mieście pojawił się sam Zgrzebniok. Zwołano szybko zebranie sztabu POW. Komendant powstania wykrzyczał całą złość:

– My godali, że podjęcie walki teraz niy mo sensu. Ale jak wzniecono powstanie, to trza sie było bić. A tu taki bajzel! – Próbował opanować wzburzenie. Przez chwilę mówił bez akcentu.

– W Warszawie manifestowano, ale nam to było na nic, bo nam była potrzebna amunicja! Wygrywaliśmy tam, gdzie Niemców udało się zaskoczyć. Tam, gdzie Niemcy byli przygotowani do walki, zawsze przegrywaliśmy.

– Nie ma się co dziwić... przecież siły są nierówne – powiedział ktoś ze sztabu.

To znowu zdenerwowało Zgrzebnioka.

– Ale sto tysięcy ludzi w Warszawie łąziło po ulicy i romplowało, i wymachiwało fanami. Po co? Beleby każdy zamiast manifestować sziknoł po jednej sztuce amunicji, mielibyśmy sto tysięcy patronów. I jakby cyknął ino jeden patron na dziesięć, to bymy zabili dziesięć tysięcy Niemców. Bez to, wszystko było na gównu. Dlaczego państwo polskie nam, kurwa mać, nie pomogło?

\* \* \*

Emma wróciła! Emma wróciła!

Fińska bona zatrzymała się w alejce prowadzącej do pałacu. Odstawiła walizkę. Heinz biegał wokół niej z rozkrzyżowanymi

rękami i wołał: tatatatata!

– Co ty robisz, Heinz?

– Jestem niemiecki aeroplan i ostrzeliwuję Sosnowiec. Tatata! Tatata!

Inge złapała bonę za rękę.

– Emmo, nie możesz wyjeżdżać na tak długo! Przecież tu można oszaleć z nudów!

– Ale...

– Nie było cię dwa tygodnie i dwa dni! Ja sobie to wszystko liczyłam! O, już cię prędko stąd nie wypuszczę!

– Dobrze, Inge.

Heinz zatrzymał się, spoważniał i zapytał:

– A czy bociany żyją w parach?

– Tak.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Chłopiec odetchnął z wyraźną ulgą. Tydzień temu na skraju parku, tam gdzie kończyły się drzewa i zaczynała łąka, przy pałacowym ogrodzeniu zobaczył martwego bociana. Nie miał pojęcia, dlaczego ptak nie żył, ale od tej chwili zamartwiał się, czy bociany żyją w parach. Inge nie wiedziała, a nikogo innego nie chciał pytać. Chodziło o to, że gdyby bociany nie żyły w parach, to martwy ptak nie wróciłby do gniazda nakarmić bocianiątka. A bocianiątka nie wiedziałyby, że duży bocian nie wróci i czekałyby na jedzenie. A jeśli nie dostałyby jedzenia, umarłyby z głodu. Przecież nie umiałyby wyfrunąć z gniazda ani nikogo zawołać na pomoc. Jeśli jednak bociany żyły w parach, to drugi bocian z pewnością wrócił do gniazda i zasmucił się, że został sam, ale przynajmniej nakarmił dzieci. Na samą myśl o tym, że bocianiątka klekotałyby czerwonymi dziobami po próżnicy, a nikt nie przyleciałby ich nakarmić i w końcu umarłyby na wysokim gnieździe z głodu, Heinzowi zbierało się na straszny płacz. Przez cały tydzień starał się odganiać od siebie tę myśl. Teraz, skoro Emma potwierdziła stanowczo, że bociany żyją w parach, można było ze spokojnym sumieniem dalej biegać jako aeroplan i ostrzeliwać Sosnowiec.

– A wiesz, że Ester już u nas nie pracuje? – poinformowała Inge.

– Dlaczego? Dostała wypowiedzenie?

– Zrezygnowała sama. Papa mówił, że Ester gdzieś wyjeżdża. Chyba do Ameryki. Ale to nieprawda, bo jak wychodziła od nas ostatni raz, to ja wyrzałam za bramę...

– ...wiesz, że tego ci nie wolno robić...

– ...i na nią czekał jakiś człowiek, ale to nie był Amerykanin, bo to był Żyd. Albo Cygan.

– To był Żyd, Żyd, Żyd. Albo Cygan, Cygan, Cygan – Heinz zaczął podśpiewywać po polsku i nie biegał już jako aeroplan, tylko zaczął obchodzić Emmę dookoła. – To był Żyd, Żyd, Żyd. Albo Cygan, Cygan, Cygan.

Inge roześmiała się, natychmiast podchwyciła ton i teraz już oboje obchodzili Emmę, wymachiwali rękami, jakby wprawiali w ruch potężne koła lokomotywy i podśpiewywali głośno po polsku:

– To był Żyd, Żyd, Żyd. Albo Cygan, Cygan, Cygan. To był Żyd, Żyd, Żyd. Albo Cygan, Cygan, Cygan.

– Przestańcie. – Emma zatkała uszy. Ładnych rzeczy się nauczyli. A nie było mnie tylko dwa tygodnie.

– To był Żyd, Żyd, Żyd. Albo Cygan, Cygan, Cygan. To był Żyd, Żyd, Żyd. Albo Cygan, Cygan, Cygan. Obiecuj, że już nigdzie nie wyjedziesz!

– Nie martw się, Inge, nigdzie się nie wybieram – powiedziała Emma. – Ale teraz muszę rozpakować bagaże.

Podniosła walizkę i ruszyła w kierunku pałacu. Nie umiała sobie od dwóch tygodni odpowiedzieć na pytanie, czy powinna zdecydować się na związek z człowiekiem, którego nie znała i który był niemal sparaliżowany. Czy ona to udźwignie? Czy on to udźwignie? Jego siostra twierdzi, że jest coraz lepiej, ale siostrze na pewno odpowiadałoby, gdyby bratem zajął się ktoś inny. Nawet jeśli siostra pomagałaby nadal, to ma w tym własny interes. Czy taki związek opierałby się na miłości, czy na litości? Czy to byłaby zamiana z opiekunki do dzieci na opiekunkę dla dorosłego mężczyzny? A jeśli on rzeczywiście wyzdrowieje? A jeśli nie? Czy powinna podjąć decyzję, nie zważając na to, że może wyzdrowieć,

może nie wyzdrowieć, może umrzeć, a może wyzdrowieć tylko do pewnego stopnia? Czy to, że go odwiedziła w Berlinie i już w ten sposób dała mu nadzieję, do czegoś ją zobowiązuje? Czy podkochując się w oficerze na granicy, a potem w nieobecny oficerze na froncie, podkochiwała się w tym samym człowieku, który miał teraz niewładną prawą rękę, niemal zupełnie niewładne nogi i mówił z trudem? Jeśli nawet ów człowiek był uroczy, to w tej chwili nie potrafił okazać swych zalet. Trudno by tego nawet oczekiwać. Ale czy ona ma z nim być z poczucia litości? Czy ma taki obowiązek, skoro pisali do siebie przez tyle lat, skoro go podtrzymywała na duchu, zanim został tak poważnie ranny? Czy ma go prawo teraz zostawić? A jeśli go zostawi, a on rzeczywiście wyzdrowieje, jak twierdzi jego siostra („panno Emmo, ale z dnia na dzień jest coraz lepiej”), czy ona nie będzie tego przez całe życie żałować? A jeśli go zostawi i on się ze zgryzoty jeszcze bardziej pogrzeży w chorobę? Albo umrze? Albo się zabije? W którymś momencie powiedział, że lepiej by było, gdyby wówczas zginął, bo takie życie, kiedy nie wiadomo, czy będzie się kaleką, czy nie, dla kogoś takiego jak on to katorga. Gdyby miał broń albo gdyby mógł po nią sięgnąć w tych najgorszych chwilach, po prostu palnąłby sobie w łeb. Ale nawet tego nie mógł zrobić, bo był niemal całkowicie bezwładny.

W czasie walk odłamek trafił go w głowę i ulokował się w okolicy ucha środkowego. Konieczna była trepanacja czaszki. Ubytek uzupełniono „blaszką”, jak powiedział. Najgorsze, że głowa wyzdrowiała najprędzej. Wśród szumów, które ciągle słyszał, pograżał się w czarnych myślach. Kiedy to mówił, jego twarz wykrzywiał grymas, który nie do końca dał się kontrolować, a jej chciało się płakać. Siostra Berndta również nie kryła łez.

O tak, dosłużył się odznaczeń, orderów, krzyży żelaznych i innych. Nie chciał o tym mówić. Musiałby wrócić myślami do tych wszystkich, zawahał się, demonów. Żeby to miało sens, musiałby opowiedzieć, jak się czuje człowiek, kiedy przypadkowo na polu bitwy wdeptuje podkutym obcasem w oko trupa albo widzi ludzki mózg rozgnieciony w błocie, a przecież mózg to nie jest coś, co się powinno oglądać, a już na pewno nie w błocie, w ostateczności może na jakiejś sali operacyjnej, więc jak ma mówić o wojnie, nie

mówiąc jednocześnie o tym, o czym chciałby zapomnieć? Mieli obowiązek bronić idei rzymskiego imperium. Wmawiano im, że naród germański jest odporniejszy niż inne narody, dlatego tę wojnę wygrają. Kazano im wierzyć, że jeśli żołnierz pada, ale wciąż dzierży w garści cesarski sztandar, to nie wypuszcza go z rąk. Tymczasem prawda jest taka, że wypuszcza, że go nic ten kawałek szmaty nie obchodzi, tylko go obchodzi własna urwana noga i ani mu w głowie krzyżeć „niech żyje cesarz!”. Nie myśli się wówczas o obowiązkach wobec spuścizny Fryderyka Wielkiego Żelaznego Kanclerza Jaśnie Oświeconego Cesarza, którego portret – czy to w czarnym cylindrze, czy to w hełmie z orłem – ma się zupełnie za nic. Siostra miała wciąż dyplom, który przysyłano obywatelom w podziękowaniu za złoto ofiarowane na potrzeby cesarsko-pruskiego wysiłku wojennego, ale niestety Rzesza się z hukiem zawaliła, dyplom został zdjęty ze ściany, bo Berndt nie życzył sobie na niego patrzeć. Dość tych głupot, dość bagnetów, dość szarych długich płaszczy, dość ceglanych bloków koszar, i mówił, że wszyscy prości żołnierze i oficerowie w którymś momencie już tak myśleli, czy byli na froncie wschodnim, czy zachodnim, czy dardanejskim, dyrdymalskim, czy diabelskim, czy pod Gallipoli, czy pod Brześciem, czy pod Verdun, świetlana przyszłość cesarsko-pruska zdechła w okopach.

Niechby nastali bolszewicy.

O takich jak on pisze się w prasie, że są wojennymi histerykami, dodał.

Dlaczego miałyby się dla niego poświęcać? Ale jeśli by z nim została i on pod jej opieką wyzdrowiałby szybciej, to czy nie byłiby szczęśliwi?

Gdyby teraz rzuciła pracę i wyjechała do Berlina, byłaby szalona. Musiałaby wszystko, dosłownie wszystko, zaczynać od nowa. Jaki byłby tego rezultat?

Więc raczej zaprzepaścić tyle lat czekania? Wszystkie te listy i podtrzymywanie się na duchu po prostu na nic? Co zrobić? Widziała niemą prośbę w jego wzroku i we wzroku jego siostry, jednak żadne z nich tej prośby nie ośmieliło się wypowiedzieć. Wręcz przeciwnie. Nie chcieli jej błagać o nic, o żadną pomoc, o żadną litość.

Kiedy Emma wstępowała do pałacu, młody Polak, nowy lokaj w brązowej liberii, wziął od niej walizkę i grzecznie przepuścił ją w drzwiach.

– Pomogę pani.

Emma weszła, chłopak za nią, a na podwórku Inge i Heinz krążyli jak zahipnotyzowani, poruszali rękami niewidzialne koła lokomotywy i podśpiewywali po polsku:

– To był Żyd, Żyd, Żyd. Albo Cygan, Cygan, Cygan. To był Żyd, Żyd, Żyd. Albo Cygan, Cygan, Cygan.



# **CZEŚĆ CZWARTA**

30 września 1919

## Rozdział 10

# Będzie dramat

Ile to jest roboty taka suknia ślubna, i tyle w tym jest sznurowania, że samo rozbieranie się do bielizny, a potem ubieranie, wiązanie wszystkich tasiemek gorsetu zajmuje dobre pół godziny. Krawcowa, w której wielkim kołnierzu jeżyły się szpalery szpilek, uwijała się wokół Poli z centymetrem. Co rusz zdejmowała go z szyi, jak indyjski fakir, który ściąga z siebie węza, i tak jakby centymetr rzeczywiście był jadowitym gadem, brała go delikatnie w dłonie za końce, po czym przykładła to tu, to tam, mruzczała jak czarownica albo wywoływała na głos różne liczby, które dwie blade, piegowate panny-pomocnice skrupulatnie zapisywały w kajetach, podczas gdy krawcowa nie ustawała w tańcu wokół Poli. Mierzyła wszystko, co się da wymierzyć: obwód ręki, paniusiu, obwód szyi, biodra, no, hoho, proszę, proszę, no, hoho!, długość nóg, długość tułowia, wszystko po kolei.

Pola, obracając się, rejestrowała wzrokiem zwielokrotnione przez liczne lustra cudze półgotowe, długie suknie rozwleczone po krzesłach, ścinki materiałów, barwne nici, kolorowe szpilki, porozrzucane po ciemnym dywanie różowe wstążki – monstrualne dżdżownice.

– Na pewno pani bardzo szczęśliwa! Na pewno się pani bardzo cieszy!

Ta krawcowa, co za baba, istna handlara, i w dodatku taka pewna siebie, jakby szyła w Berlinie, a nie w Sosnowcu. I co to za sposób zwracania się do damy! Cóż ona sobie wyobraża? Nie wystarczy umieć wywijać nożyczkami i fastrygować, żeby być mistrzynią krawiecką. Mogłam suknię w Warszawie uszyć.

– O, tutaj kochaniutkiej przybędzie... no, tu biuścik się poszerzy... a tu by może trzeba troszkę rozpruć przy staniczku... Niech pani tu odległość od piersi do pachy i od piersi do mostka palcami sama zaznaczy i niech pani poczeka, zaraz podejść z centymetrem... Bo musi się pani czuć najważniejsza i najpiękniejsza...

Nie odpowiedziała.

Nie od takich jak ty słyszę codziennie, że jestem najważniejsza i najpiękniejsza, łachudro. Sztuczność, wszystko to sztuczność nad sztucznościami. Tak jakbym ja się nie znała na aktorstwie. Jeszcze żeby tu nie było siostry Eugeniusza, jak ja jej nie znoszę, jaka z niej okropna, brzydka i w ogóle paskudna dziewczyna! Nie potrafi ukryć zazdrości. Chciałaby co chwilę krytykować, ale tyle dobrego, że krawcowa wyczuła to od razu i próbuje jej nie dopuszczać do głosu, bo się boi o interes. Ale nie wybaczę Ludmile tego, co powiedziała wczoraj wieczorem, patrząc mi prosto w oczy, że kobieta powinna do ślubu zachować cześć. Dobrze, że nic nie odpowiedziałam. Albo to, że ona zamierza trzymać welon w komodzie do końca życia. No to go sobie owiń w gazetę i trzymaj, możesz go później w trumnie kazać sobie na głowę włożyć.

\* \* \*

Nie można powiedzieć, żeby Eugeniusz był w świetnym nastroju. Zupełnie inaczej czuje się komendant, naczelnik, podporucznik, kiedy jest odziany w porządne palto, kiedy szpice jego butów lśnią czystością, kiedy jest zbrojny w galowy mundur albo gumowy płaszcz bitewny czy choćby w długi szynel, a zupełnie inaczej, kiedy komendant, naczelnik, podporucznik stoi na wystrzyżonym dywanie u krawca, kręci się bez portek, bez butów, bez pasa, i wdycha zapach taniej wody kolońskiej. Chętnie przestałby się już tak szamotać i naciągnąłby spodnie.

– Proszę się odwrócić...

Krawiec Guzik miał dziwne sposoby pobierania miary. Obkładał Eugeniusza paskami wyciętymi z pergaminu, coś na nich notował ołówkiem i wrzucał paski do kartonowego pudła.

– Po co to?

– Po to, żeby panu nie zawracać głowy zbyt dużą ilością przymiarek, bo pan komendant na to czasu nie ma. Ja sobie wszystko na paskach zaznaczę, a potem na stosownym manekinie poprzyklejam. Niech się pan o nic nie martwi. Ubranie będzie leżało jak ulał. Ja bym panu jednak frak polecił, dlaczego się pan upiera i nie chce fraka?

– I co do tego fraka miałbym włożyć?

– No jak to co? Biała koszula, biała mucha, frak, przecież to by było prima sort!

– I cylinder? Nie. Panie Guzik, ja nie chcę wyglądać jak śpiewak z wodewilu.

– Ale pan głupstwa wygaduje. – Guzik pokręcił głową. – Dobrze. Mnie tam wszystko jedno. Nie chce pan fraka, będzie eleganckie ubranie.

Co to się porobiło. Miał się przecież Eugeniusz nie żenić. Wszystko sobie w pociągu z Warszawy do Sosnowca wyklarował jak należy. I zajmował się tym, co jest naprawdę ważne. Kazali mu dopilnować, żeby „Powstaniec” dla uchodźców z Górnego Śląska wychodził trzy razy w tygodniu. Dopilnował. Z Tycem, redaktorem naczelnym, regularnie konferował. Fakt, daleko do Tyca nie miał, bo i tak wszystko się na ulicy Kołłątaja mieściło. Jednak pomiędzy wypełnianiem obowiązków Eugeniusz zdążył wysłać do Berlina list z oświadczeniami. A jak się żołnierz pisemnie oświadczy, to się wycofać nie może. Sąd Honorowy często rozpatrywał skargi poszkodowanych kobiet, którym oficerowie obiecywali małżeństwo, a potem nie kwapili się do ołtarza, mimo że narzeczone dawały im za małżeńskie obietnice namacalne dowody miłości, o co zresztą kawalerowie zabiegali przede wszystkim. Pewien kolega Eugeniusza otrzymał surową naganę za „nadużycie osoby płci żeńskiej” oraz za niewywiązanie się „w stosownym czasie” z matrymonialnych zobowiązań. Rozsierzona panna, kiedy usłyszała, że oficer dostał tylko naganę, pofatygowała się do siedziby Sądu Honorowego i oznajmiła, że to bardzo szlachetne, że panowie bronią jej czci, ale tu już nie ma czego bronić, więc wolałaby, żeby jej narzeczony porucznik zamiast nagany otrzymał od kolegów parę obrączek i nakaz dotrzymania słowa. To by go raz, a dobrze oduczyło składania czczych obietnic.

Parę dni później w byłych koszarach carskich przy Nowej Eugeniusz zajmował się przygotowaniem kwater dla powstańców. Niezwykle ważne to były sprawy, niecierpiące zwłoki. Podszedł adiutant. „Melduję posłusznie, że mam telegram do pana porucznika”. „Dawaj”. Otworzył zaniepokojony. Telegramy nigdy nie oznaczały nic dobrego. Przebiegł wzrokiem treść. „TAK. TAK. TAK. POLA”.

Jezus Maria!

Akurat tego dnia, jak na złość, znów przyjechał Korfanty. Cały sztab potajemnie się naradzał. „Co dalej z Szóstym Pułkiem Strzelców Polskich?”. „Nie można dopuścić, żeby pułk przestał w mieście stacjonować, bo się nam wszystko wymknie spod kontroli”. „Oczywiście”. „I koniecznie trzeba izolować powstańców od wpływów komunistycznych”. „To zrozumiałe”. „Mam też pytanie bardzo delikatnej natury. Czy komendantowi Milicji Górnośląskiej można ufać?”. „Który to?”. „Zymierski”. Wahanie. „Chyba można”. „Musicie mieć oko na Bieruta. To komunista i podejrzany typ. Co on tu w ogóle robi?”. „Kieruje czymś, co się oficjalnie nazywa Główną Komisją Organizacyjną Robotniczego Stowarzyszenia Spożywców Zagłębia Dąbrowskiego. Uważamy na niego. Faktycznie, zbyt często się przeprowadza jak na człowieka o czystym sumieniu. Najpierw mieszkał przy Tylnej, teraz przeniósł się na Starososnowiecką”. „Sam tu jest?”. „Nie. Z żoną i córką”. „No to może nie taki groźny?”. „Groźny to jest ten agitator, który podburza robotników na wiecach. Emanuel Appel”. „Dlaczego groźny?”. „Dobry orator. Mówi głupio, ale płomiennie. Żaden wiec się nie odbywa bez jego udziału”. „No i co? Nie da się z nim nic zrobić? Wsadzić go? Wywieźć gdzieś?”. „Zbyt duże ryzyko. Gdyby zniknął, będzie awantura. Jest naprawdę popularny”. „No to niechże do cholery ktoś mu chociaż zęby wybije, żeby nie mógł gardłować na wiecach!”. „Tyle chyba można zrobić”. „Ja myślę! Pan, komendancie, odpowiada za spokój w mieście”. „Tak jest. Mam tego pełną świadomość”.

Ale ciężko się skupić na agitatorze Appelu, skoro w kieszeni ma się ten telegram. TAK. TAK. TAK. POLA.

W połowie września oddział niemiecki przekroczył rzekę i zaatakował Milowice, a Pola z matką zjechały do Sosnowca, no bo

skoro TAK...

Eugeniusz czekał na peronie, a wraz z nim dwóch chłopców z pobliskiego hotelu. Bagażowi z dworca patrzyli na konkurencję krzywo, bo zarobek się z rąk wymykał. Najchętniej kopnęliby jednego i drugiego lokajczyka, przegoniliby z peronu, ale znali Dąbskiego, więc bali się pisać słowo.

Panie wysiadły, chłopcy z hotelu przez chwilę naradzali się, czy będzie potrzebny wózek, czy też dadzą radę zataszczyć bagaże na plecach. Dadzą radę, zresztą nikt im wózka nie pożyczy. Stękali, ale donieśli walizy. Dąbski dyskretnie wcisnął im jakieś drobniaki, a oni zamietli czapkami z uszanowaniem szanownym paniom, szanownemu panu, szanownym walizom, i zniknęli.

– Poprosimy o apartament z widokiem na rynek – powiedziała Pola, zdejmując rękawiczki. – Będziemy tu mieszkały dość długo, zależy nam na przyjemnych wrażeniach.

Recepcjonista spojrział na komendanta, stojącego obok pań, ale Dąbski nie zareagował.

– Bardzo panie przepraszam – powiedział zakłopotany – ale u nas nie ma rynku.

– Nie ma rynku? – Pola uniosła brwi. – A tak, tak, oczywiście.

– Pan komendant raczył zarezerwować dla pań bardzo ładny apartament. Ale widok jest na plac... no, taki zwykły plac... Może pokażę...

– Nie trzeba – powiedziała krótko Pola. – Mamy pełne zaufanie do gustu pana hrabiego.

I oto teraz ona w samej bieliźnie u krawcowej, a on bez portek u krawca na dywanie.

\* \* \*

Teatrów, podobnie jak kawiarni, było w Sosnowcu pod dostatkiem i to od dawna, ale po wojnie ich trochę ubyło. Jeśli chodzi o Teatr Letni, czyli olbrzymią drewnianą szopę przylegającą do murowanego Teatru Zimowego, to, wstydliva sprawa, proszę państwa, szanowna publiko, powiedzmy sobie szczerze i bez ogródek: Teatr Letni uległ całkowitej dewastacji podczas wojny. Czyżby bomba upadła na budynek? Nie. Czyżby strawił go pożar? Czy należy sobie wyobrazić duszące kłęby dymu, śliskie jezory

ognia, a na ich tle bohaterskie plutony wąsatych strażaków wspomagane przez miejscową ludność z heroicznym poświęceniem walczącą o zasłużony przybytek kultury i sztuki? Czy należy sobie wyobrazić płonąca kurtyne i krzesła, podłogę z desek, schody i całą widownię w ogniu? Płonąca rekwizytornię? Ba, lepiej jeszcze, płonący fortepian (ach, marzenie piromana!)? I lepiej jeszcze! Możemy sobie też wyobrazić bez trudu, jak wszystko to, co ocalało po pożarze, pływa w wodzie, którą walczący o teatr strażacy wraz z rozpaczącą ludnością wylewali całymi hektolitrami i teraz na przykład spalony fortepian wypełniony jest w dodatku wodą z sikawek i woda ta spływa na poczerniałe deski, ach, ach, jakaż dramatyczna wizja końca Teatru Letniego... Otóż nic z tego. Drewniany teatr został rozebrany przez tych, którzy mieli do niego chodzić i oglądać patriotyczne sztuki, czyli innymi słowy, został rozebrany przez ludność miasta, która widząc aż tyle drewna, a cierpiąc na brak opału, deska po desce budynek rozebrała, pełnowartościowy opał rozgrabiła i spaliła w piecach. Tak oto sztuka trafiła pod strzechy i z dymem spod tych strzech uleciała w niebo.

Aniela Zarębska, aktorka zdolna, piękna i dramatyczna, a jednocześnie Dyrektorka, miała wprowadzić jeszcze Teatr Zimowy, który również można by opalać resztkami ścian Teatru Letniego (dlaczego niby tylko złodzieje mieli korzystać z przybytku sztuki?), ale niestety Teatr Zimowy zajęli podczas wojny Niemcy, którzy sobie w nim urządzili kino i nazwali je „Wiktoria” (nic z tej wiktorii im nie wyszło). Zarębska przeniosła przedstawienia do kina Żyda Bindera. W ten sposób wystrychnęła Niemców na dudków, bo wojna wojną, ale oni też chcieli zarobić, więc szybko wydali Zarębskiej pozwolenie na granie w „Wiktorii”. Cała ta historia pokazuje po pierwsze, że między sztuką a życiem istnieje przepaść, po drugie, że aktorzy są bardzo obrotni i gdzie w jednym miejscu coś tracą na rzecz kinematografu i wojny, to w innym miejscu wygrają, po trzecie, że Żyd zawsze wie, jak zarobić, po czwarte, że z Niemcami też się da dogadać, a po piąte, że lepsze są teatry murowane niż drewniane (czego się można było dużo wcześniej domyślić, śledząc losy teatru Szekspira, tyle że w Anglii drewniane

teatry budowano w wieku szesnastym, a nie w dwudziestym). No to macie wszyscy za swoje.

Teraz jest jesień roku 1919 i czasy się zmieniły. Teatr będący własnością Towarzystwa Górniczo-Hutniczego „Hrabia Renard” znów podjął działalność i dyrektorem został Henryk Karol Czarnecki – człowiek zasłużony, ale pechowy. To on kierował Teatrem Letnim przed wojną, chociaż nie z jego winy teatr rozebrano, tylko z winy Niemców, bo nie dbali o opał dla mieszkańców. Wadą Czarneckiego było to, że lubił bankrutować, a zaletą to, że po każdym bankructwie potrafił się podźwignąć. Tak czy inaczej, Towarzystwo Górniczo-Hutnicze powinno się dwa razy zastanowić. Tyle że nie da się przewidzieć przyszłości z przeszłości i fakt, że Czarnecki kiedyś bankrutował, nie oznaczał, że zbankrutuje ponownie (tak rozumowano), chociaż to rozumowanie było z gruntu błędne, albowiem po siedmiu latach tłustych Czarnecki zbankrutował tak solidnie, że musiał się przed wierzycielami salwować paniczną ucieczką. Tego jednak nikt nie wiedział w roku 1919, kiedy mu powierzono dyrekcję Teatru Zimowego, podobnie jak nikt nie mógł wiedzieć, że jego wnuk będzie zasiadał tu i tam w parlamencie z ramienia partii to takiej, to siakiej, bo o przyszłości ciężko coś powiedzieć, szczególnie w Polsce, a jeszcze szczególnie w Sosnowcu.

Mamy zatem jesień roku 1919 i do „Teatru Polskiego Henryka Czarneckiego” przyjechał z Krakowa Winicjusz Krzyk z zamiarem wystawienia sztuki Tadeusza Meyerholda. Z Meyerholdem spotkał się w Zakopanem, w jeden wieczór dramat pochłonął i zapalił się do pomysłu wystawienia w Sosnowcu spektaklu o Sosnowcu.

– Mam dwa zespoły: dramatyczny i operetkowy, razem z baletem warszawskim osiemdziesiąt osób – powiedział Czarnecki, człowiek tęgi, niski i uperfumowany szcudrze.

Reżyser Krzyk mruknął z uznaniem.

– Skąd pan tyłu wziął?

– Przywiozłem ich ze sobą.

– Pozwolili panu? Miasto jest takie bogate?

– Miasto nic nie dało. – Dyrektor położył dłonie na kolanach. – Mogę panu powiedzieć w zaufaniu, że dlatego zostałem



dyrektorem. Oznajmiłem, że na działanie teatru nie potrzebuję żadnej subwencji od miasta, rozumie pan?

– Dostyc ryzykowne.

– Ależ skąd. Moim zdaniem dla teatrów nadchodzą znakomite czasy. Zarobimy na zespole operetkowym. Będziemy wystawiać jedną operetkę za drugą, bo ludność wszędzie na to wali drzwiami i oknami. Frekwencja gwarantowana. A z zysków będą pieniądze na przedsięwzięcia takie jak pańskie, czyli na zespół dramatyczny.

Szalenie, pomyślał Krzyk.

– A co do sztuki Meyerholda... jak pan widzi to przedsięwzięcie? Ile czasu potrzebuje pan na przygotowania?

– Dwa miesiące.

– Dwa miesiące? Tak mało?

– Wystarczy. Dwa miesiące w teatrze to wieczność, sam pan przecież wie... Pewnie niektórym nie będzie się podobał kierunek, w jakim chcę pójść. Wie pan, scena będzie niemal pusta. – Winicjusz teraz dopiero był w swoim żywiole. Wstał z fotela i zamachał rękami. Długie włosy opadały mu na czoło. Kiedy mówił o sztuce, wzrok miał ekstatyczny i uduchowiony, a jego oczy sypały iskry.

Dyrektor zauważył raczej, że reżyser miał krzywo zapięty surdut.

– Nie lubię nadmiaru dekoracji. W teatrze ma mówić gest. W teatrze ma mówić znak. U Szekspira prawie nie było dekoracji, sam pan wie. Tylko gesty. Dlatego chcę mieć niemal pustą scenę...

– Aha. – Dyrektor pokiwał głową.

Pryśły nadzieje na bogate widowisko. Lecz Krzyk był tak uznawanym reżyserem w krakowskim świątku, że nie można było odrzucać współpracy z nim, tym bardziej że brak dekoracji oznaczał mniejsze koszty, a gdyby sztuka okazała się deficytowa, to i tak coś się wyciśnie z Meyerholda. Nie dość, że zamożny, to jest kierownikiem Towarzystwa Przyjaciół Teatru, więc go mecenasowanie do czegoś zobowiązuje. A co Krzyk, to Krzyk. Na początek dyrektorowania Krzyk dobrze, wręcz bardzo dobrze brzmi.

Reżyser zaczął przemierzać gabinet Czarneckiego.

– To jest kapitalne. Kapitalne. Sztuka o Sosnowcu. O tych miejscach. Dla ludzi stąd! – Zatrzymał się i spojrział na dyrektora. – Te miejsca naprawdę istnieją?

– Istnieją – powiedział Czarnecki niepewnie, bo sztuki nie czytał.

– A gdzie?

– No, tam. – Dyrektor pomachał ręką. – W tamtą stronę.

– Wspaniale! – Krzyk miotał się po gabinecie. – W tej scenie z przemytnikami, ta, rozumie pan, energia... to jest przecież dokładnie tak, jak w scenie z grabarzami w *Hamlecie*... to ma takie samo znaczenie, prawda?... Świat plebsu komentuje to, co się dzieje w świecie dworu. Przemytnicy nie rozumieją niczego, ale biorą udział w zdarzeniach... I ten rekwizyt...

– Tak, tak, no właśnie...

– Jak czaszka Yoricka... Śmiech, rozpacz, błazenada, puder i pył, sens i bezsens, znikomość istnienia... Meyerhold jest naprawdę zdolny. Utrafił w sedno. Uchwycił prawdę. Kapitalne. Niezwykle teatralne. Ja już to widzę, wiem, jak to chcę zrobić. Albo ta scena w oficynie! W moim odczytaniu mamy do czynienia z chorym erotyzmem, w każdym razie jest tam sugestia, że w oficynie coś się działo. Rozumie pan... nienasycenie, pożądanie, lubieżne opary... Pan też tak to odczytuje?

– Mhm. – Dyrektor teatru ocknął się z zadumy.

– Ona, Żydówka, młoda, on, stary, i jeszcze ta żona, jakie okropne małżeństwo, widzę tę scenę, te życiowe niziny... tylko nie wiem... zobaczymy, czy się aktorka da nieco rozneglizować...

No to pięknie, pomyślał Czarnecki. Perwersyjny erotyzm na scenie i neglizowanie aktorek. Sukces murowany. Może by to przeszło w Berlinie, ale nie w Sosnowcu.

– Myśli pan, że dla tutejszej publiczności to nie nazbyt?... – zapytał dyrektor. Robił wrażenie oszołomionego.

– Proszę się nie martwić! Wspaniale się uda! Ja się temu poświęcę i z aktorów wszystko wyduszę! Kiedy pracuję, nie odróżniam dnia od nocy, mogę nie spać, mogę nie jeść, aktorów mogę wykończyć, jeśli zachodzi taka potrzeba. Oddaję światu może godzinę z całej doby, to jedyny luksus, na jaki mnie stać.

Dyrektor popadł w odrętwienie. Przytłaczał go potok słów i kaskady fraz kłębiących się i wspinających jedna drugiej na grzbiet.

– Poza tym, panie dyrektorze, skoro Meyerhold chce i może w lwiej części zapewnić budżet na wystawienie sztuki, to który dyrektor teatru na prowincji, nie oszukujmy się, odmówi? Przecież obaj znamy rzeczywistość.

– Wyjdźmy na chwilę na dwór – wyjęczał Czarnecki. – Muszę się przewietrzyć.

W korytarzu minęły dwie młode kobiety, które coś szczebiotały między sobą. Na widok Winicjusza uśmiechnęły się.

– Dzisiaj o szóstej zaczynamy – powiedział reżyser.

Mężczyźni wyszli przed teatr.

– No, no, te pańskie aktorki... Będą odkryciem mojego spektaklu. Naprawdę. Trochę je tylko trzeba ośmielić.

– Którą?

– Obie.

– A jeśli nie zechcą się ośmielić?

– Zechcą. – Winicjusz skromnie spuścił wzrok.

\* \* \*

Reżyser zamówił przy kontuarze czarną kawę i podszedł do kawiarnianego stolika, przy którym czekał na niego naburmuszony Meyerhold.

– Strasznie długo to trwało.

Krzyk machnął ręką i na stojąco wydeklamował:

*O daj mi usta, oczy, brwi zmarszczenie!*

*Niechaj mnie wchłoną znów!*

*Jedno spojrzenie otuli mnie na zawsze,*

*Nie da wyjść z za kręgu światła...*

– Zgłupiałeś?

– Nie, dlaczego?

– Do mnie tak mówisz?

– Też coś. Twoje brwi zmarszczenie obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. To Eurydyka mówi do Orfeusza.

Przetłumaczyłem wiersz Browninga. Trzeba tłumaczyć poezję angielską na polski. Szczególnie jeśli się człowiek znalazł w Sosnowcu. Tutaj nikt nigdy nie będzie się posługiwał językiem angielskim.

– Nie obchodzi mnie przyszłość języka angielskiego w Sosnowcu. Powiedz, co załatwiłeś w teatrze.

– Będzie dobrze. – Winicjusz zaczął zaciekle walczyć z fantazyjnie wywiniętą kokardą pod szyją. Po chwili okazało się, że to nie kokarda, tylko przemyślnie związany krawat. Po dłuższej chwili reżyserowi udało się wszystko rozsypać.

– Po co związałeś krawat w kokardę? – Meyerhold patrzył na Krzyka ze zdumieniem.

– Jak to po co? Musiałem wyglądać na roznamiętnionego artystę. Nie mam prawdziwej kokardy, więc zrobiłem ją z krawata, tyle że mi się wszystko poplątało. O mały włos, a byłbym się zadzierzgnął na śmierć.

– A wiesz, że zastanawiałem się, co właściwie masz pod szyją.

– No, to już nie musisz się zastanawiać.

Wcisnął krawat do kieszeni i rozpiął dwa górne guziki koszuli.

– Zamierzasz się rozebrać w miejscu publicznym?

– Nie, tylko niemal udusił mnie ten wymóg elegancji i muszę dać ciału odetchnąć.

Winicjusz usiadł. Na blacie stolika leżała zarysowana kartka. Widocznie Meyerhold zabawiał się szkicowaniem, czekając na reżysera. Krzyk uniósł kartkę i przez chwilę przyglądał jej się uważnie.

– Co to właściwie jest?

– Nasz grobowiec.

– *Nasz* grobowiec? – Winicjusz nie krył zaskoczenia. – Czekając na mnie, projektowałeś nam grobowiec?

– Niczego nie projektowałem. On już stoi na cmentarzu od kilkunastu lat. I mówiąc *nasz*, mam na myśli, *mój*, rodzinny, a nie *twój i mój*, wspólny. – Skrzywił się. – Też masz dzisiaj pomysły. Jak nie usta, brwi zmarszczenie, to *nasz* grobowiec. Po co ja miałbym koło ciebie leżeć? Ty nie jesteś stąd. Rysowałem grobowiec w ramach ćwiczenia pamięci. Staram się odtworzyć z głowy wszystkie szczegóły.

Krzyk przyjrzał się uważniej szkicowi.

– Co taki kanciasty?

Meyerhold wzruszył ramionami.

– Sam jesteś kanciasty... Taka była wtedy moda.

Winicjusz nadal oglądał rysunek.

– Hm... czasy się rzeczywiście zmieniły. Teraz są zupełnie inne gusta... Ale wiesz, to ciekawe, że grobowcami rządzi moda...

Meyerhold zabrał mu kartkę ze szkicem, zmiął ją i wrzucił do pustej filiżanki.

– Przejdźmy może do rzeczy...

– Tak, tak... oczywiście.

– Więc? Ten nowy dyrektor... Nie będzie utrudniał?

Krzyk wzruszył ramionami.

– Wyczuł interes, nie może nic stracić. Chodzi mu wyłącznie o frekwencję.

– Kiedyś był niezłym aktorem...

Krzyk skrzywił się.

– Jako aktora... – myślał przez chwilę – ...widziałem go chyba w dwóch sztukach w Krakowie. Dawno temu. I w jednej, i w drugiej grał podstarzałego męża.

– Nie chcesz go obsadzić?

– Dajże spokój. Z zasady nie obsadzam dyrektorów. To nie ma sensu. Pomyśl sam, ile on tu posiedzi?

– Ile?

– Ja damę mu najwyżej trzy sezony. Puści teatr z torbami i zniknie... Wspomnisz moje słowa. Ucieknie, gnębiony przez wierzycieli, ścigany bezlitośnie, dławiony przez długi, miażdżony przez weksle... A teraz, Tadeuszu, parę szczegółów na początek. Kto poza tobą jest tu miłośnikiem teatru?

– To znaczy?

– Powiem wprost. Do kogo możemy się jeszcze zwrócić o pieniądze?

Meyerhold zastanawiał się przez chwilę.

– Może do Jabłońskiego?

– A kim jest imć Jabłoński?

– Krawcem. Ale nie śmieje się. Funduje piękne stroje na przedstawienia.

– O, to ważne.

– Jest też Janicki, właściciel piwiarni i sklepu spożywczego.

– Hojny?

– Bardzo.

– To już mamy dwóch nieocenionych i zacnych przyjaciół. Nie chcę, żeby nas krępował ciasny budżet, rozumiesz.

– Rozumiem. Ale nie rozpędzajmy się z wydatkami.

Kelnerka przyniosła kawę i postawiła filiżankę przed reżyserem. Mrugnął do niej, a ona splonęła się, szybko odeszła za kontuar i stamtąd strzelała oczami.

Krzyk nie patrzył już jednak na nią. Pił nerwowo, małymi łykami, a po chwili zwrócił się do Meyerholda.

– Mój przyjaciel, Jakub Singer, dramatopisarz, na pewno o nim słyszałeś...

– Nie słyszałem...

– ...otóż, mój przyjaciel mógłby na jakiś czas, powiedzmy na dwa miesiące przyjechać z Krakowa do Sosnowca i mi pomóc. Nie chodzi o wygórowane honorarium, ale człowiek musi z czegoś żyć, gdzieś musi mieszkać...

– Wynająłem ci duże mieszkanie tuż koło teatru. Skoro jesteście przyjaciółmi i będziecie razem pracować, to czy nie moglibyście razem mieszkać? A przy okazji, sprzątaczką mi się skarżyła, że zrywasz z okien firany.

– Zrywam, a ona je ciągle wiesza. Nie znoszę grubych firan, potrzebuję dużo światła. Po diabła ona ciągle wiesza te szmaty z powrotem? Chce, żebym się udusił?... Wracając do Jakuba, niestety niemożliwe, żeby ze mną mieszkał.

– A co mu dolega?

– Nic mu nie dolega. Tylko ma psy.

Przez chwilę panowała cisza.

– Nie rozumiem...

– No, ma psy. Dwa. Bardzo ładne.

– Dwa. Bardzo ładne.

– Właśnie. Spaniele. Jeden ma na imię Ludwig.

– A drugi?

– Drugiego Jakub nazywa Kosiarzem.

– Boże mój. Kosiarza chyba wolałbym nie spotkać na swojej drodze. Ale właściwie po co, Winicjuszu, jest ci Jakub na dwa miesiące? Mówiłeś, że moja sztuka jest świetna.

– No świetna, świetna, wiem, że tak mówiłem i zdania nie zmieniam, ale to i owo trzeba będzie poprawić, zaufaj, proszę, mojemu teatralnemu instynktowi.

Meyerhold spojrział mu niespokojnie w oczy.

– Dużo trzeba poprawić?

Winicjusz zwichrzył długie włosy.

– Trochę...

– Co znaczy trochę? Czy mógłbyś być bardziej konkretny? Ja sam tego nie mógłbym zrobić?

– Nie. Ty nie. Jako autor jesteś za bardzo przywiązany do swojego tekstu. Będziesz się upierał... Trzeba niektóre wątki radykalnie wyciąć, a inne dołożyć. Sporo zmian, mówiąc szczerze. Sztuka jest oczywiście dobra, potencjalnie, ale... No zastanów się sam, co my mamy w tej chwili? Jedna para bierze ślub, ale wiadomo, że im to nie wyjdzie na zdrowie. Druga para prawie bierze ślub, ale wziąć jakoś nie może, trzecia nie bierze ślubu, bo chłop poważnie niedomaga, a czwarta w połowie sztuki w ogóle znika. Śluby panięńsko-wdowieńskie, ni to Fredro, ni to Strindberg. Co cię tak nagle na wesela wzięło? Czytałeś w Zakopanem stanowczo za dużo Wyspiańskiego. Ja nie mówię, że tego się nie da poprawić, ale wiesz, poza ślubami są jakieś inne sprawy na świecie, tak, hm... Podaj mi swoją papierośnicę, z łaski swojej.

– Proszę.

Winicjusz drżącymi rękami wyjął dwa papierosy. Jednego schował szybko do kieszeni, drugiego od razu zapalił, i zwrócił papierośnicę. Meyerhold obracał ją na blacie stolika, milczał i zastanawiał się, czy nie pogonić reżysera do wszystkich diabłów.

– I ten twój przyjaciel robi to dobrze?

– Najlepiej.

– A nie mógłby przyjechać bez psów?

– Ty tego nie zrozumiesz. On się bez psów nie ruszy. I tyle.

– A może przy nich pracować?

– Powiedziałbym raczej, że bez nich nie może pracować.

Winicjusz palił szybko, jakby się bał, że pan Tadeusz odbierze mu papierosa.

– Myślisz, że to łatwe, wynająć mieszkanie dla samotnego mężczyzny z dwójką psów? Przecież policzą drożej niż za samotną kobietę z dwójką dzieci.

– Tadeuszu... – Winicjusz zrobił zniecierpliwioną minę.

– No, dobrze. Skoro nie ma wyjścia, niech przyjeżdża. – Poprawił się. – Niech przyjeżdżają. We trójkę... Wróćmy do spektaklu. Myślałeś już o afiszu?

Winicjusz odzyskał kontenans.

– Żaden afisz. Damy duży, barwny plakat.

– Oszalałeś? To będzie kosztowało fortunę.

– Stać cię, Tadeuszu. Nie bądź skąpcem.

– Chcesz, żebym zmusił ojca do sprzedaży kamieniołomu? I co będzie na tym plakacie?

– Goła baba – powiedział Winicjusz.

– Co?

– No, goła baba, to zawsze przyciąga publikę.

– Przecież moja sztuka nie jest o gołych babach.

– Nie szkodzi. Wykorzystamy jakiś antyczny wzór. To będzie bardzo dobre. Twoje imię i nazwisko, pod spodem goła baba i tytuł sztuki.

– Nie przekonuje mnie...

– ...Posłuchaj. Dajmy gołą babę. Jeśli jesteś taki pruderyjny, to może coś trzymać w rękach.

– Po co?

– No, trochę się zasłoni – powiedział Winicjusz.

Meyerhold nachmurzył się. Goła baba... Prawdziwy powód, dla którego wrócił z Zakopanego... Leżał koło gołej baby w drewnianym, stylizowanym na góralskie łożku, ona spodziewała się wyrażonych w czułych słowach zapowiedzi pragnień, może nawet wystękanych wyznań i obietnic, że to na dłużej, a najlepiej na stałe, że stałość tego związku powinni przedyskutować w objęciach, pośród chichotów i czułości („O, mój Tadzio, w szlafroku, zaraz cię wytaroszę za brodę”). Nic z tego. Jego interesowało – nawet kiedy przy niej był – uciekanie przed jej uczuciem, a nie dzielenie z nią czegokolwiek. Chciał, wręcz musiał



uciekać, jak najszybciej, gdzie oczy poniosą, byle w zakopiańskiej miłosnej farsie dłużej nie uczestniczyć.

– Znasz tu jakiegoś artystę, dobrego i niedrogiego? – Do pana Tadeusza jak zza mgły dotarło pytanie reżysera.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Chyba znam. Izaak Lisze.

Winicjusz uniósł brwi.

– Co ty pleciesz? Lisze od pięciu lat jest w Paryżu na akademii sztuk pięknych.

– Nie, nie, siedzi w Sosnowcu i coś tam dłubie przy polichromiach kościoła Wniebowzięcia. Tetmajer je malował, ale farba nie trzyma i Lisze ma robotę, bo po nim poprawia.

– Proszę cię, nie rób ze mnie wariata. Ja znam Liszego od dziecka. Zresztą w zeszłym tygodniu dostałem od niego list. Mówię ci, że od pięciu lat siedzi w Paryżu, więc nie może nic poprawiać... Po którym Tetmajerze?

– Włodzimierzu.

– W takim razie postaci na waszych polichromiach mają na pewno wyłupiaste oczy, bo młodopolskim syfilitykom się wydawało, że skoro oni cierpią na taką przypadłość, to wszyscy muszą, łącznie ze świętymi... A przy okazji, wiesz, że Tetmajer był pierwowzorem Gospodarza w *Weselu*?

– Tak, słyszałem...

– Oglądałem jego obrazy w Krakowie. Jako człowiek, który jeszcze przed Rydlem ożenił się z chłopką, maluje głównie żniwa, wiejskie wesela, procesje, święcone jaja, hoże dziewczki, krzepkich włościan... – Reżyser rozochocił się – ...kosy na sztorc, Raclawice... Z jego dzieł bije niezachwiana wiara w lud. Wasze polichromie też malował na tę modłę?

– Raczej skupił się na królach, świętych i na scenach patriotyczno-religijnych.

– No tak. Nieodrodny uczeń Matejki.

– Oczywiście. W dodatku w każde wolne miejsce na ścianie chytrze wcisnął białego orła.

– Umiarem to on nigdy nie grzeszył. Dużo wam tych orłów zostawił na wieczną pamiątkę?

– Grubo ponad setkę. Ku pokrzepieniu serc sosnowiczian.

– Orły musiałyby się mnożyć jak króliki w Australii, żeby ich tyle w jednym miejscu mogło być... Ale chyba sam tego wszystkiego nie zrobił?

– Miał paru pomocników.

– Zresztą do diabła z Tetmajerem i jego kohortą. Lisze w każdym razie siedzi w Paryżu.

– Może to zbieżność nazwisk. Jeśli chcesz, podejźmy do kościoła i was poznam.

– A do czego on mi jest potrzebny?

– No, do plakatu. Mówiłeś...

– Faktycznie. Ale możesz wszystko załatwić sam. Mnie wystarczy znajomość z jednym artystą o takim nazwisku. Gdybym znał dwóch, mogłoby mi się w głowie pomieszać.

# **CZEŚĆ PIĄTA**

2-7 listopada 1919

## Rozdział 11

### Trzeba było nie wstawać z murka

Dwójka obdartusów siedziała na murku. Każdy trzymał w dłoni butelkę piwa. Przyczłapali z zaułku Iwangrodzkiego, od torów. Szwarzownictwo się skończyło, to i pieniędzy na czynsz w lepszej części miasta brakło.

Przed wojną na tyłach Iwangrodzkiej mieściły się stajnie. Kozacy wyjechali, stajnie opustoszały i zaczęła się wprowadzać miejska biedota. Najobszerniejsze baraki zamieniono na przybytki rozpusty. Nadawały się idealnie, ponieważ były przestronne i pozbawione schodów. Klient poturbowany przez wykidajkę nie spadał nigdy z piętra na parter, dzięki czemu nie łamał nóg czy rąk i nie ciągał burdelmamy po sądach. To, że dziewczyny nie musiały po schodach latać, też było dobre, bo latając, mogłyby się zadyszeć, szczególnie jeśli gorset miały przyciasny. A klienci bywają podejrzliwi, że niby dziewczyna chora, skoro rzezi. I z zapłatą jest wówczas problem. Owszem, trochę w barakach załatywało końmi, ale komu by to miało przeszkadzać w naszym ułańskim narodzie?

Zaułek na tyłach eleganckich domów, aż do torów i rzeki cieszył się coraz gorszą sławą, ale i w kamienicach różnie bywało.

Dwójka obdartusów z zainteresowaniem obserwowała scenę rozgrywającą się przed jedną z bram. Pijany mężczyzna szamotał się z równie pijaną kobietą. On wołał: „Do domu!” i usiłował wciągnąć ją do klatki schodowej, ona zapierała się o framugę rękami i nogami, wrzeszcząc: „Nie mam domu!”.

I tak w koło Macieju.

On do niej:

– Do domu!

Ona:

– Nie mam domu!

– Do domu!

– Nie mam domu!

Ten niższy powiedział tylko:

– Jacyś nienormalni.

Ten wyższy pociągnął łyk piwa z butelki. Spojrzał na kolegę i mruknął:

– Nie gap się tak, tylko sobie gołnij.

Niższy gołnął sobie, aż go z lekka przydusiło i przytknęło w płucach. Zaczął szybko poruszać brwiami.

– Mocne – powiedział z uznaniem, kiedy odzyskał dech.

– Mhm – zgodził się wyższy.

– A powiedz mi, dlaczego nie chciałeś, żebyśmy przyjęli ostatnie zlecenie?

– Które?

– No, żeby temu agitatorowi Appelowi wybić zęby i go tak pogruchotać, żeby mu się odechciało?

Wyższy wzruszył ramionami.

– Bo nie.

– Ale dlaczego?

– A co ja jestem, bandyta? Nie podobało mi się to zlecenie. Słuchałem Appela, jak kiedyś przemawiał. Stałem w tłumie i miałem zamiar komuś coś z kieszeni wyciągnąć, ale się zasłuchałem i zapomniałem. – Pokręcił głową z uznaniem. – Dobrze gadał. Ja mu zębów nie będę wybijał.

– Tylko że czasy szmuglu się skończyły. Trzeba brać, co popadnie.

– Nie. W czymś takim nie będę współpracował ani z policją, ani z nikim.

– Bo masz swoje zasady, no nie?

– Właśnie. Poza tym kto ci broni wziąć się na przykład do jakiejś roboty? Będziesz wtedy miał pieniądze.

– Ja bym się, Zdzisiu, wziął. Ale już ci kiedyś tłumaczyłem, że mam taką dolegliwość, że jak pomyślę o robocie, to mnie okropnie ręce zaczynają boleć, o tu, od dłoni do łokci. Lewa i prawa. Nie wiem, co to jest, ale cholernie mnie ręce łupią na samą myśl o pracy.

- Rzeczywiście, już mi to mówiłeś. Musiałem zapomnieć.
- O, zobacz, idzie Kerszenblat. Jest już taki głuchy, że cały czas chodzi z trąbką przy uchu.
- Jak byłem mały, to kupowałem u niego kapustę.
- Niższy pociągnął piwa.
- Każdy kupował.
- Wyższy też pociągnął.
- W kapuście najlepszy jest głąb.
- W kiszzonej?
- Nie, w normalnej.
- W kiszzonej najlepszy jest kwas.
- Może tak być.
- Jak mnie matka wysyłała do Kerszenblata, to mi dawała wielki garnek i z nim leciałem.
- Po półtora kilograma?
- Nie pamiętam.
- Mnie moja wysyłała po półtora kilograma.
- Mnie kazała, żeby z kwasem.
- Pociągnął piwa i zamyślił się.
- „Powiedz Kerszenblatowi, żeby kwasu wlał, słyszysz?”. „Słyszę”. Kerszenblat drżącymi rękami kładł pusty garnek na wagę i dokładał odważniki. „Dziewięćdziesiąt deko, młodzieńcze”. Potem zdejmował garnek, człapał do beczki i nakładał kapustę, wreszcie nalewał kwas chochelką i ważył wszystko. „Dwa czterdzieści pięć, może być?”. „Może”. Wychodziło się ze sklepu, dzwonek w drzwiach brzęczał, schodziło się ze schodków. Kapusta pachniała, że aż oczy łzawiły. Trochę się skubnęło. I jeszcze trochę. I jeszcze. Albo garnek do ust się podniosło i przechyliło: kwas leciał cienką strużką, zimny, aż zęby cierpły i oczy trzeba było mrużyć. A w domu matka krzyczała, że ją Żyd oszukał. „Kapusty, jak zwykle, nie dowążył. Ktoś kiedyś na niego na policję doniesie. Pewnie ma odważniki sfałszowane. Mówiłeś mi, żeby kwasu do garnka wlał?”. „Mówiłem”. „No, to gdzie on jest?”. „Kto?”. „No, kwas”. „Nie wiem. Może się w kapustę wżarł”.
- Czego nic nie gadasz? – zapytał ten wyższy.
- Eee, zamyśliłem się... Dlaczego tylu ludzi chodzi na cmentarze?

- Bo odwiedzają groby bliskich.
- Ale dlaczego tak to lubią robić?
- Kto ci powiedział, że lubią?
- To widać.
- Może dlatego, że martwymi łatwiej się zajmować niż żywymi.
- Niższy pokiwał głową.
- Racja. Poza tym nieboszyk ci nie odpyskuje...
- Ani nie powie, że zła pora na wizytę...
- A mówiłem ci, że się chciałem zabić?
- Wyższy spojrzał na kompana z szacunkiem.
- Kiedy?
- No, kiedyś.
- I co?
- Nic. Bo pomyślałem sobie, że śmierć niczego nie zmieni w moim życiu.
- A co zmieni?
- No, jakbyśmy pojechali do Ameryki.
- Pojedziemy.
- Sam już nie wiem...
- Pojedziemy.
- A wiesz, Zdzisiu, że my w Ameryce to będziemy się nazywać białe twarze?
- Po co?
- Bo tak. Tam ludzie się dzielą na czerwone twarze i białe twarze. My właśnie będziemy te białe.
- Głupoty.
- Dlaczego?
- Że niby jak się będę chciał z tobą napić, to mam do ciebie mówić: „Biało Twarzo, czy ty sobie ze mną golniesz”?
- I w czym by ci to przeszkadzało?
- A widziałeś kiedyś swoją gębę?
- Bo co?
- Jak jesteś pijany, to masz czerwoną, a jak jesteś na kacu, to masz białą, więc niby jak miałbym cię nazywać cały czas białą twarzą, ośle?
- Ale chodzi o to, jaką mam twarz normalnie... w warunkach normalności... jak nie jestem ani na kacu, ani pijany.

– Takiego to cię jeszcze nie widziałem. Może będziesz się nazywał gęba biało-czerwona.

Niższy pokręcił głową.

– Niemożliwe. Każdy, kto przyjeżdża, jest białą twarzą, a każdy, kto jest stamtąd, jest czerwoną twarzą... Rozumiesz?

– Nie.

– Czego nie rozumiesz?

– No, bo są jeszcze murzyni.

– To co?

– Jak murzyni mogą mieć białe twarze albo czerwone twarze, skoro mają czarne?

– To chyba zależy od tego, czy czarne jest bliżej białego, czy czerwonego...

– ...Bliżej czerwonego...

– Ale może murzyni się w ogóle nie liczą...

– A Bedumini?

– E, czepiasz się...

Wstał z murka.

– Ścierpła mi lewa noga.

Podszedł pod bramę kamienicy, odstawił butelkę przy progu i już miał się wyprostować, kiedy nagle coś przykuło jego wzrok. Przyglądał się uważnie progowi.

– Chodź, coś ci pokażę!

– Co?

– No, chodź.

Podszedł.

– Widzisz?

– Ale co?

– Ten obłuzowany kafelek. Tutaj.

– No? To co?

– Pamiętasz przed wojną?

– Z tą głową?

– No. „A. Korzeniec. Sosnowice”. Widzisz? On ten kafelek kładł.

A myśmy szwarcowali jego głowę.

Wpatrywali się w próg.

– Gdyby nie wybuchła wojna, toby nam Weichmann może dał bilety do Ameryki. A tak to granice zamknęli i skończyło się.



– Albo by nas prędzej zabił. Pamiętasz, że chciał nas zabić?

– Nie wiem, czy chciał zabić. Tak myśleliśmy.

– Ciekawość, czemu ten kafelek jest obluzowany.

Niższy schylił się i zaczął gmerać palcem przy progu.

W tym samym momencie drzwi głównej bramy otworzyły się z impetem i oczom dwójki obdartusów ukazała się grupka rostrych mężczyzn w długich płaszczach.

– O kurwa, co to za jedni? – zdążył zapytać niższy.

– Policja! – zawołał jeden z mężczyzn, wymachując legitymacją.

– Jesteście aresztowani.

Pozostali już ich otoczyli, bezceremonialnie wykręcali im ręce i zapinali kajdanki.

– Precz z łapami ode mnie! – ryknął wyższy.

– Ode mnie też precz! – zawtórował niższy.

Jak spod ziemi wyrósł człowiek z kamerą w dłoniach.

– Binder! Kronika miejska! – zawołał. – Muszę uwiecznić moment aresztowania morderców!

– Zaraz ci dam morderców, ty parchu! – Wyższy wyrwał się w jego kierunku, ale policjanci trzymali go mocno.

Kiedy już cała grupa podążała w kierunku komisariatu, ten niższy, skuty razem z kompanem, zapytał jednego z policjantów:

– Można rozmawiać z kolegą w trakcie odprowadzania do aresztu?

Policjant skinął głową.

– Owszem. Ale wszystko, co powiecie, może być użyte przeciwko wam.

– Głupoty – powiedział obdartus i zwrócił się do kompana. – No, Zdzisiu, to mamy Amerykę.

Wyższy nie odezwał się, więc niższy kontynuował:

– Kraty w oknach celi i więzienny mur. A mówiłem, żebyś wziął to zlecenie na agitatora. Wybilibyśmy mu zęby i by się nas policja nie czepiała.

– A ja ci mówiłem, że agitator miał ze wszystkim rację. Nawet z tym, że się u nas niewinnych ludzi do aresztu wsadza.

– Myślisz, że nas umieszczą w osobnych celach?

– No pewnie.

– Ale za co?

Wyższy zarechotał:

– Za oglądanie kafelka.

Ten niższy zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział grobowym głosem:

– Polskę to ino trzeba zaorać.

– Co?

– Powinieneś to po mnie zapamiętać. Że takie były moje ostatnie słowa do ciebie. Ty też powiedz coś mądrego, bo w życiu ważne są tylko ostatnie słowa.

– Spierdalaj.

– Neeee! – Niższy pokręcił głową z dezaprobatą. – To powinno być coś o Polsce.

## Rozdział 12

### Dozorczyni z młotkiem

Redaktor Monsiorski wrócił poprzedniego dnia z sanatorium. Teraz w redakcji usiłował czytać gazety, ale nie mógł się skupić, bo w jego gabinecie od pół godziny siedział Izaak Lisze i nie przestawał trajkotać. W „Iskrze” potrzebny był ilustrator i Bursztyn pod nieobecność pana Waleriana dogadał się z młodym artystą, że ten będzie mógł od czasu do czasu coś dorobić. Akurat teraz musiał Lisze układać swoje papiery na biurku. Owszem, przeprosił za intruzję i obiecał, że zaraz wyjdzie, ale najwyraźniej mu się nie spieszyło.

– Jak panu idzie praca przy poprawianiu polichromii? – zapytał redaktor Monsiorski bardziej z grzeczności niż z zainteresowania.

– Już powoli kończę te epickie zmagania. Teraz pracuję w północnym skrzydle transeptu.

– *Santa Familia?*

– Nie. Świętą Rodzinę poprawiłem wcześniej. *Adoratio Regum Polonorum...* Trzej polscy królowie przynoszą dary Matce Boskiej i Dzieciątku. Na pierwszym planie Kazimierz Wielki w długiej czerwonej szacie, a za nim Batory oraz Sobieski. W tej chwili maluję miecz i koronę króla Kazimierza. Ta polichromia jest bardzo zniszczona. Właściwie zlaźła cała lewa strona i od nowa trzeba wszystko robić.

– Hm...

– Długo mi schodzi, bo wie pan, laserunek musi związać. Ale do końca roku ze wszystkim się uporam. *Chrzest Litwy* skończyłem, *Błogosławioną Kingę*, *Odnalezienie Krzyża Świętego...* Tam z błękitem miałem największy problem. *Koronację Najświętszej Marii Panny* poprawiłem...

– Chyba *Wniebowzięcie*?

Lisze pokręcił głową.

– *Wniebowzięcie* w Ołtarzu Wielkim to olej na płótnie. Zupełnie inna technika. Za to po bokach są dwie polichromie przedzielone lizeną. Od północnej strony *Chrzest Polski*, a od południowej *Śluby Jana Kazimierza*, ale te freski i całą ornamentację prezbiterium mam już za sobą.

– Doprawdy dokonuje pan tytanicznej pracy.

Lisze pokiwał głową.

– Widział pan, jak to teraz wygląda?

– Wkrótce się wybiorę. Tak, z pewnością – mruknął redaktor Monsiorski, bo już nie bardzo słuchał.

– ...I pomyśleć, że tacy utytułowani artyści. Przecież Tetmajer malował polichromie nawet w Katedrze na Wawelu. Robił tam *Panteon Wielkich Polaków*. Na pewno pan wie...

– Chyba nie kojarzę.

– Bohaterowie historyczni prowadzeni do nieba przez polskich świętych.

– Tak, naturalnie...

– Tutaj w Sosnowcu Tetmajer robił malaturę, sceny figuralne i postaci na sklepieniach, a ornamentację wykonał Uziembło. Tyle pieniędzy wzięli, a czego się dotknę, to odłazi... Jeszcze przy samym wejściu do kościoła na ścianie podpisali się pod elaboratem, że malowidła sfinansowano z dobrowolnych ofiar mieszkańców, a kościół został ozdobiony przez artystów z Krakowa ku Bożej chwale, dla dźwignięcia serc wszystkich Polaków i wspomnienia nieszczęśliwej Rzeczypospolitej. Żeby świątynia była przybytkiem wiary w sprawiedliwość Bożą... no ładnie napisane.

A to się młody Żydek wyszkolił w katolickich sprawach, pomyślał pan Walerian z uznaniem. Czy on się czasem po kryjomu nie przechrzcił?

– W przedsionku zakrystii – kontynuował Lisze – jest z kolei polichromia z pierwszym proboszczem, Gilbertem, który wręcza biskupowi Kulińskiemu model kościoła. A pod spodem wymieniono nazwiska osób zaangażowanych w budowę. Oczywiście są też konterfekty Tetmajera i Uziembły. Z nich akurat farba nie zlaźła. Jeśli chodzi o pozostałe polichromie, to nie wiem, gdzie

popołniono błąd... Technika w zasadzie poprawna, kazeinowa, na wapiennej zaprawie, to powinno dobrze trzymać...

– Hm...

– Kolory też niebanalne. Tetmajer mawiał, że jego freski mają barwy prastarej krakowskiej skrzyni. Staram się trzymać tej wskazówki, jeśli chodzi o odcienie.

– To dlaczego malowidła okazały się takie słabe?

– Może ściany były za mokre? Poza tym przy laserunku olejnym nie można oszczędzać na materiałach. No bo, panie redaktorze, ileż to wytrzymało?

– Kilkanaście lat?

– Dwanaście! A powinno wytrzymać sto i więcej... Ogromne fundusze szły na kościół! Nie tylko na freski. W sam ołtarz główny wbudowano przecież tyle rzeźb i dekoracji, że czegoś takiego nigdzie w Europie się nie widuje, może z wyjątkiem Hiszpanii.

– Właśnie wyczytałem – przerwał mu znużony redaktor Monsiorski – że po powstaniu dziesięć tysięcy osób uciekło ze Śląska do Polski.

– Jedni mówią, że dziesięć, inni, że pięć, kto ich tam zliczy – skomentował Lisze bez emocji. Skończył porządkowanie rysunków i wstał od biurka.

– Gdzie oni się podziewają?

– Kto?

– Ślązacy.

– Rozlokowano ich w obozach przejściowych. Tu w Sosnowcu, Grodźcu, Jaworznie, i jeszcze w innych miastach. Ale już wyjeżdżają. Dostali od Niemców gwarancje, że mogą wracać do domów. Podobno nie będą szykanowani.

– Wierzą w te gwarancje? – Pan Walerian uniósł brwi.

– Nie mam pojęcia. Amnestia to amnestia. Na przykład ten poeta, Świder, wyjechał na Śląsk.

Redaktor Monsiorski wrócił do lektury gazet, ale Lisze, chociaż już prawie wychodził, dodał jeszcze:

– Aha, inżynier Pomianowski zmarł.

– O! Kiedy?

– Jakoś we wrześniu. Pamiętam, że po pogrzebie wyprowadzono trumnę na dworzec.

– Po co?

– Nie wiem... I adwokat Zaniewski zmarł... I Schön.

– Schön?

– Ernst. Też we wrześniu. Dziewiątego.

– No tak. Był już stary. Widzę, że pan wszystkich w Sosnowcu zna.

– Siedzę parę lat, to poznałem. – Lisze wzruszył ramionami. – Małe miasto.

Redaktor Monsiorski pochylił głowę nad doniesieniami prasowymi, licząc na to, że malarz wreszcie wyjdzie, ale on nie skończył wyliczania zmarłych.

– I Emilia Pietruszka nie żyje.

– No, no, popatrz pan. – Redaktor Monsiorski podniósł wzrok znad gazety. – Zmarło się biedaczce? A wcale nie była jeszcze stara. Jadwiga – powiedział, ale natychmiast poprawił się – Klandestyn Bizukont stracił najwierniejszego czytelnika... Ale nie uważa pan chyba, że to szczególnie ważna wiadomość?

Chciał się z powrotem zabrać do lektury.

– Uważam.

Redaktor Monsiorski spojrział ze zdumieniem na malarza.

– Pietruszce się nie zmarło, panie redaktorze. Została zamordowana. Pierwszego listopada. Wyobraża pan sobie? Zabić człowieka we Wszystkich Świętych? Wiadomo, nie jestem katolikiem, ale mimo wszystko... Gazety o tym pisały. „Iskra” również. Że też pan nic nie widzi. – Podszedł do redaktora Monsiorskiego. – Przecież tu jest, o. Pan tylko na sprawy polityczne patrzy. O proszę. Bursztyn zamieścił.

Postukał palcem w zdjęcie.

Fotografia pokazywała wejście do mieszkania Pietruszki w wysokiej kamienicy przy Iwangrodzkiej. Tyle że to już nie była Iwangrodzka, ale Dęblińska.

Redaktor Monsiorski zaczął czytać:

Depesza miejscowa. W dniu pierwszego listopada br. dokonano brutalnego mordu na obywatelce Pietruszce Emilii, lat pięćdziesiąt dwa, zamieszkałej w kamienicy przy ulicy Dęblińskiej. Kobieta przywiązano do krzesła w jej własnym mieszkaniu, zakneblowano

i uduszono. Już drugiego listopada w południe policja dokonała brawurowego aresztu i ujęła dwójkę podejrzanych osobników, którzy kręcili się nieopodal mieszkania denatki i nie potrafili wyjaśnić, co robią w tamtym miejscu o tej porze. Próbowali również majstrować przy kafelku osadzonym w progu. Policja prowadzi intensywne przesłuchania podejrzanych, jednak ich wyraźne ograniczenie umysłowe oraz stan permanentnego zamroczenia alkoholem nie pozwalają na razie na zbudowanie pełnej wersji wydarzeń.

– A na drugiej stronie, no niech pan przewróci, mordercy!

Pan Walerian intensywnie wpatrywał się w notkę oraz niewyraźne fotografie. Rozpoznał dwójkę aresztowanych. I zrozumiał od razu, że śmierć Pietruszki była związana ze śmiercią Alojzego Korzeńca.

Lisze wzruszył ramionami. Wymienił już wszystkich zmarłych, trzeba było się zbierać.

– No nic, muszę wracać do fresków, bo mnie na pewno proboszcz szuka. Do widzenia, panie redaktorze.

– Do widzenia. Miłego dnia, panie Izaaku.

Kiedy drzwi zamknęły się za malarzem, pan Walerian zamyślił się.

Przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu, a potem wezwał Bursztyna.

– Józef, o co chodzi z Pietruszkową?

Bursztyn machnął ręką.

– Długa historia, Walerianie. To się zaczęło, jak byłeś w Havelbergu. Pietruszkowa zwariowała. Mówią, że w czasie wojny porozbijała wszystkie sygnowane nazwiskiem Korzeńca kafelki w okolicy! Wpadła w manię! Ludzie się śmiali, że szuka skarbu! Jeździła nawet do Będzina, wyobrażasz sobie? Tam też rozbijała każdy sygnowany kafelek, jaki znalazła. To się rozniosło po całym mieście, wszyscy się stukali w głowy, i znana była jako Dozorczyni z Młotkiem. Nie wiedziałeś o tym, bo siedziałeś w obozie jenieckim, a po wojnie ona już chyba przestała latać, bo wszystko porozbijała, a po drugie mieliśmy na głowie poważniejsze sprawy.

Teraz znowu cię nie było. Ale że ją ktoś zamordował? Może zabójca myślał, że rzeczywiście skarb znalazła.

Pan Walerian doszedł do wniosku, że to on jest winien śmierci Pietruszkowej. Jej obsesja na pewno wzięła się po jego wizycie u niej, jeszcze przed wojną. Przecież to właśnie on zaczął ją indagować, czy czegoś nie znalazła pod kafelkiem w progu („Pani Pietruszkowa, niech mi pani powie, co tam było. To bardzo ważne”. Położyła rękę na sercu. „Panie redaktorze. Jak Boga Jedynego kocham i Matkę Boską Przenajświętszą, nic nie było”. Nie spuszczał z niej wzroku, więc dodała: „Klnę się na zdrowie swoich dzieci, że nic nie było”). Kobięcina przemyślała sprawy i zaczęła szukać skarbu. A teraz nikt jej nie pomógł. Mąż dawno od niej odszedł, dzieci powyjeżdżały w świat.

Przeklęte kafelki Korzeńca!

\* \* \*

Henio i Hanka nie mieszkali już u pana Waleriana. Parceli pogorzelskiej wprawdzie jeszcze nie sprzedali, ale dostali od Dietla służbowe mieszkanie na piętrze jednej z niewielkich kamienic. Mieszkanie było małe, ale dla dwojga niewymagających osób w sam raz.

A doszło do tego tak.

Hanka z pozbieranych wieczorem gałganków, szmatek i kawałków przedy uszyła lalkę. Nie miała akurat nic do roboty, przypomniały jej się stare czasy. Zmajstrowała piękną lalę. Następnego dnia pan Dietel kazał jej przyjść i posprzątać w kościele ewangelickim. Tam Hanka zobaczyła Inge. Kolejnego dnia przyniosła kukielkę pod bramę pałacu, bo z kościoła miała blisko, i dała stróżowi przy bramie, dla panienki. Stróż ją znał jako kobietę, która z polecenia przemysłowca sprząta kościół, więc lalkę przekazał. Inge, która miała wszak wszystkie najpiękniejsze *Puppen* na świecie, z jakiegoś powodu natychmiast pokochała lalkę od zezowatej Hanki, chociaż nawet nie wiedziała, kto ją uszył. Poprosiła papę o całą rodzinę *Puppen* od tej pani. Dietlowie obejrzeni lalkę, pokiwali głowami i *Herr* Dietel kazał Hance przestać sprzątać hale oraz kościół. „Ty mnie uszyj pięć lalek”, powiedział po polsku. Hanka starała się jak mogła. Lalki były śliczne i Inge zabrała



wszystkie. A że był listopad i do świąt Bożego Narodzenia zostało nieco ponad półtora miesiąca, Dietel pomyślał, że gdyby takich zabawek miał kilkadziesiąt, to byłoby akurat na prezenty, na fanty, na loterie dobroczynne, na adwentowe i karnawałowe okazje. A kupić czegoś tak ładnego w sklepie się nie dało.

– Ile ty zrobisz lalek dziennie?

– Jedną, proszę pana. Bo to schodzi dużo czasu. Ale jakbym miała mojego brata do pomocy i maszynę do szycia, to dwie.

Czyli kilkadziesiąt do świąt.

– Gdzie brat pracuje?

– Stróżuje w przędzalni na nocnej zmianie.

– Ach, tak. Wy jesteście od redaktora Monsiorskiego. Pamiętam. Dobrze. Potrzebuję do świąt pięćdziesiąt lalek.

– Musiałabym mieć maszynę do szycia.

– W porządku. Maszynę każę przywieźć. Od jutra nie będziesz sprzątała. Brat niech ze stróżówki zejdzie. Wydam stosowne polecenia. Gdzie mieszkacie?

– Akurat się musimy wyprowadzić z jednej takiej oficyny – powiedziała przytomnie Hanka, nie mówiąc, że mieszkali u kuzyna.

– Przydzielę wam służbówkę. – Dietel machnął ręką. – Przywiezie się wam narzędzia i materiały, dostaniecie podwyżkę o dziesięć procent względem tego, co teraz zarabiacie i do Bożego Narodzenia zrobicie mi pięćdziesiąt lalek. Do końca grudnia nie musicie czynszu płacić. A potem pomyślimy, co dalej. Odpowiada wam?

Hance tak odpowiadało, że o mało nie klękła przed Dietlem, ale jakże to tak Polce przed Niemcem klękać, więc tylko podziękowała grzecznie. A Heniowi było wszystko jedno. Najbardziej to on chciał być księdzem, ale skoro nie mógł, to czy stróżował w nocy, czy pomagał Hance przy lalkach, żadna różnica.

Siedzieli w małym mieszkaniu na piętrze i pracowali zawzięcie. Henio patrzył, jak stopy Hanki sprawnie poruszają pedały maszyny.

– Oko masz zezowate – mruknął z podziwem. – Ale nogami to wywijasz, że hej.

Hanka nie słuchała. Myślami wracała do spotkania sprzed południa. Była w sklepie z materiałami, gdy nagle usłyszała zdziwiony damski głos: „A ty co robisz w Sosnowcu, Nina?”. Hanka

zesztywniała ze strachu, a potem odwróciła się. Jakby ją ktoś uderzył w twarz. Przed nią stała starsza kobieta, elegancko ubrana. „Nie nazywaj mnie Nina” – szepnęła Hanka. „A to masz jakieś inne imię?”. Kobieta nie ściszyła głosu. „Mam. Hanna”. Hanka zezowała niespokojnie na prawo i lewo. „Coś podobnego. Nigdy mi tego nie mówiłaś. U mnie zawsze byłaś Nina”. „To było dawno temu”. „A czy ja mówię, że wczoraj?... Uciekłaś bez słowa. Bez pożegnania. Nawet nie pamiętam, czy się rozliczyłaś...”. „Rozliczyłam się co do grosza”. „Być może. Nie mówię, że nie. Ale jak dziewczyny uciekają, to często bez rozliczenia”. „Rozliczyłam się ze wszystkiego”. „Dobrze, dobrze. Nie upieram się przecież... Co teraz porabiasz?”. „Lalki szyję”. Kobieta parsknęła. „Co?”. „Lalki szyję. Dla Dietla. Przyszłam właśnie po materiał”. „Dla Dietla. No, no”. „A ty co robisz?” – Hanka odważyła się zapytać, wbijając wzrok w ziemię, o ile w jej przypadku było to wykonalne. „Ja? Jestem gospodynią w szpitalu dla prostytutek”. Hanka spojrzała na nią z przerażeniem. „Jak to?”. „No tak, zwyczajnie. Niemcy w czasie wojny utworzyli w barakach szpital weneryczny”. „I ty jesteś gospodynią?”. Kobieta roześmiała się. „A co? Kto lepiej rozumie dziewczyny niż ja?”. „A jak one się do tego szpitala dostają?”. „Policja je przywozi”. „I nie uciekają?”. „Uciekają. Ale porządna gospodyni da sobie radę. Mamy twarde regulamin. Wszystko musi być utrzymywane w porządku, nie wolno palić, pacjentki muszą pracować w ogródku szpitalnym, nie może ich nikt odwiedzać, w nocy nie wolno opuszczać łóżka ani palić światła, a jak któraś się nie stosuje do regulaminu, to ma za karę głodówkę, grzywnę, areszt albo ciemnicę. Więc ciesz się Ni... Hanka, żeś zawczasu...”. „Muszę już lecieć”, mruknęła Hanka, nic nie kupiła i wyszła ze sklepu z rozognionymi policzkami.

Przypomniała jej się główna maksyma tej kobiety, powtarzana przed laty przy każdej okazji. „Wszystkie kobiety to dziwki. Jedne tańsze, drugie droższe, ale wszystkie dziwki”.

Henio wstał z krzesła.

– Zjesz coś na kolację? To przygotuję.

– Nie, nie będę jadła.

– Dlaczego?

– Byłam u komunii.

Hanki nogi szybciej nacisnęły pedał maszyny.

– A, chyba że tak.

Wiedzieli od dziecka, że po komunii nie należy niczego jeść.

Czy to wypada, żeby na ciało Chrystusa w żołądku zleciał pogryziony kotlet albo marynowany śledź? I przed komunią też nie należało jeść. Bo w taki sam sposób miałożby ciało Chrystusa wpadać do żołądka i lądować na śledziu albo kotlecie? A nawet na marcepanie?

Więc dzień komunii był dniem postu, żeby ciała Chrystusa w żołądku niczym podłym nie zbrukać.

Kiedyś Henio zadał Hance takie pytanie:

– A dlaczego żołądek sam się nie strawi?

– Jak to? – Hanka spojrzała na brata przestraszona.

– No bo popatrz. Ludzki żołądek potrafi strawić żołądek kury albo krowy albo świni, no nie? To jak jest głodny, czemu się sam nie strawi? Co go powstrzymuje? Skąd żołądek wie, że jak mu wpadnie do środka żołądek krowy, to należy go strawić, a sam siebie nie unicestwi? – Zawiesił głos.

– Nie wiem – powiedziała Hanka.

– A widzisz.

– Co widzę?

– To jest dowód na istnienie Boga. Jakby Boga nie było, to by się żołądek sam strawił.

\* \* \*

Pani Jadwiga wręczyła matce eleganckie pudełko.

– Proszę, tu ci coś przywiozłam z sanatorium. Czekoladki. Niemieckie.

Pani Zimorodziec odłożyła bombonierkę na stół.

– Eee, jak niemieckie, to niedobre.

Pani Jadwiga nie odpowiedziała. Przyglądała się matce z uwagą.

– Mamo, co ty masz za pręgę na szyi?

– A właśnie sama nie wiem. Coś mi się zrobiło.

– Pokaż mi to.

Spodziewała się oporu, ale ku jej zdziwieniu pani Zimorodziec – choć z wyraźną niechęcią – odchyliła głowę. Córka przez chwilę przyglądała się jej mocno pomarszczonej szyi. Jak u indyka. Nigdy wcześniej nie zauważyła, że matka ma na skórze tyle znamion

i brzydkich, brunatnych brodawek. Jakoś się to wszystko zawsze udawało schować w kołnierzykach. Dokładnie tak będzie wyglądała moja szyja za kilkanaście lat, pomyślała pani Jadwiga i poczuła chłód w żołądku. Nagły, paniczny strach przed starością i śmiercią ścisnął ją za gardło. Opanowała się jednak szybko.

– Dziwne to jest, ta twoja pręga – powiedziała.

Matka nie odezwała się i stała tak przed córką, bezbronna, z odgiętą szyją, jakby się poddawała. To było do niej zupełnie niepodobne.

– Może trzeba by iść z tym do lekarza? – dodała pani Jadwiga.

– Nigdzie nie pójde – mruknęła pani Zimorodziec. Chwila słabości już minęła. Odsunęła się od córki. – Lekarze! Co oni wiedzą?

Czyżby próbowała się wieszać? Myśl ta była i nedorzeczna, i bolesna. Po pierwsze dlatego, że starzy ludzie, a przynajmniej tak się pani Jadwidze do niedawna wydawało, nie mają powodu, żeby się wieszać. Starzy ludzie powinni kurczowo trzymać się życia. Starzy ludzie za dobrze potrafią liczyć pozostałe im dni, żeby próbować ze sobą skończyć. Po drugie – trzeba to umieć zrobić. To się tylko tak łatwo mówi – powiesił się. A gdzie niby ludzi uczą, jak zawiązać pętlę, żeby się nadawała? Nigdzie nie uczą. No, może na Dzikim Zachodzie, bo tam trzeba umieć wiązać lasso. Ale tu nie jest Dzikie Zachód. Takie refleksje już zresztą nieraz pani Jadwidze przychodziły do głowy, kiedy heroiny jej romansów musiały ze sobą skończyć, bo inaczej nie dawało się powieści doprowadzić do finału: skąd ludzie umieją się wieszać, skoro nikt ich tego nigdzie nie uczy? Jak się rzucić pod pociąg albo wyskoczyć z okna, to każdy wie. Ale z wieszaniem się to jest dużo trudniejsza sprawa. I dlatego kilka heroin pani Jadwigi rzucało się i wyskakiwało, ale żadna się nie wieszała. A po trzecie, nie może się chcieć powiesić własna matka. To jest po prostu wykluczone. Co innego czytać o tym w gazetach czy w książkach, a co innego spoglądać na szyję matki i podejrzewać, że taka pręga może oznaczać niewyobrażalną wręcz desperację tej nieszczęśliwiej lubianej starej kobiety. Wówczas ma się poczucie winy, jakiego się nigdy wcześniej nie miało. I ma się pretensje do tej kobiety. Ze cierpi. Ze ktoś za to odpowiada. Nawet wiadomo kto.

Wszelkie egzaltacje i cała żarliwość młodości bledną przy smutku starości. Jeśli młodzi ludzie przeżywają katusze miłosne, widząc w nich jedno pasmo cierpień i wstydu, to niech poczekają. Dowiedzą się wtedy coś o prawdziwym strachu, prawdziwym cierpieniu i prawdziwym wstydzie. Bo poza wszystkim innym starzy ludzie wstydzą się tego, że są starzy. I nie pociesza ich to, że młodzi w swojej naiwności myślą, że jeszcze długo będą młodzi i życia użyją. Otóż nie, nie, nie zdążycie, moi drodzy, nie zdążycie, ale to dla starego nie jest żadne pocieszenie. Bo im bardziej młody nie zdąży, tym gorzej dla starego, który przecież nie będzie tego świadkiem.

– Podobno jakieś niestworzone historie do gazet piszesz – matka ni stąd, ni zowąd powiedziała oskarżycielskim tonem.

– Skąd wiesz?

– Wanda mi wygadała. Nie mam pojęcia, skąd to wie, ale wie. Że piszesz romanse w odcinkach do gazety.

Przez chwilę obie milczały.

– Nigdy mi nic nie mówisz – dodała pani Zimorodziec.

– Nie sądziłam, że cię to zainteresuje – odparła pani Jadwiga, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

Matka pokiwała ponuro głową.

– Podobno się nawet pod tym nie podpisujesz.

– Używam pseudonimu.

– A co, wstydzisz się? To takie bezceństwa są?

– Nie wstydzę się. Tak wolę. Bez powodu... A co u Wandy? Dawno jej nie widziałam. – Pani Jadwiga chciała zmienić temat.

– Nie wiem. Nie miałam czasu wypytywać. Chora chyba była.

– Na co?

– Jakieś wstydlive sprawy. Krwawiła... wiesz gdzie. A nie powinna już dawno krwawić. Stara baba z niej przecież.

– O.

– Ale jej chyba przeszło.

– I co jej powiedziałaś?

– A nic. Co będę mówić. Ja to myślę, że ją Gienek przyduślił i tyle. – Gienek był mężem Wandy. – Zawsze był narwany. Starą babę ma, a zachciało mu się amorów...

Pani Jadwiga zarumieniła się, ale powiedziała:

– Nie wydaje mi się, żeby to mogło być od tego... Raczej jakaś choroba...

– Głupoty. Nie ma takich chorób. Na pewno ją zmuszał...

– Skąd możesz wiedzieć?

– Na tych sprawach znam się lepiej niż ty – burknęła pani Zimorodziec. – Ja nawet wiem, że temu redaktorowi, co z nim byłeś w sanatorium, temu Gąsiorskiemu, do łóżka wlałaś.

Pani Jadwiga spłoszyła.

– No wiesz?!

– Widać to po tobie. Chodzisz zupełnie inaczej. Biodrami zamiatasz jak krowa.

– Przestań. – Pani Jadwiga myślała, że spali się ze wstydu.

– Co mam przestać?

– Proszę cię, przestań.

– Będzie w końcu coś z tego? – zapytała matka.

– To znaczy?

– Nie udawaj głupiej.

\* \* \*

Nie zwracając uwagi na łoskoty ulicy, potrącając w bramie stróża Ignacego, któremu spadła z głowy nowa czapka z elegancką mosiężną blaszką, mijając kramy, stragany i sklepiki, pan Walerian truchtem zdążył na dworzec, żeby porozmawiać z Ociepą. Chciał szybko ominąć jakiegoś starego tragarza, niemal przygniecionego do trotuaru niesioną szafą. Wdepnął do rynsztoka, z którego wydobywał się skisły fetor. Zaklął, potrząsnął nogą i ruszył dalej. Minął żydowską wytwórnię peruk. Kilka dziewczyn pracowało, siedząc przy oknach, żeby mieć lepsze światło. Rozdzielały włosy i czesały perukom warkocze. Wyprzedził chudego jak szczapa roznosiciela wody sodowej, który nie bacząc na to, że jest zimno, dreptał po ulicy w nadziei, że ktoś kupi jego barwioną na czerwono ciecz. Człowieku! Nie w listopadzie! – pomyślał pan Walerian, bo wyczekujące, wyłupiaste oczy sprzedawcy budziły w nim wyrzuty sumienia. Chudzielec wyczuł od razu, że z tego pana klienta nie będzie, zawrócił i poszedł w drugą stronę.

Redaktor Monsiorski skręcił koło sklepu warzywnego, przed którym w drewnianych skrzynkach leżały cebule, rzodkwie,

czosnek, groch i marchew, minął składy koszernych towarów, minął kram z wędzonymi rybami, pośliznął się na jakimś ciemnym błocie i wpadł prosto na Janka.

– O! Wreszcie pan wrócił!

– Powiedziałbyś raczej dzień dobry...

– Dzień dobry, oczywiście. Zdrowo pan wygląda. Chyba kuracja poskutkowała...

– Spieszę się, Janek.

– Odprowadzę pana.

Ruszyli razem.

– Powiedz, co porabiałeś.

– Walczyłem w powstaniu – powiedział chłopak od niechcienia.

– Bajki opowiadasz. Jak mogłeś walczyć w powstaniu, skoro zanim wyjechałem, byłeś w armii Hallera?

– Byłem latem. W garnizonie częstochowskim szkolili mnie na wywiadowcę. Mam stopień kaprała.

– To jak brałeś udział w powstaniu, skoro zgodnie z traktatami międzynarodowymi wojsko nie mogło walczyć?

Janek roześmiał się.

– Nie wie pan, jak się to robiło? Od piętnastego sierpnia miałem czasową demobilizację. Nie łamałem żadnych traktatów, bo na Śląsk poszedłem jako nieuzbrojony ochotnik.

Zbliżyli się do dworca.

– Wpadnij do redakcji, to trochę mi poopowiadasz.

– Wpadnę. A wie pan, że Władek też walczył? Był ranny pod Mysłowicami.

– A mówiłem ci, żebyś brata w to nie wciągał.

– Musiałem zapomnieć. – Janek wykrzywił twarz w uśmiechu. – Sam wyniosłem Władka z pola bitwy.

– Pięknie. Ale równie mocno mnie interesuje, bohaterze, czy wróciłeś we wrześniu do szkoły.

Janek westchnął ciężko.

– Wróciłem. Chodzę do siódmej klasy gimnazjum. Chyba będę chciał zostać zawodowym śpiewakiem.

– Cyganka miała rację?

– Na to wygląda... Ale wie pan, babka Katarzyna śpiewała, matka śpiewa, brat śpiewa, nawet ojciec podśpiewuje, jak ma dobry

humor... a ja z nich wszystkich mam najładniejszy głos.

– Wpadnij do redakcji w przyszłym tygodniu i porozmawiamy, bo teraz muszę załatwić parę bardzo ważnych spraw.

– Pewnie.

Pożegnali się.

Pan Walerian odnalazł dróżnika.

– Panie Ociepa, co się tu dzieje? Gdzie jest pański kuzyn?

– No właśnie, panie redaktorze, jak ja pana szukałem!

– Byłem w sanatorium w górach.

– Musi mi pan pomóc. Aresztowali Zdzisia i tego jego kolegę, Zbyszka. A oni są niewinni. Jezu, przecież nic nie zrobili. Przypadkiem byli pod domem tej wariatki, Dozorczyni z Młotkiem, ale wie pan, jacy oni są, tak się tam kręcili, aż ich policja zaaresztowała. Pomoże pan ich wyciągnąć?

– Spróbuję.

– Ale kiedy?

– Od razu.



## Rozdział 13

# Posiąść jak najszybciej!

Sosnowiec przygotowywał się do kolejnej zimy. Śnieg już parę razy postraszył, mimo że był dopiero początek listopada.

Doktor Mojkowski stanął przed wysokim lustrem w przedpokoju. Skropił chusteczkę wodą lawendową i wypolerował dokładnie wysokie czoło. Tego właśnie mu brakowało w obozie jenieckim: nie mógł dbać o nienaganny wygląd.

Człowiek wziął na siebie za dużo obowiązków. Czy to można aż tyle? Ranki w szpitalu na oddziale, szybki obiad w mieście, trzy razy w tygodniu popołudniami pacjenci. Wieczorem praca naukowa, a tu jeszcze akcje społeczne w Towarzystwie Lekarskim Zagłębia Dąbrowskiego: jak nie Kropla Mleka, to te baraki, gdzie leczono prostytutki. W dodatku baraki zostały bez mebli. Były komisarz policji rosyjskiej, niejaki Mazur, wrócił do Sosnowca i zażądał zwrotu sprzętów, które w czasie wojny magistrat i burmistrz łaskawie przeznaczyci dla szpitala wenerycznego. Według papierów i rozpoznania świadków sprzęty rzeczywiście przed wojną należały do Mazura. Jak on je odnalazł? A teraz w majestacie prawa wszystko odebrał: półmiski i talerze w niebieskie kwiaty, a nawet gzymsy. Trzeba w ogóle ten przybytek zamknąć jak najszybciej, do Będzina oddelegować.

Godzić to wszystko z pasją naukową – nie jest łatwo.

Brzęknął dzwonek. Pan doktor nie spodziewał się żadnych gości, ale jeśli jest się lekarzem, to się nie zna dnia ani godziny, więc podszedł do drzwi i otworzył. Gdyby to była pora wizyt, otwarłaby gospodyni, która wpuszczała pacjentów między siedemnastą a dziewiętnastą w poniedziałki, środy i czwartki.

W progu stał redaktor Monsiorski.

– Dzień dobry. Przepraszam, że tak bez zapowiedzenia...

– Proszę, proszę, panie redaktorze. Cóż pana do mnie sprowadza? Chce mi pan zrelacjonować pobyt w sanatorium? – Doktor Mojkowski mówił lekkim tonem, ale podejrzewał, że musiało wydarzyć się coś złego.

– Nie, panie doktorze...

Przeszli przez sień (podłoga świeżo pomalowana, lustro na ścianie), minęli poczekalnię (fotel, kilka krzeseł, stolik ze stertą czasopism) i gabinet (stół, kałamarz, pióro, papier receptowy, sofa i dwa krzesła, oszklona gablota), weszli do właściwego mieszkania doktora.

– Proszę, niech pan siada. – Doktor Mojkowski wskazał gościowi wygodny fotel w salonie.

Pan Walerian usiadł i od razu przeszedł do sedna.

– Pewna sprawa nie daje mi spokoju...

Opowiedział o śmierci dozorczyńni i o swoich podejrzeniach. Tak jak przewidywał doktor Mojkowski, nie skończyło się na jednej zbrodni, a wszystko to sprawa tego, kto zabił Korzeńca.

– Chwileczkę. Muszę pana zapytać o jedną rzecz, bo przy bestialskim zabiciu kobiety ta ewentualność zawsze musi być najpierw brana pod uwagę.

– Tak?

– Czy są ślady gwałtu?

– Na Pietruszce?

– Nie na pietruszce, tylko na tej dozorczyńni. Co pan znowu z pietruszką?

– No, ona właśnie nazywała się Pietruszka. – Pan Walerian zastanawiał się przez chwilę. – W gazetach nie piszą nic o gwałcie. Ani o próbie gwałtu.

– Pytam, bo z moich najnowszych ustaleń wynika, że morderca metodyczny na ogół gwałci i torturuje ofiarę albo torturuje, żeby zgwałcić, mniejsza z tym zresztą, w każdym razie gwałt jest...

– Trochę tak jak Kuba Rozpruwacz?

– Właśnie.

– Któraś gazeta by o tym wspomniała, gdyby gwałt miał miejsce, bo to dla dziennikarzy smakowity kąsek. Ale mnie zastanowiło coś innego...

– Tak?

– Pamięta pan, w Havelbergu, kiedy rozmawialiśmy o mordercach, podał pan przykład kogoś, kto ofiarę przywiązuje do krzesła i knebluje. To byłby dowód, że morderca działa metodycznie, bo musi się wcześniej przygotować...

– Nie pamiętam, że to mówiłem, ale mogłem mówić, ponieważ tak uważam.

– Ja pamiętam, bo po naszych rozmowach zapisywałem pana spostrzeżenia. No więc miał pan znakomitą intuicję!

– Proszę nie mówić, że miałem intuicję. Moje podejście jest naukowe, a nie intuicyjne. Ja bym chciał zminimalizować ilość intuicji, a zmaksymalizować ilość ścisłej nauki w badaniach nad zbrodnią. Kiedyś przyjdą takie czasy, że przestępca, o ile nie okaże się geniuszem, nie będzie miał najmniejszych szans w konfrontacji z policją, uzbrojoną w najnowszą naukę po zęby.

– Jeszcze trochę wody upłynie...

– Owszem... nie wszystko da się osiągnąć od razu. Ale mniemam nieskromnie, że jestem jednym z pionierów tego podejścia.

– W każdym razie Pietruszkowa została związana, zakneblowana i uduszona. Od razu sięgnąłem do zapisków z naszych rozmów w Havelbergu i panie doktorze, tu mój kolejny komplement, bo przewidział pan, że morderca Korzeńca ma na oku kolejną ofiarę. Jestem przekonany, że Pietruszkę zabił właśnie on! Że to była zaplanowana na zimno zbrodnia.

– Ja natomiast nie pamiętam, co mówiłem, bo mnie nie interesują poszczególne przypadki, tylko reguły.

– Wiem, wiem, pan mnie właściwie nigdy nie pytał o żadne szczegóły tej sprawy. Podchodził pan do tego, jak by to powiedzieć... abstrakcyjnie.

Doktor Mojkowski mruknął z zadowoleniem.

– Ale nie ukrywam, panie doktorze, że teraz liczę na pańską pomoc i fachową radę... To co pan mówi, ma dla mnie pierwszorzędne znaczenie.

– Hm. Ale dopóki mi pan o całej sprawie wszystkiego nie opowie, nie będę panu mógł pomóc. Przyznam uczciwie, że o morderstwie Korzeńca pamiętam piąte przez dziesiąte. Kiedyś

mnie to intrygowało, ale ostatnio zajmowały mnie zupełnie inne przypadki.

Redaktor Monsiorski opowiedział więc wszystko od samego początku. O tym, jak zakrwawiony, bezgłowy korpus leżał przy moście kolejowym w centrum miasta, nieopodal dworca. O tym, jak głowa najpierw zniknęła, a następnie odnalazła się w Abisynii, najbardziej zakazanej dzielnicy Sosnowca. O tym, że przeszwarzowanie głowy było okryte złą milczeniem, a policja i celnicy po obu stronach granicy, rosyjskiej oraz pruskiej, robili, co się dało, by sprawa nie została nagłośniona.

Doktor Mojkowski pomrukiwał i kiwał od czasu do czasu głową, bo wszystko zaczęło mu się przypominać.

Pan Walerian wyjaśnił, że na prośbę wdowy zaczął prowadzić prywatne śledztwo. Kluczył i błędził, dopóki nie zrozumiał, że morderca glazurnika i zleceniodawca szmugłu głowy to niekoniecznie ta sama osoba. Po wizycie u Pietruszkowej wydedukował ostatecznie, że mordercą jest Eustachy Goździk, zarządca rzeźni, który wiedział dużo więcej, niż powinien, a Alojzego Korzeńca uważał za zdrajcę i tajnego agenta.

Redaktor Monsiorski powiedział też, co sądzi o nowym zabójstwie.

Pietruszkowa po tamtej przedwojennej wizycie redaktora Monsiorskiego doszła do wniosku, że może jednak pod kafelkami coś było.

Goździk wrócił, tak jak zapowiadał, nadal przekonany, że Korzeniec był zakonspirowanym agentem, który coś chował pod kafelkami, tym bardziej że kafelki były porozbijane. Domyślił się, że to najpewniej ta baba, która go kiedyś przegoniła, i postanowił ją o wszystko wypytać.

Albo mu powiedziano o dozorczyńni wariatce, która biega z młotkiem i rozbija sygnowane kafelki.

Wrócił zatem. Skrępował ją, przywiązał do krzesła. Indagował. Przecież sam też podejrzewał, że pod kafelkami coś się może kryć. Może żałował, że nie szukał skrupulatniej? Dlaczego czekał kilka lat? Może dlatego, że w latach wojny nie było go w Sosnowcu.

Ona – w strachu – powiedziała napastnikowi, że to się zaczęło od wizyty redaktora Monsiorskiego i od tego, jak kazał jej

przysięgać, że pod kafelkami nic nie było. Pomyślała sobie, że skoro redaktor jej nie chciał uwierzyć, to jednak mogło coś być.

Goździk na pewno ją zapytał, czy powiedziała redaktorowi Monsiorskiemu o jego wizycie, wtedy kiedy on sam przyszedł do niej tuż przed wybuchem wojny.

Tak, powiedziała, ale nie pamięta co, bo to było przecież kilka lat temu.

Goździk przypomniał sobie, że redaktor Monsiorski nachodził go w rzeźni. Monsiorski chyba za dużo wiedział.

Jeśli dyrektor rzeźni zdecydował się na zabicie Pietruszki jako niebezpiecznego świadka, to nie ma najmniejszych wątpliwości – Monsiorski jest następny.

Wszystko to pan Walerian wyłuszczył doktorowi Mojkowskiemu punkt po punkcie.

– W pańskim rozumowaniu nie ma błędu – stwierdził doktor Mojkowski z zadowoleniem nauczyciela, który chwali pojętnego ucznia.

– Myśli pan...? – Redaktor Monsiorski był nawet przez chwilę dumny z siebie.

– Tak. – Doktor pokiwał głową. – Jeśli morderca zabił z premedytacją, bez względu na to, jakie były jego pobudki i bez względu na to, jak długo czekał, jeśli jest mordercą metodycznym i żywi choćby cień podejrzenia, że pan wpadł na jego trop, to następną zaplanowaną przez niego ofiarą będzie pan. To jest prawidłowy tok dedukowania, jeśli chodzi o metodycznego zabójcę.

– Cieszę się, że tak prawidłowo myślę, ale chyba jednak wolałbym, żeby moje rozumowanie było mniej poprawne.

Doktor Mojkowski dumiał przez chwilę, a potem zapytał ni stąd, ni zowąd:

– A kuzyn z żoną jeszcze u pana mieszkają?

– Kuzyn z siostrą? – Za późno ugryzł się w język. Przypomniał sobie, że wszystkim mówił, że Hanka jest żoną Henia. Dla świętego spokoju. Szybko wyjaśnił:

– A nie, nie, wyprowadzili się, zanim wróciłem z sanatorium. Dostali pracę u Dietla i służbowe lokum, proszę sobie wyobrazić.

– To niedobrze.

– Dlaczego? – Pan Walerian nie bardzo wiedział, czego dotyczył ten komentarz.

– Byłbym o pana spokojniejszy, gdyby ktoś z panem mieszkał przez jakiś czas. Kuzyn z siostrą, mówi pan. Jakoś mi się wydawało, że to był kuzyn z żoną.

Oczywiście doktor Mojkowski musiał zwrócić uwagę akurat na to. Ale znając jego spostrzegawczość, trudno było oczekiwać, że będzie inaczej.

– Tak, kuzyn z siostrą – powiedział pan Walerian zrezygnowanym tonem i dodał:

– Mówiłem, że kuzyn z żoną, bo wie pan sam, jacy ludzie są. Zaczęliby gadać nie wiadomo co. – Zaczerwienił się po uszy. – A Henio z Hanką są po prostu niezbyt udani i trzymają się zawsze razem, odkąd pamiętam, i ja im pomagam. Oni nie potrafią osobno żyć. Muszę ich też chronić przed ludzką podłością...

Doktor Mojkowski słuchał ze zdumieniem szybkiego, nerwowego monologu pana Waleriana.

– Ale...

– ...bo oni nie znają miasta... – dokończył pan Walerian bez szczególnego związku.

– Panie redaktorze. W tej kwestii, o której pan myśli, to na przykład u Turków wspierają małżeństwa między krewnymi, a stare islamskie prawa klanowe stanowią na przykład, że rodzina nie powinna się mieszać z obcymi, więc wydawanie dziewcząt za mąż za krewnych, nawet pierwszego stopnia, jest tam raczej regułą niż wyjątkiem. A w starożytnym Egipcie albo wśród średniowiecznej arystokracji w Europie...

– No co też pan, panie doktorze! – Redaktor Monsiorski jeszcze bardziej poczerwieniał.

– Jestem lekarzem, a nie moralistą. – Doktor wzruszył ramionami. – Ale wracając do rzeczy naprawdę ważnych, powinien pan wszystko zgłosić na policji.

– O Heniu i Hance? Dlaczego?

– Daj pan już spokój z Heniem i Hanką – zachnął się zniecierpliwiony doktor Mojkowski. – Mówię o Goździku. Powinien pan zgłosić wszystko na policji, póki nie jest za późno, i zapewnić sobie ochronę.

– Iść na policję? Ale ja nie mam żadnych dowodów.  
– Na pewno pan zna jakiegoś wysoko postawionego policjanta.  
– Znam komendanta policji, porucznika Dąbskiego, ale wie pan, on ma jutro ślub. Pójdę do niego w poniedziałek.

Doktor zdjął okulary i zaczął je przecierać rąbkiem chusteczki.

– Poniedziałek jest za późno, panie redaktorze.

– Niechże mnie pan nie straszy.

– Proszę pójść jutro rano.

– Ale człowiek ma ślub.

Doktor Mojkowski spoglądał na redaktora Monsiorskiego z niepokojem, a po chwili zapytał:

– Czy posiada pan broń?

– Nie posiadam. – Pan Walerian nie krył zaskoczenia.

– Niedobrze. Powinien pan posiadać.

– Panie doktorze...

– Nie, nie, ja mówię poważnie. Powinien pan posiadać jak najszybciej. Wplątał się pan w paskudną sprawę.

– Ale ja bym nie wiedział, co z bronią robić – stropił się pan Walerian. – I skąd ją wziąć?

– To akurat najmniejszy problem. Może pan ją posiadać legalnie albo nielegalnie. Skoro pan zna naczelnika policji, na pewno wyda panu pozwolenie. Z tym pozwoleniem uda się pan do Białasa i coś sobie odpowiedniego wybierze.

– Ale...

– Zresztą może pan dostać broń i bez pozwolenia. Wszyscy mają rewolwery. Zostało i po Niemcach, i po powstaniu.

Redaktor Monsiorski pokiwał głową. Przypomniało mu się, że nawet Janek pod piekarnią ojca trzymał nielegalny arsenał dla celów patriotycznych.

– Powinien pan naprawdę bez zwłoki się tym zająć. Pożyczę panu mój rewolwer, a jak za parę dni pan coś sobie załatwi, to mi go pan odda.

– Pan też ma rewolwer? – zdziwił się redaktor Monsiorski, ale doktor Mojkowski zbył to pytanie milczeniem.

Wstał i wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił i położył broń na blacie stołu.

Pan Walerian pokręcił głową.

– Nie umiałbym się tym posługiwać.

Doktor Mojkowski zmarszczył z troską czoło.

– Niech pan weźmie. Będę spokojniejszy. Pokażę panu, co i jak, to proste.

– Nie, nie, to znaczy, dobrze, ale jeszcze nie dzisiaj. Porozmawiam najpierw z komendantem policji.

– Jak pan woli.

\* \* \*

Pani Półtoranos i pani Zimorodziec zaśmiewały się niemal do łez. Bo i miały powód. Ta młoda, co mieszkała po sąsiedzku, ładna dziewczyna i szkoły kończyła, i żeby taki sobie los zgotować. Jakieś pół roku temu zaczęła pracować u starego Grzebalskiego, co trumny robił. Na początku miała tylko na zydłu siedzieć i na szarfach oraz wstążkach wypisywać czarnymi literami ostatnie pożegnanie od tego i tamtego. Roboty było dość. W umieraniu kryzysu nigdy nie ma. Dziewczyna szybko pisała, więc jej trochę czasu zostawało. Zabrała się, z własnej nieprzymuszonej woli, do odkurzania trumien. Tak odkurzała, tak się starała, tak się nachylała, żeby wewnątrz trumien dobrze wyczyścić, że się Grzebalski nawychwalać jej nie mógł. „To może byś jeszcze mogła mościć koronką?”, zapytał. Mogłaby. A tydzień temu był ich ślub.

– Ale mu wymościła...

– Trumny mu miała mościć, a nie... – Obie starsze panie zachichotały.

– Myśli pani, że na majtki bierze z tych samych koronek, co na wyściółkę?

– Na pewno. Trochę nieboszczykowi mniej wyścieli i koronki ma.

– A stary zbereźnik nawet tego nie zauważy, bo ona na pewno koronki do farbiarni nosi.

Obie starsze panie powyjmowały chusteczki z rękawów swetrów i wycierały z oczu łzy. Zawsze to człowieka ubawi cudze nieszczęście. Jej nieszczęście, że za trumniarza wyszła, jego nieszczęście, że przecież ona młoda, więc zaraz go zostawi, starym zbukiem nazwie i ucieknie w tych przefarbowanych, koronkowych majtkach.



– Jaki durny ten Grzeszolski.

– Grzebalski.

– A, prawda. Pomyliło mi się. Grzeszolski to ten z Rybnej, co się kształci na inżyniera.

Jeden temat, choćby najzabawniejszy, każdemu się znudzi.

– A wie pani, że stara Chałupiec z Warszawy, ta co od miesiąca mieszka w hotelu, no wie pani, matka tej aktorki, co ma jutro wyjść za komendanta policji... na pewno pani słyszała zapowiedzi...

– No, no, słyszałam...

– To ona codziennie o szóstej rano wychodzi do kościoła.

Pani Półtoranos tego nie wiedziała.

– Taka bogobojna?

– Akurat! – Pani Zimorodziec prychnęła. – To dlatego, że jej córka sprowadza sobie na noc gachów.

– Nie rozumiem...

– Stara nie chce ich rano krępować swoją obecnością, więc lata do kościoła, zanim wstaną.

– Co pani mówi? To z tej młodej aż taka lafirynda?

– No przecież to aktorka!

– Ale skąd pani to wie?

Pani Zimorodziec powiedziała oględnie:

– Dobry znajomy mojej córki, wydawca gazety, przyjaźni się z komendantem.

– Czyli że córka pani mówiła? W takim razie to wiadomość pewna.

– Nie, córka mi nie mówiła. Ale ja swoje wiem.

– Stara Chałupiec kapelusz z piórkiem nosi. Widziałam.

– Warszawianka. Popisuje się.

– O, a właśnie pani córka tu idzie.

– Ano, idzie. Niezbyt mi się ona udała.

– Co też pani opowiada.

– A tak. I kto by pomyślał. Po takich rodzicach! I ja, i mój mąż. – Zadumała się. – Mój, wie pani, to był taki mądry, że miał mądrości ponad wszelkie normy. Tylko za wcześnie umarł.

A mój, pomyślała pani Półtoranos, też był mądry, no owszem zadał się raz z Cyganką, ale to nie była jego wina...

– A z niej to nie mam żadnej pociechy. Zawsze się gdzieś spieszy. Jak nawet ze mną gdzieś idzie, to niczego nie pozałatwiam tak, jak chcę przez ten jej pośpiech, a potem muszę iść jak głupia drugi raz.

Kiedy już pani Jadwiga przywitała się z matką i z panią Półtoranos, pani Zimorodziec skrzywiła się.

– Strasznie mnie krzyże bolą – powiedziała. – Ale to już tak od wiosny. Nawet wiem, kiedy mi się to zaczęło.

– Kiedy?

– W maju. Robotnika wynajęłam i przekopywał grządki z ogórkami, a ja musiałam nad nim stać przez pół dnia, bo przecież wszystko by zniszczył.

Pani Jadwiga wzruszyła ramionami.

– Po co ci było sadzić tyle ogórków? Przecież warzywa można dostać w sklepie.

– Łatwo ci się mówi. A jak przyjdzie wojna albo rewolucja, to wtedy do mnie od razu przylecisz i będziesz jęczeć, że nie masz co jeść. Wtedy ci będą w smak moje ogórki. Ktoś cię w czasie wojny musi wyżywić.

– Wojna się już skończyła i nie pamiętam, żebym przez te cztery lata chociaż raz do ciebie przyszła po jedzenie. Nie mówiąc o tym, że na samych ogórkach człowiek długo nie pożyje.

– Pożyje. Znany jest przypadek, że głodny mężczyzna przeżył dwa tygodnie, jedząc kawałek po kawałku drewniany styl od łopaty. Chyba wolisz jeść moje ogórki niż łopatę?

Pani Jadwiga przyglądała się matce z coraz większym niepokojem. Albo dokumentnie oszalała, albo to są po prostu zwykłe objawy starości.

– Wolałabym ogórki niż łopatę. – Westchnęła. – Ale nie wydaje mi się, że to jest dobrze postawiony wybór.

– Jaki wybór? – Matka już jej nie słuchała.

– Wybór między ogórkami a łopatą. Dobrze, dobrze, sadź ogórki, skoro chcesz. Tylko nie rób tego dla mnie.

Pani Półtoranos pożegnała się z sąsiadką oraz jej córką i szybkim krokiem ruszyła wzdłuż ulicy. Obie wariatki, pomyślała.

– Wejdiesz do domu? – zapytała pani Zimorodziec, ale jej ton nie był zbyt zachęcający.

– Jeśli nie masz nic pilnego, w czym mogłabym ci pomóc, to chyba nie, bo się spieszę. Mam dzisiaj jeszcze parę spraw do załatwienia. Jutro idę na ślub komendanta policji.

– Sama idziesz?

Pani Jadwiga zawahała się.

– Nie.

– Z tym redaktorem idziesz? Z Gąsiorskim?

– Z Monsiorskim. Tak.

Matka myślała przez chwilę, a potem dodała:

– Od razu ci mówię, że ja na jego pogrzeb nie pójdę.

– Na jaki pogrzeb? – Pani Jadwiga wzdrygnęła się.

– Na pogrzeb Gąsiorskiego. Nie wybieram się. Zebyś nie miała do mnie pretensji. Zresztą już raz byłam na pogrzebie twojego męża.

Pani Jadwiga zatrzęsała się ze złości.

– Po pierwsze redaktor Monsiorski nie jest jeszcze moim mężem, a po drugie... – ugryzła się w język i *nie* powiedziała, że to raczej on prędzej doczeka pogrzebu pani Zimorodziec niż odwrotnie – przecież on żyje! Skąd w ogóle ten pomysł z pogrzebem?

– Słyszałam, że ma gruźlicę. Jeszcze cię zarazi. Albo mnie. – Matka przeżegnała się.

– Chorował. To prawda. Ale wyzdrowiał. Teraz jest rekonwalescentem.

– Wszyscy się tak zarzekają – zachnęła się pani Zimorodziec. – Do majtek ci się dobiera, to mówi, że zdrowy, a jak przyjdzie co do czego, to umrze. I tylko kłopot będzie... Twoja sprawa. Ja w każdym razie mówię, że na jego pogrzeb się nie wybieram.

– Dobrze. Dotarło to do mnie – powiedziała pani Jadwiga.

Matka jeszcze nie skończyła.

– Niektórzy nie mają szczęścia w życiu. Na przykład ty. Skąd to się wzięło, że co wyjdiesz za męża, to chłop się od razu w zaświaty wybiera? Jednego zabijają, drugiego choroba zabierze... Przecież wstyd się potem ludziom pokazać z taką reputacją. A nie daj Boże i tego ktoś utłucze, zanim zdąży umrzeć?

– Wiem, wiem. Wtedy też się na pogrzeb nie wybierzesz – powiedziała pani Jadwiga cierpko.

– Ja już naprawdę nie mam sił. Musisz to zrozumieć.

– Tak czy owak, żeby nie strzępić języka po próżnicy, pragnę cię poinformować, że twoje usprawiedliwienie nieobecności na pogrzebie jest przedwczesne, ponieważ redaktor Monsiorski żyje.

– Takiej pewności nigdy nie można mieć – odparła spokojnie matka.

## Rozdział 14

### Jak tak dalej pójdzie, to będzie za późno

O dziesiątej rano pan Walerian odwiedził Dąbskiego w mieszkaniu.

– Nieogolony jestem – podporucznik przeprosił redaktora Monsiorskiego i przeciągnął dłonią po policzku – ale wie pan, ślub mam dopiero o trzeciej, więc będę się golił w południe, żeby świeżo wyglądać. I przepraszam, że w szlafroku...

– To ja przepraszam za najście w takim dniu, ale mam pilną sprawę... bardzo krótką.

Pan Walerian przedstawił dwie prośby. Na razie postanowił nie wspominać o ochronie.

Obaj byli nieco roztargnieni, każdy z innego powodu.

– O co pan mnie właściwie prosi? Bo tak zawile pan to tłumaczy, że nie zrozumiałem.

– O dwie rzeczy. Żeby mi pan pozwolił wejść do mieszkania Pietruszkowej, oczywiście w obecności policjanta. I żeby pan zwolnił tę dwójkę z aresztu. – Redaktor Monsiorski pokazał zdjęcie w gazecie. – Oni są niewinni.

– To pańscy znajomi? – Dąbski mocno się zdziwił.

Redaktor Monsiorski zawahał się.

– Tak bym tego nie określił... Nie wiem, jak to wytłumaczyć... ale na pewno nie zabili Pietruszki.

– Panie redaktorze, zrobię, co się da, ale nie mogę panu niczego obiecać. Jednak musi mi pan wybaczyć... z powodu ślubu nie zajmę się tym dzisiaj, pan rozumie.

– Ależ oczywiście, oczywiście.

– Poza tym – Dąbski zrobił groźną minę – ja się zgadzam na wszystko pod jednym warunkiem...

– Tak?

– Że pan przyjdzie na ślub. Skoro już pan się wymigał od wesela, to chociaż na ślubie musi pan być.

– Ależ będę. Jestem umówiony za kwadrans trzecia pod kościołem z panią Jadwigą. – Redaktor Monsiorski zaczerwienił się.

– No dobrze. W takim razie dzisiaj panu dam policjanta, już dzwonię w tej sprawie, i może pan iść z nim do mieszkania Pietruszkowej, ale proszę absolutnie niczego tam nie ruszać. – Zerknął na zegarek. – W poniedziałek zajmę się tymi dwoma nicponiami, tylko najpierw się ożenię, dobrze?

Pół godziny później przydzielony przez Dąbskiego policjant otwierał dużym kluczem drzwi mieszkania gospodyni.

Pan Walerian przypomniał sobie, jak ją widywał najczęściej. Latem stała przed kamienicą, wspierając się na miotle. Zimą za to trudno ją było uświadczyć, chociaż przed domem było nieodmiennie czysto. Pietruszkowa zawsze miała za dużo roboty, bo to liście obleciały wszystkie naraz i ileż tego, ileż, a to śniegu nasypało, że też tyle naraz mogło z nieba zlecieć, a to ślisko, bo lód. Jeszcze dzieci sobie zrobiły na chodniku ślizgawkę, łobuzy. I bezpańskie psy lgnęły do niej, chociaż ona ich wcale nie zachęcała.

Redaktor Monsiorski zaczął się rozglądać. Policjant podążał za nim krok w krok. W kuchni w oknie wisiała kusa firanka, na parapecie stały rude, gliniane doniczki. Nad piecem suszyły się ścierki. Na fajerkach stał półlitrowy emaliowany garnuszek, a na niedużym stole leżała tania, biała cerata w cętki.

Wszedł do pokoju, gdzie stało łóżko. Wzdrygnął się na widok poduszki, bo myślał, że jest zakrwawiona, ale to była tylko czerwień niepowleczenia. Wykrochmalona poszewka leżała na krześle, elegancko złożona w kostkę. Pietruszkowa nie zdążyła przed śmiercią oblec sobie poduszki.

Nad łóżkiem wisiał duży obraz święty, za szkłem i w ramie. Redaktor Monsiorski otworzył szeroko oczy. Identyczną reprodukcję widział u Henia i Hanki w Siewierzu. Na kamiennej ławie siedziała młoda, piękna Matka Boska w błękitno-białych

luźnych szatach, cała w złotawej aureoli. Podtrzymywała lekko Dzieciątka, które usiłowało ustać na własnych nogach i radośnie wyciągało rączkę do młodego pastuszka odzianego w skóry. Pastuszek wręczał Dzieciątku bukiet róż. Na ramieniu pastuszek miał krzyż, a nad głową aureolę. Za ławą, za plecami Matki Boskiej siedział Józef i obserwował wszystko z życzliwym uśmiechem. U boku Józefa stara kobieta – też rozradowana. Kiedy redaktor Monsiorski był mały i Heniu tłumaczył mu, kto jest kim na obrazie, redaktor Monsiorski jako Walerek nie mógł zrozumieć, że ten brodaty i siwy pan to nie jest mąż tej siwej pani obok niego, tylko mąż tej młodej pięknej pani na ławce. Zupełnie inaczej było śpiewać bezmyślnie, że Maryja Panna Maryja Panna Dzieciątka piastuje i Józef stary i Józef stary Ono pielęgnuje, a co innego zobaczyć ten mezalians na własne oczy.

Ale że też taki sam obraz akurat wisi nad łóżkiem Pietruszkowej. Można by go odkupić. Gospodyni już nie jest potrzebny. Można by go dać w prezencie Heniowi i Hance. Przypominałby im utracony dom. Ale od kogo odkupić? I czy to na pewno dobry pomysł? Może to obraz pechowy? Pietruszkowej nie uchronił przed śmiercią, a domu w Siewierzu nie ocalił przed pożarem. Zły pomysł. Świadczyłby najwyżej o gruboskórności.

Duży zegar pod ścianą miarowo odmierzał minuty. Nikt nie pomyślał o tym, żeby zatrzymać wskazówki.

O ile redaktor Monsiorski mógł się zorientować, ślady zniszczeń nie były duże. Popękane kafelki przy kuchennym piecu i obita balia nie mogły mieć związku z morderstwem, natomiast wybebeszona szufladka szafki nocnej na pewno tak. Klamka od drzwi do kuchni leżała na podłodze. Leżało tu też pudełko, z którego wysypały się grzebienie i szpilki do włosów. Przy piecu drewno. W sypialni na podłogę spadła buteleczka z lekarstwem. To że podeszwy butów kleiły się do desek, wynikało zapewne z tego, że policjanci poroznosili rozlany syrop po małym mieszkaniu.

– To zabójstwo... nastąpiło wieczorem? – zapytał.

Policjant skinął głową.

– Wieczorem. Była w koszuli nocnej i chyba właśnie kładła się do łóżka. Ten syrop, rozlany, to dlatego, przynajmniej w naszym

rozumieniu, że przed snem zamierzała zażyć lek. Odkręciła butelkę, a wtedy ktoś zapukał i otworzyła drzwi...

– Dostyc nieroztropne.

– Ale ona była gospodynią. Zresztą nie należała do osób bojaźliwych, z tego co mówią mieszkańcy.

Pietruszka stała zatem przy łóżku w długiej nocnej koszuli i w pantoflach, gruba kobieta z podwójnym podbródkiem. Zmówiła już modlitwę przed obrazem i odkręciła lekarstwo. Ktoś zapukał. Odstawiła butelkę i poczłapała do wyjścia, mrużąc coś pod nosem. Otworzyła drzwi. Czy to był Goździk? Poznała go? Chciała zapewne szybko zamknąć drzwi, ale nie zdążyła, bo pchnął je mocno, wszedł do środka i sam natychmiast zatrzasnął drzwi za sobą. Uciekła do pokoju, on za nią. Cofnęła się przestraszona w stronę łóżka, oparła ręką o szafkę i straciła lekarstwo na podłogę. On doskoczył do niej. Dlaczego nie krzyczała? Może krzyczała, ale nikt nie zareagował? Ludzie tacy są. A może napastnik zagroził, że jeśli krzyknie, to ją zabije? Mogła też być zbyt przerażona, by krzyczeć. Głos uwiązł jej w gardle. Napastnik skrępował ją i przywiązał do krzesła. Wszystko przyniósł ze sobą. Nie mógł sznurów szukać w mieszkaniu.

Czegoś ewidentnie szukał. Z szafy powyrzucano buty i paski. W rozsypanym stosie papierów i szpargałów na środku pokoju redaktor zobaczył całe sterty powycinanych powieści Klandestyna Bizukonta. Z pewnością wcześniej były porządnie poukładane, ale teraz walały się po podłodze i wszystkie odcinki rozsypały się w nieładzie. Pan Walerian podszedł do ściany. Odłaziły z niej duże strzępy tapety. Chwycił oderwany róg dłonią i odchylił. Czyżby napastnik zrywał tapetę i czegoś tu szukał?

Policjant mruknął z dezaprobatą.

– Panie redaktorze, nie wolno niczego dotykać.

No tak. Chodzi o ślady.

Co to właściwie jest ślad? Zakłócenie stanu rzeczy, który miał miejsce przed zostawieniem śladu.

Nawet gdyby ślad pochodził sprzed minuty, oznacza nieobecność tego, kto go zostawił. Oznacza zawsze obecność minioną, różną od obecności terażniejszej. Redaktor Monsiorski też zostawi ślad, ale dopóki stopa stoi tam gdzie stoi, nie może być



mowy o żadnych śladach. Ślad nie ma znaczenia dla tego, kto go czyni, ma jedynie znaczenie dla interpretatora.

A jeśli ktoś koncentruje się na własnych śladach? Albo je zaciera? To taka osoba już czyta siebie jako nieobecną.

Ślad oznacza, że upłynął czas. Do tego czasu możemy w pewnym sensie wrócić, możemy go odzyskać, pod warunkiem, że prawidłowo odczytamy trop.

Napastnik pytał. Knebel musiał założyć później.

Ona nie krzyczała, ponieważ bała się, że ją zabije. Nie wiadomo, co powiedziała, ale i tak ją udusił. Przeszukał mieszkanie. I wyszedł.

Czy pan Walerian jest w niebezpieczeństwie?

Tak, w śmiertelnym.

Redaktor Monsiorski spojrział na zegarek. Z Jadwigą miał się spotkać w kościele kwadrans przed trzecią, a musiał jeszcze wrócić do redakcji i załatwić kilka pilnych spraw, więc doprawdy, doprawdy, Droga Czytelniczko & Drogi Czytelniku, nie zostało mu zbyt wiele czasu.

\* \* \*

Niebo zamknęło się nisko pod sinymi chmurami. Nie można powiedzieć, że chmury się kłębiły, bo żeby się kłębić, trzeba wykazywać minimum energii. Po prostu rozlały się, rozpełzły płasko po sam horyzont, zawisły bezwładnie, nie znajdując żadnego powodu, żeby się znad miasteczka gdziekolwiek przemieścić.

Pan aptekarz siedział przy stole lekko zgarbiony i zamyślony. Zamierzał właśnie namoczyć w herbacie kolejnego sucharka, kiedy gosposia otworzyła szeroko drzwi saloniku. Najpierw wtoczył się wózek, a za nim panna Izabela.

Sucharek wypadł panu Hieronimowi z dłoni. Przez chwilę unosił się na powierzchni herbaty, a potem zaczął się topić.

– Córku! – zawołał pan aptekarz i wstał z krzesła. Najchętniej by się z niego zerwał, ale sztywna noga wciąż mu na to nie pozwalała. Wyciągnął ręce i utykając, ruszył ku panie Izabeli. – Co za niespodzianka! Wiedziałem... – powiedział z satysfakcją. Wziął córkę w ramiona i mocno ją przytulił.

– Tato...

– No nic, no nic... – powtarzał. – Wszystko przecież dobrze...  
– Tato... – Oderwała się od ojca.  
– No, daj mi palto, pomogę... Zmęczona musisz być... po podróży zapewne...  
– Tato, tutaj... to moje dziecko. Chłopczyk.  
– Tak, tak, naturalnie. – Pan aptekarz nie potrafił pohamować radości. – Naturalnie, że dziecko. Pod pierzynką... ma się rozumieć...

Krzyknął w stronę drugiego pokoju:

– Marysiu! Marysiu, chodź szybko.

Pani Maria weszła do pokoju.

– Zobacz! No wystaw sobie! – ekscytował się pan Hieronim.

– Dzień dobry, mamó. – Panna Izabela dygnęła jak pensjonarka.

– Popatrz, Marysiu, no, masz teraz w domu i córkę, i naturalnie, ma się rozumieć, wnuczka.

Pani Maria nie zwracała uwagi na męża. Zbliżyła się do wózka i zerknęła do środka. Przez chwilę przyglądała się chłopczykowi.

– Śpi – zauważyła.

– Śpi – potwierdziła panna Izabela. – Jest bardzo grzecznym...

– Gdzieś na strychu jest jeszcze ta stara kołyska z drzewa orzechowego... – przypomniał sobie pan aptekarz, ale nikt go nie słuchał.

– Ile ma miesięcy? – zapytała chłodno matka.

– Osiem. Urodził się w pierwszy dzień wiosny, dwudziestego pierwszego marca.

– No to się pewnie począł w pierwszy dzień lata! – zawołał pan Hieronim.

Pani Maria odwróciła się na pięcie w stronę męża i syknęła:

– Zamilcz wreszcie.

Pan aptekarz stropił się, ale po cichu jeszcze raz wszystko przeliczył. No tak, na pewno pofiglowali sobie w pierwszy dzień lata. Uśmiechnął się do swoich myśli.

W zacisznym wykuszu przy oknie wychodzącym na ogród stał głęboki fotel, a w nim spała babka. Teraz jednak otworzyła oczy i przyglądała się spokojnie scenie rozgrywającej się w pokoju.

– O, i mama się obudziła – powiedział pan Hieronim.

Panna Izabela podeszła do fotela, nachyliła się i ucałowała babkę w oba policzki. Ujmując suchą, pergaminową dłoń staruszki, przycupnęła u jej stóp. Babka spoglądała na nią bez żadnych emocji, wyraźnie jej nie rozpoznając. Wpatrywały się w siebie przez dłuższą chwilę, panna Izabela ze wzruszeniem, babka spokojnie.

W pokoju panowała cisza.

– Wróciłam – powiedziała panna Izabela.

Przez chwilę na twarzy babki malował się wysiłek, ale szybko ustąpił miejsca rezygnacji. Staruszka zapytała niepewnym głosem:

– Kim ty jesteś, dziewczynko?

Pannę Izabelę zdumiało to pytanie.

– Jak to, kim ja jestem?

– Marysia? – Babka zawiesiła głos.

– Babciu, przecież to ja, twoja Izunia.

– Izunia? – Ani w głosie, ani w oczach babki nie było śladu zrozumienia.

– Z babci pamięcią nie jest najlepiej – wyjaśnił pan Hieronim, a matka dodała:

– Co się dziwić. Pięc lat cię nie było...

Panna Izabela podniosła się, puściła dłoń babki. Ta odwróciła się w stronę okna i zaczęła ze skupieniem spoglądać w kierunku ogródka, tak jakby czegoś szukała.

– O, jest – powiedziała po chwili i wskazała brodą w stronę okna.

– Kto? – Panna Izabela wyjrzała przez okno.

– Anioł.

– Anioł? Gdzie?

– Tam, na sklepie.

– Ale w ogrodzie nie ma żadnego sklepu. – Panna Izabela przeraziła się.

Babka spojrzała na wnuczkę, jakby tej brakowało piątej klepki, ale z jej przebiegłej miny można było wywnioskować, że postanowiła nie spierać się z nieznajomą młodą panią. Znowu zaczęła wyglądać przez okno.

– Co się dzieje?

– Babcia widzi anioły. – Pan aptekarz westchnął.

– Jak to?

– No tak. Wygląda przez okno i widzi anioły. Dużo aniołów. Najwięcej pod wieczór. Ale w ciągu dnia też. Siedzi w fotelu, patrzy w okno i ogląda te anioły.

– Gdzie one są? – zapytała panna Izabela.

– W ogródku za oknem. Na dachach. Na drzewach. – Pan Hieronim mówił to spokojnym tonem.

– Ale do domu nie wchodzi – wyjaśniła babka, chociaż wszyscy myśleli, że nie słucha rozmowy.

Panna Izabela spojrzała na ojca pytająco.

– Ostatnio nawet nie pozwalamy jej wychodzić samej. Kiedyś wstąpiła do piekarni i poprosiła o chleb. No, ale nie miała pieniędzy. Wiesz, co zrobiła? Zdjęła z palca obrączkę i chciała nią zapłacić za bochenek. Piekarz nie dał po sobie niczego poznać i wziął obrączkę, po czym przyniósł ją nam do domu. Od tej chwili już nie wypuszczamy jej nigdzie. Zresztą, gdyby odeszła za daleko, mogłaby nie wiedzieć, gdzie ma wrócić.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Panna Izabela znów podeszła do wózka. Chłopczyk nadal spał.

Pani Maria przyglądała się dziecku.

– Ślub braliście?

– Nie.

– Czyli przywiozłaś do domu bękarta?

– Marysiu... – Pan aptekarz zmarszczył brwi.

Pani Maria zachmurzyła się.

– No to może nam jeszcze powiesz, co teraz zamierzasz robić? I co ja mam powiedzieć w mieście. Że skąd to dziecko? I czyje?

Już widzi, jak te cholery gadają: „O, to pani teraz ma wesoło w domu”. „To przecież taka rozkosz mieć u siebie wnuczka”. Już je widzi wszystkie. A w zeszłym tygodniu mówiła jej Wojanowska, jakie to niezmiernie ważne, żeby dziewczyna do ślubu zachowała cześć. I patrzyła na panią Marię sowim wzrokiem, jakby wszystko wiedziała. Małpa. A ze swoim mężem żyje jak pies z kotem.

Ni stąd, ni zowąd babka zapytała:

– Ja jestem w ciąży?

– W mamy wieku to raczej wykluczone – powiedział pan aptekarz. Nawet nie uniósł brwi.

Babka już przestała zwracać na nich uwagę. Płaczliwym i nieco przestraszonym tonem powtarzała do siebie coś, co brzmiało jak: „Proszę cię myl się za nas, proszę cię myl się za nas, proszę cię myl się za nas, proszę cię myl się za nas, proszę cię myl się za nas”.

– Niech mama przestanie – wyjęczała pani Maria.

Zapadła cisza.

– Co? – zapytała babka.

– Niech mama przestanie mówić do siebie bez przerwy, bo ja zwariuję. – Widać było, że pani Maria z trudem trzyma nerwy na wodzy.

– Ja nic nie mówię – obruszyła się babka przytomnie.

– Jak to nie? Cały czas mama coś mruczy.

– Nieprawda. Nic nie mówię.

– Mówi mama na głos.

Znow zapadła cisza.

Babka wpatrywała się w okno i po chwili, najpierw szeptem, a później coraz głośniej zaczęła znowu powtarzać jak katarynka: „Proszę cię myl się za nas proszę cię myl się za nas proszę cię myl się za nas proszę cię myl się za nas proszę cię myl się za nas proszę cię myl się za nas”.

Pani Maria zatkała rękami uszy.

Pan aptekarz przyglądał się chłopcu.

– Jak ma na imię?

– Wołodia.

– Czyli że Włodzimierz?

– Tak.

Pani Maria odetkała uszy i zapytała:

– A chrzczony był?

Panna Izabela milczała przez chwilę.

– Nie. Jeszcze nie.

– To skąd wiadomo, że Włodzimierz?

– Nie był chrzczony, ale jest zapisany w urzędowych...

– Daj spokój. – Matka machnęła ręką lekceważąco. – Dlaczego wróciłaś do domu? I dlaczego wracasz bez ojca dziecka? Co, boi się nas? Wstydzi? Nie ma czasu? Taki zajęty?

– Ani się boi, ani się wstydzi. Tam jest – zawahała się – tam jest teraz piekło. Uzgodniliśmy, że dla dziecka będzie lepiej, jeśli wrócę chwilowo do Polski i poczekamy, aż się wszystko uspokoi.

– Sama nie wierzysz w to, co mówisz – stwierdziła pani Maria, próbując panować nad emocjami. – Po prostu... pogonił cię i tyle.

– Nie pogonił mnie. – Panna Izabela też kontrolowała swój głos. Nie mogła sobie pozwolić na kłótnię.

Pan Hieronim spoglądał na córkę badawczo.

– Jeśli tam jest teraz takie piekło, to po co on w nim został? – zapytał.

Zanim odpowiedziała, pani Maria wytłumaczyła mężowi ironicznie:

– Bo on w tym piekle dokłada do ognia. Musi pilnować, żeby nie zgasło.

\* \* \*

Pan Walerian, wychodząc z bramy redakcji, spojrzął na zegarek. Zwolnił kroku. Do kościoła nie było daleko. Zdąży.

Podniósł wzrok.

Pod wysokim drzewem stał bez ruchu jakiś mężczyzna. Obie ręce trzymał w kieszeniach długiego zimowego płaszcza. Mimo że na głowie miał kapelusz z nisko opuszczonym rondem, redaktor Monsiorski natychmiast go rozpoznał. Z twarzy pana Waleriana odpłynęła cała krew. Wiedziony niewidzialną siłą, zamiast uciekać, podszedł do mężczyzny.

– To pan – nie zapytał, a stwierdził z rezygnacją w głosie.

Eustachy Goździk powoli pokiwał głową.

– To ja. Nie spodziewał się mnie pan, prawda? – powiedział ochryłym głosem.

– Przeciwnie, spodziewałem się. Właściwie, w pewnym sensie od ponad czterech lat czekam na pana powrót.

## Rozdział 15

### Pola w listopadzie

Eugeniusz nie poszedł do cyrulika, bo mu było szkoda czasu, chociaż Baron obiecywał, że pana komendanta w dniu ślubu ogoli, bo co jak się pan komendant zatnie? Jak pan komendant będzie wyglądał? Dąbski stał przed lustrem w szlafroku i pantoflach. Wyekwipowany w pachnące, lawendowe mydło, miseczkę z letnią wodą i pędzel do golenia, przesuwiał brzytwę po policzkach. Potem umył twarz i wytarł ręcznikiem. Spojrzał uważnie w swe odbicie. Na szczęście się nie zaciął.

Na palcu nosił sygnet odziedziczony po ojcu.

Ojciec odziedziczył go po dziadku.

Czy na pewno dobrze robię? – zapytał swego odbicia. Czy nie marnuję w tej chwili swojej kariery? Czy po dzisiejszym dniu ludzie będą się liczyli z moim zdaniem, czy raczej będą się na boku ze mnie podśmiewali? Czy jestem w przededniu honorowych godności, wyjazdów w dyplomatycznych delegacjach, czy właśnie to wszystko lekkomyślnie zaprzepaszczam?

Dzień był pochmurny i mglisty, nie nastrajał do optymizmu. Przez całą noc trzymał mróz i nawet w południe kałuże nie rozmarzły. Raz tylko słońce wyjrzało zza chmur w typowo jesienny sposób: na ulicy od razu położyły się długie cienie, światło ostro rozbłysło na czerwonej cegle kościoła i na dachu, a ktoś, kto się nie znał na oszukańczych sztuczkach pogody, mógłby pomyśleć, że zima poszła po rozum do głowy i odstąpi. Pozory. Słońce jesienią często wyczynia takie nieuzasadnione harce, po czym robi się ciemno i zaczyna sypać śnieg albo zacina lodowaty deszcz.

Cegły błyszczące przez chwilę w jesiennym blasku pochodziły z cegielni położonej parę kilometrów dalej, dobrze widocznej

z kościoła. Podczas budowy świątyni, im wyżej wznosiły się czerwone wieże, tym bardziej monstrualny stawał się dół w gliniance. Kościół piął się ku niebu, a jego puste odbicie zstępowało w głąb ziemi. Wiele lat później, w ciemną, wielkopiątkową noc zapiał czerwony kur, cegielnia stanęła w ogniu, a płomienie szczelnie spowiły wysoki komin. Kiedy opadł czarny pył, pogorzelsko zrównano z ziemią, wypalone i wyszczerbione resztki zabudowań zepchnięto do dołu, z którego przed ponad wiekiem wybierano glinę, dopełniono wszystko gruzem, śmieciami i wszelkim dziadostwem. Zniknęła cegielnia, która przez jedną noc była katedrą gorejącą ku niebu, i zniknął dół, który był odwróconą katedrą zbudowaną z pustki, ziejącą ku piekłu.

Wróćmy do 5 listopada 1919 roku.

W kronice towarzyskiej w „Iskrze” nie wyglądało to imponująco. „Dziś o godz. 3 po południu w kościele parafialnym odbędzie się ślub Poli Negri, artystki kinematograficznej, z hr. Eugeniuszem Dąbskim”.

W północnym skrzydle transeptu odsunięto pod ściany wszystkie rusztowania Liszego, który tego dnia nie pracował. Na jednej z drabin wciąż wisiała jego czarna poplamiona peleryna. Proboszcz, ksiądz Franciszek Ksawery, chociaż mało kto w ogóle wiedział, że on Franciszek Ksawery, bo dla wszystkich był Księżeproboszczu, od paru tygodni zastanawiał się, czy młody malarz kiedykolwiek skończy poprawianie polichromii. Mogliby też żebracy wynieść się spod schodów przy głównej bramie. Znał ich wszystkich, oszustów, oczajdusze i pijaków: te staruchy i ich owrzodziałe wnuczki, tych młodzieńców rzekomo bez nóg, handlarzy, co na rozłożonych derkach sprzedawali fałszywe relikwie z Ziemi Świętej. Na szczęście pogoda ich przegoni na parę miesięcy.

– Żeby na początku listopada był taki ziąb! – mruknął ksiądz Tomasz do proboszcza, który właśnie nakładał komżę na sutannę.

Francowata zima. Już idzie pomału, pomyślał proboszcz, ale zaraz się zmytygował: Wybacz mi, Panie, że nie potrafię docenić Twego daru. A na głos powiedział:

– Księżę Tomaszu, przecież to się często zdarza, że w listopadzie chwyta mróz. – Wyjrzał zza drzwi zakrystii, po czym



dodał: – Jakoś mało ludzi. Dziwne. Dwa śluby naraz i kościół prawie pusty. Czyje to śluby?

– Panna Apolonia Chałupiec, aktorka z Warszawy, a właściwie to z Berlina, wychodzi za naszego komendanta policji.

– Aktorka z Warszawy? Z Berlina? – Ksiądz proboszcz uniósł brwi. – Czy ten młody człowiek do reszty oszalał? Takich miał porządnych rodziców... A drugi ślub?

– Siostra komendanta, Irenka, wychodzi za pana Hryniewieckiego.

– Przynajmniej tu nie będzie mezaliansu. Ten Hryniewiecki to chyba wdowiec?

– Wdowiec.

– To mu baby nie dziwne. Ale żeby Eugeniusz za aktorkę? No, naprawdę. Sodoma i Gomora!... Poza tym, czy już minął rok od śmierci ich matki? Coś mi się nie wydaje. Jeśli dobrze pamiętam, matka umarła w lutym. Rozumiem Irenkę, bo dziewczyna, w dodatku sierota, musi brać, co się trafia i nie może grymasić. Ale czegoż się Eugeniusz tak spieszy?

– Zakochał się, księżę proboszczu.

– Oby się równie szybko nie odkochał. Postrzeleniec się z niego zrobił. Świszczypała.

Ksiądz wikary roześmiał się cicho. A proboszcz nie przestawał kręcić głową z dezaprobatą.

– Mam nadzieję, że nie mieszkali ze sobą przed ślubem.

– Chyba nie. Panna młoda z matką od miesiąca rezydują w hotelu przy dworcu.

– Przez cały miesiąc hotel opłacają? A to im się zachciało hrabiowskiego tytułu, no, no... Pilnują kawalera.

– Eee, chyba nie o to chodziło. Miały co robić. Suknię szyc...

– Cóż ich tak ksiądz broni? W kościele je chociaż widywano?

– Tak, księżę proboszczu. I matka chodziła, i córka. Najchętniej modliły się w Kaplicy Matki Bożej Różańcowej.

– Jakoś zapowiedzi nie pamiętam.

– Były jedne. Drugiego listopada. A od pozostałych władza duchowna udzieliła indultu – ksiądz Tomasz wolał na wszelki wypadek używać prawidłowych sformułowań. – No przecież nikt nie stwierdził, żeby coś stało na przeszkodzie...

– Pewnie że nikt. Kto ją zna? Ci z Warszawy czy Berlina nawet nie wiedzą, że tu ogłoszono zapowiedzi... Ech. Co mi tam. I tak nic z tego nie będzie... No, a drugi ślub? Podczas tego samego nabożeństwa?

– Tak. Czy to coś złego?

– Nie wydaje mi się, żeby panny młode mogły być z tego powodu szczęśliwe.

– Hrabia Dąbski szlachetny człowiek, ale majątku nie ma. A zawsze to ich taniej wychodzi.

– Że jedna msza? No chyba ksiądz im policzył dwa razy? W końcu śluby dwa, dwa akty małżeńskie musimy wypisać, dwa sakramenty święte damy.

– Policzyłem *prawie* dwa razy, księżę proboszczu.

– Prawie?

– No, my też zaoszczędzamy. Na świecach. Na moim gardle... – Roześmiał się. – Ale to nie na mszy świętej jest ich oszczędność, tylko na przyjęciu weselnym. Jak siostra i brat jedno przyjęcie zrobią zamiast dwóch, czy to nie jest oszczędność?

– Pewnie jest. Nie wiem, bo się nie żeniłem. Ale mówię księdzu, że pannom młodym to się nie podoba. Aż dziw, że się zgodziły.

– Irenka się zgodziła, bo to posłuszna i dobra dziewczyna. Tej drugiej, panny Chałupiec, nie znam, ale faktycznie widać hardość w niej. Wysoko głowę nosi.

Ksiądz proboszcz znowu wyjrzał z zakrystii do kościoła.

– A ten z akordeonem to kto?

– Z akordeonem?

– No, tam pod amboną. Niech ksiądz wyjrzy.

Ksiądz Tomasz wystawił głowę. Po chwili przymknął drzwi i roześmiał się.

– To nie akordeon. To *ernemann*.

– Ki diabeł?

– Kamera. Żyd Binder prosił mnie o pozwolenie nakręcenia migawek ze ślubu do kroniki miejskiej.

– Żyd to zawsze wymyśli jakieś dziwactwo. I ksiądz dał zgodę?

– A co w tym złego?

– Nie wiem. Aha, zauważyłem, że boczne wejście do kościoła, to od południa, koło schodów na chór, nie jest zamknięte na klucz.

Chyba się zamek popsuł. Proszę koniecznie dzisiaj zamknąć te drzwi, bo może ktoś chce wtargnąć do świątyni pod osłoną nocy i dokonać rabunku albo coś zbezczęścić. Strach pomyśleć, od jak dawna to wejście jest otwarte.

– Dobrze. Zaraz po nabożeństwie zamknę. Może organista zapomniał po próbie „Lutni”.

No i odbyły się śluby, tak jak się odbywają.

Ksiądz Franciszek Ksawery nie skupiał się szczególnie w czasie nabożeństwa. Bardziej zastanawiał się nad tym, że proboszczowie nie mają w tej parafii szczęścia. *Ksiądz Teodor wytrwał zaledwie dwa lata. Po nim ksiądz Jan. Trzy lata. Potem ksiądz Antoni. Mój poprzednik. Trzy lata. No i teraz mnie mijają trzy lata, toż to jest tutaj górna granica proboszczowania. Ile mi zostało?*

Dąbski zadzierał głowę do góry i z zaciekawieniem wpatrywał się w inskrypcję nad trzymetrowym obrazem w Ołtarzu Wielkim. Pozłacane litery na czarnym tle.

SANCTUS.  
SANCTUS. SANCTUS.  
DOMINUS  
...EUS SABA...

Skrzydła aniołów zastawiały dolną linijkę z lewej i prawej. Znajomy miał psa imieniem Saba.

Wreszcie można było powiedzieć:

– Przejdźmy do zakrystii.

Obie pary udały się za księżmi. Nas bardziej interesuje jedna z tych par.

„Działo się w mieście Sosnowcu. Zawarto związek religijny małżeński pomiędzy Eugeniuszem Bożydarem hrabią Dąbskim, kawalerem porucznikiem z Sosnowca lat dwadzieścia sześć

mającym i Apolonią Chałupiec, panną lat dwadzieścia dwa mającą. Ks. Pleniewicz”.

– Proszę podpisać.

Proboszcz wręczył pióro panu młodemu. Ten szybko, drobnymi literami napisał: Eugeniusz hr. Dąbski i przekazał pióro Poli.

Pochyliła się nad arkuszem i wolno, rozkoszując się, że może to wreszcie zrobić, wykaligrafowała dużymi literami: „Apolonia hr. Dąbska-Chałupiec”. Tuż przy jego podpisie, jakby pod rękę szli. Pan Hrabia z Panią Hrabinią.

Oddała pióro porucznikowi Hryniewieckiemu.

– Proszę, żeby świadkowie, o tu... pod spodem też raczyli... – pouczył ksiądz proboszcz.

K. Hryniewiecki. A. Szeligowski.

Ksiądz Tomasz wysuszył akt ślubu bibułą.

– To wszystko, jeśli chodzi o sprawy formalne.

Druga młoda para złożyła podpisy na swoim akcie małżeństwa. I świadkowie: E. Dąbski. A. Szeligowski.

Młodożeńcy wyszli przed kościół. Stało tam kilkanaście osób. Ryż zaczął się sypać obficie na obie pary. Gości było mało, ale ryżu dużo. „Niech żyją!”, ktoś krzyknął, a ryż spadał na szerokie schody.

– Bądź dzielna, Polu. – Matka objęła córkę. – Staraj się żyć dobrze z siostrami męża. Od tego wszystko zależy.

Spojrzały na Irenę, która odbierała (nieliczne) gratulacje, stojąc nieopodal w futrze narzuconym na ślubną suknię. Irena uśmiechnęła się do nich promiennie, więc i one odwzajemniły uśmiech. Po czym matka i córka spojrzały na młodszą siostrę Eugeniusza, Ludmiłę. Stała z boku z zaciśniętymi ustami. Nie patrzyła na nikogo. Wbiła wzrok w ziemię. Matka uniesieniem brwi dała do zrozumienia córce, gdzie znajduje się prawdziwa przeciwniczka.

– Wiem, mamu, ja to wiem. – Pola westchnęła.

Wczoraj Ludmiła powiedziała jej z krzywym uśmiechem, że państwo młodzi będą spali w łóżku, w którym ona się urodziła. Ona zaś będzie spała w pokoju obok, więc gdyby w nocy młoda mężatka czegoś potrzebowała... Poli zrobiło się niedobrze i na myśl, że spędzi noc poślubną w zimnym mieszkaniu, w starym łóżku rodziców Eugeniusza, i że Ludmiła będzie ich podsłuchiwała zza

ściany. Aha tak, tak, ty, Polu, będziesz żoną Eugeniusza, ale ja mu będę robiła śniadania, ja mu będę prała koszule, niestety nie stać nas na służących...

Matka wyrwała Polę z zamyślenia.

– Córuś, ja z wami na chwilę tylko wstąpię do domu, żeby się rozgrzać i będę wracała do Warszawy, tak jak mówiłyśmy...

Usłyszał to Eugeniusz.

– Ależ, szanowna pani...

Powstrzymała go gestem.

– ...ależ, mamu – powiedział Dąbski i zaczerwienił się. – Nie może mama jechać zaraz po ślubie, przecież zapraszamy na poczęstunek. Skromny wprowadzie, ale...

– Bardzo dziękuję, Eugeniuszu, muszę wracać. Jeszcze się spotkamy wiele razy. My tu od miesiąca w hotelu mieszkamy, czas do domu. Dzisiaj Pola ze mną nie będzie spała, a samej byłoby mi bardzo smutno, musisz zrozumieć...

– Tak, oczywiście – bąknął Eugeniusz.

Nagle coś mu się przypomniało i zaczął się niespokojnie rozglądać, zamiast namawiać teściową, by została u nich, choć to i ciasno i jakoś dziwnie, bo co, miałyby matka jako przyzwoitka nasłuchiwać, jak rodzeństwo Dąbskich w dwóch sąsiednich pokojach spędza noc poślubną?

Przecież by jej serce pękło, przecież to nieludzkie, że jej Pola kochana nawet nocy poślubnej nie ma tylko dla siebie, że w drugim pokoju siostra Eugeniusza kotłuje się po łóżku z mężem, to jest wręcz jakieś... chore, a ta ponura Ludmiła w dodatku, co ona sobie myśli... Ach i ten ślub... Gości jak na lekarstwo, wyłącznie znajomi pana młodego. Biedna Pola nie zaprosiła żadnych przyjaciół. A na pewno ktoś by przyjechał, jeśli nie z Berlina, to z Warszawy. Nie chciała Dąbskich narażać na dodatkowe koszty.

Wracam zaraz do Warszawy, wracam. Popłaczę sobie w pociągu i tyle będzie mojego.

– Nie, nie, dziękuję, Eugeniuszu za zaproszenie, ale pojedę.

Eugeniusz nie słuchał, bąknął tylko to swoje „Tak, oczywiście” i dalej szukał kogoś wzrokiem.

To z kolei zirytowało Polę.

– Za kim się tak rozglądasz?

– Wiesz, Polu, dziwi mnie bardzo, że redaktor Monsiorski nie pojawił się na naszym ślubie. W kościele go nie widziałem. Była chyba jego... no, ta pani... jego znajoma... narzeczona bodajże... ale jego nie było. Z życzeniami też nie podchodził do nas... A jeszcze dzisiaj rano zapewniał mnie solennie, że przyjdzie.

## Rozdział 16

### Lęk wysokości

Nie. Pan Eustachy Goździk nie zabił redaktora Monsiorskiego. Nie miał nawet takiego zamiaru. Pan Goździk popełnił w życiu kilka błędów, ale kto tego nie zrobił? Dyrektor rzeźni nigdy nikogo nie uśmiercił, jeśli mowa o ludziach, chociaż owszem zabił wiele świń. Nie miał na sumieniu Alojzego Korzeńca, ale niestety był jego śmierci współwinny. Myślenie pana redaktora Monsiorskiego było częściowo słuszne: Organizacja Patriotyczna, w której działał Eustachy Goździk, wydała wyrok śmierci na nieszczęsnego kafelkarza, uznając go za sabotażystę i zdrajcę. Panu Goździkowi powierzono rolę mściciela – w imię wyższego dobra należało zlikwidować dywersanta. Redaktor Monsiorski nie wiedział jednak, że pan Goździk stanowczo odmówił wykonania wyroku. Ani policja, ani pan Walerian nigdy nie znaleźliby dowodów przeciwko zarządcy rzeźni, ponieważ ich nie było.

Czy pan Eustachy wiedział, kto zabił Korzeńca? Tak.

Kafelkarza zabił człowiek, który właśnie w tym celu przyjechał z Warszawy. Człowiek, który rozmawiał z Kerszenblatem i podawał się za malarza Liszego, mimo że prawdziwy Lisze od dawna mieszkał w Paryżu. Dyrektor rzeźni zupełnie nie rozumiał, dlaczego egzekutor, po wykonaniu brutalnej i krwawej misji, pozostał w Sosnowcu.

Gdyby ów człowiek nie udusił Pietruszkowej, pan Goździk nie przyszedłby do pana Monsiorskiego. Ale zabicie Pietruszkowej to było coś zupełnie innego niż zabicie Korzeńca (choć to morderstwo również było pozbawione sensu) i pan Goździk zrozumiał, że w następnej kolejności zginie redaktor Monsiorski. Dlatego, gdy tylko się dowiedział, że pan Walerian wrócił do

Sosnowca, postanowił go osobiście ostrzec. A żeby redaktor Monsiorski mógł mu uwierzyć, musiał mu wszystko, no, prawie wszystko opowiedzieć.

Pan Walerian – jako rękojmię prawdomówności dyrektora rzeźni – zażądał, żeby natychmiast poszli do doktora Mojkowego. Chciał mieć świadka. Dlatego nie mógł być na ślubie podporucznika Dąbskiego. Są czasami sprawy ważniejsze od ślubu sąsiada.

Doktor był na szczęście w domu. Pan Goździk, jękając się, opowiedział wszystko jeszcze raz.

– Ten człowiek jest Żydem? – zainteresował się doktor Mojkowski.

– Nie. – Pan Goździk pokręcił głową. – Ten człowiek jest Polakiem. W gruncie rzeczy mało o nim wiem. Przyjechał na zlecenie Organizacji, a później już nie miałem kontaktu ani z nim, ani z Organizacją. Nie wiem też, dlaczego został w Sosnowcu.

– Pewnie chciał odnaleźć rzekomy skarb Korzeńca.

– Być może.

– I nie wie pan, jak się nazywa? – Doktor Mojkowski wpił wzrok w pana Goździka.

Dyrektor rzeźni zawahał się.

– Wiem. Nazywa się Wawrzyniec Surowy.

– No ale jak to tak, żeby Polak Żyda udawał? – Redaktor Monsiorski kręcił głową. – Po co? Dla lepszego kamuflażu?

Dyrektor rzeźni wzruszył ramionami.

– Nie pytałem.

– A bo to trudno mówić z żydowskim akcentem? – Doktorowi Mojkowskiemu udawanie Żyda nie wydawało się nieprawdopodobne.

– A Żydzi się nie połapali, że nie swój? – pan Walerian miał nadal wątpliwości.

– A co im to? Im ich więcej, tym lepiej – zawyrokował doktor Mojkowski. – Szkaplerza na szyi nie nosił, bez majtek nie paradował, a że dla proboszcza Plenkiewicza pracuje, to go mieli za odszczepieńca i trzymali się od niego z daleka.

– Tak było – potwierdził Eustachy Goździk.



– Ale jak potrzebowali nowego szyldu na sklep, to go zatrudniali – obruszył się pan Walerian. – Pamiętam, jak pomstował na Szpigiel, że sprzedaje „Polaka Katolika”. Wszystko to farsa i aktorstwo?

– Pan mi nadal nie wierzy... – skonstatował Eustachy Goździk.

– Właściwie należałoby natychmiast udać się na komisariat – zawyrokował doktor Mojkowski.

Zapadła cisza.

Jakoś nikt z nich się nie kwapił, żeby iść na policję. Najmniej pan Goździk.

– To co pan mówi, jest rzeczywiście niewiarygodne – rzekł doktor Mojkowski po dłuższej chwili milczenia. – Ale możemy uwiarygodnić pana słowa, jeśli doprowadzimy do konfrontacji z Liszem.

– To zbyt niebezpieczne. – Pan Goździk pokręcił głową.

– Z fałszywym Liszem – poprawił pan redaktor. – Z Surowym.

– Nie będzie takie niebezpieczne, jeśli pójdziemy we trójkę i do konfrontacji dojdzie w miejscu publicznym. Choćby w tym kościele, gdzie pracuje. Przecież nie rzuci się na trzech mężczyzn – powiedział doktor Mojkowski buńczucznie.

– To nieobliczalny człowiek – wahał się pan Goździk. – Poza tym ani dzisiaj, ani jutro nie będzie malował. Jutro jest niedziela.

– Umówmy się więc na poniedziałek. Spotkamy się u mnie i pójdziemy razem. O godzinie jedenastej. Wówczas będzie na pewno malował.

– Ale czemu właściwie ma służyć ta... brawurowa akcja? – zapytał pan Goździk.

– A skąd my mamy wiedzieć, czy pan mówi prawdę?

– To po co przychodziłbym ostrzec redaktora Monsiorskiego?

– Tego też nie wiemy. Może pan coś knuje. Niech pan pamięta, że dla nas to pan jest głównym podejrzanym. Nie da się wykluczyć, że pan usiłuje się wybielić kosztem niewinnego człowieka.

– Gdybym był mordercą, to zamiast się narażać na te impertynencje, po prostu coś bym zrobił. – Pan Eustachy poczuł się urażony.

– W ten sposób do niczego nie dojdziemy – skonstatował przytomnie redaktor Monsiorski.

Postanowili zatem, że dokonają konfrontacji w poniedziałek w kościele Wniebowzięcia. Pan Goździk pożegnał się grzecznie i wyszedł.

– Czy nie powinniśmy go byli zatrzymać? – zapytał pan Walerian.

– W jaki sposób? I za co? Przecież on panu nic nie zrobił. Na dzień dzisiejszy można stwierdzić tylko tyle, że się z własnej woli z panem spotkał i opowiedział zabawną historyjkę.

– Hm... W zasadzie tak... Słusznie... no, zresztą na mnie też już czas.

Redaktor Monsiorski chciał ruszyć w stronę sieni, ale doktor Mojkowski złapał go za łokieć.

– O nie, nie, pan zostaje u mnie do poniedziałku.

– Za nic w świecie! Nie mogę.

– Gadaj pan, co chcesz, ja do poniedziałku pana stąd nie puszczę na krok. Jeśli ma pan jakieś pilne sprawy, proszę korzystać z mojego telefonu.

– Nie znoszę telefonów – mruknął redaktor Monsiorski.

– Ale żyć pan lubi?

– No, tak.

Jeszcze tego samego wieczora redaktor Monsiorski zadzwonił do pani Jadwigi. Rozmawiali bardzo długo.

– Będę panu musiał zapłacić za tę rozmowę, doktorze, ale nie mogłem krócej, bo... ehm... dokonałem wstępnych oświadczeń – powiedział redaktor Monsiorski, purpurowy na twarzy.

– Przez telefon?

– No, tak.

– Hm. Jak na człowieka, który nie znosi telefonów, sporo pan potrafi osiągnąć w trakcie jednej rozmowy.

– Widzi pan, jakoś tak wyszło...

– Ale że też pan nie mógł poczekać z oświadczeniami do poniedziałku?

– W poniedziałek oświadczę się w sposób właściwy.

– Aha. Widzę, że panu trzeba miecza nad głową, żeby się zdecydować na ożenek.

Redaktor Monsiorski nie skomentował tej uwagi.

W niedzielę zadzwonił jeszcze kilka razy do pani Jadwigi i do Bursztyna z zestawem instrukcji w kwestii poniedziałkowego wydania gazety.

Zadzwonił też do porucznika Dąbskiego z gratulacjami i przeprosinami. Kiedy odłożył słuchawkę, zobaczył, że doktor Mojkowski patrzy na niego ze zdumieniem.

– Co się stało? – zaniepokoił się pan Walerian.

– Czy pan dzwonił może do tego pańskiego znajomego... do komendanta policji?

– Tak. Musiałem przeprosić za nieobecność na jego ślubie.

– Tak? I...?

– I...?

– I nic więcej?

– Oczywiście złożyłem mu gratulacje.

– I?

– Nie pojmuję.

– I nic więcej?

– Nic.

– No to z łaski swojej zadzwoń pan jeszcze raz i poproś go o to, żeby jutro w kościele znalazło się od rana kilku policjantów. Chyba pan nie sądzi, że tam pójdziemy na pewną śmierć i nie skorzystamy z ochrony. Tym bardziej że komendant jest pańskim znajomym. Ja czasami naprawdę pana nie rozumiem.

Redaktor Monsiorski zadzwonił do Dąbskiego ponownie i w oględnych słowach wyłuszczył mu swoją prośbę, nie tłumacząc jednak dokładnie, o co chodzi. Komendant był zdumiony, ale obiecał, że w poniedziałek od rana dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy w cywilu będzie siedziało w zakrystii i czekało w pogotowiu. On sam też postara się być gdzieś w pobliżu.

Dąbski odłożył telefon i uniósł brwi. Czyżby Monsiorski, będąc w sanatorium, zwariował przy tej kobiecie? Jego zachowanie w ostatnich dniach było co najmniej dziwne. Ale apel obywatelski zobowiązuje komendanta policji do działania, więc w poniedziałek trzeba wysłać dwóch funkcjonariuszy do kościoła i uprzedzić ich, żeby mieli na wszystko baczenie. A potem trzeba poważnie porozmawiać z Monsiorskim i dowiedzieć się, o co chodzi. No ale przecież nie będzie się nad tym zdrowy mężczyzna zastanawiał

w dzień po nocy poślubnej... Pola ma takie wspaniałe ciało... tyle że... no nic... widocznie potrzebuje trochę czasu... Jakoś to będzie...

Doktor Mojkowski konsekwentnie utrzymywał redaktora Monsiorskiego w areszcie domowym przez całą niedzielę, a sam nie rozstawał się z bronią. Chodził z rewolwerem za pasem i był z siebie nader zadowolony.

\* \* \*

Pan aptekarz zapukał wieczorem do pokoju panny Izabeli i przyniósł jakiś pakunek.

– Kiedy zabierałem twoje rzeczy z Sosnowca... bo dozorczydni kazała opróżnić mieszkanie, no więc, kiedy zabierałem te rzeczy, dozorczydni dała mi listy, które przysły do ciebie na tamten adres. Na kopertach jest dopisek „Do rąk własnych”, więc... – Wręczył jej paczkę związaną sznurkiem. – Mama nic o nich nie wie – dodał i mrugnął. – Nic się nie martw, córuś, wszystko się ułoży.

Wyszedł cicho z pokoju.

Okazało się, że listy pisał pan Andrzej. Nie było ich wiele. Wszystkie wysłano w roku 1914 i 1915, a potem już nie. Panna Izabela nie wiedziała więc, że pan Andrzej wrócił do Sosnowca, zresztą zatarł się już w jej pamięci.

Rozłożyła jedną z kartek, przebiegła ją wzrokiem i uśmiechnęła się do swoich myśli. Kiedy to było... kiedy to było... Zresztą nie było niczego, chyba tylko w głowie pana Andrzeja.

Szkarłat wina pąsowieje,  
Kiedy muskam Twoje usta,  
Klosz wstydliwie zmrużył oko,  
Spłonily się wszystkie lustra,  
Mruczy stara miękka sofa...

Wołodia obudził się i zaczął płakać.

Panna Izabela odłożyła kartki z wierszami na stół, nachyliła się nad łóżeczkiem, wzięła dziecko na ręce i zaczęła spacerować po pokoju.

\* \* \*

Hanka wracała ze sklepu. Na progu sieni musiała minąć córkę sąsiadki z parteru. Kilka dni temu podarowała jej lalkę i teraz dziewczynka ciągle siedziała z nią w progu. Widząc Hankę, powiedziała cicho:

– Ale ma pani ładną opaskę...

Hanka chodziła w opasce, bo po tym jak jej włosy spaliły się w pożarze, już nie odrosły jak należy.

– Dziękuję. – Hanka zatrzymała się. – A ty masz piękny warkocz.

Dziewczynka miała gruby warkocz, aż do pasa.

– Sama sobie zaplotłam. Ja się lubię bawić włosami. – Podniosła lalkę. – Dałam jej imię. Nazywa się Królowna.

– I czeszesz ją?

– Przez cały dzień. Chcę, żeby miała piękne włosy.

– Musisz uważać, żeby od ciągłego czesania włosy jej nie wypadły, bo ja się staram robić lalki solidnie, ale nie wiem, czy można przez cały dzień...

– Ale i tak muszę ją uczesać...

– Aha...

– Żeby miała piękne włosy.

– A dajesz jej czasem odpocząć?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Nie.

– Może ją już trochę głowa swędzieć od grzebienia.

Dziewczynka przestała czesać lalkę i zamyśliła się. Po chwili powiedziała cicho:

– Jak kiedyś sobie czesałam włosy przez cały dzień, to później miałam strupy na głowie.

Odłożyła Królownę. Podniosła z podłogi pieska i zaczęła go ciągnąć za nos z guzika.

– Nie lubisz go? – zapytała Hanka.

– Bardzo lubię.

– To czemu go tak szarpiesz?

– Nie wiem. – Dziewczynka wzruszyła ramionami. – Muszę.

\* \* \*

W poniedziałek pan Goździk przyszedł zgodnie z obietnicą. Doktor Mojkowski bardzo starannie umył ręce i przygotował do zabrania pojemną skórzaną torbę zamykaną na solidny zatrzask.

– Po co panu ten opasły kufer? – zapytał pan Goździk zdziwiony.

– Nie ruszam się z domu bez medycznej torby – odpowiedział doktor Mojkowski z poczuciem wyższości.

– Myślałem, że może schował pan tam rewolwer.

Lekarz odpiął zatrzask i pokazał panu Goździkowi wewnątrz kuferka.

– Proszę sprawdzić.

– Nie, nie – stropił się dyrektor rzeźni. – Przepraszam. Zresztą gdyby nawet pan miał broń... toby pewnie nie zaszkodziło.

Doktor Mojkowski spojrzał panu Goździkowi prosto w oczy.

– Jestem lekarzem, a nie rewolwerowcem.

– Nie traćmy czasu, panowie – niecierpliwił się redaktor Monsiorski.

Dyrektor rzeźni i pan Walerian zeszli ze schodów pierwsi, a doktor Mojkowski został, żeby zamknąć drzwi. Zanim to jednak uczynił, włożył gruby płaszcz, a do jego prawej kieszeni wsunął rewolwer. Nikt nie będzie ze mnie robił idioty, pomyślał.

Minęli sklepiki i kramy pod kościołem. Z poziomu ulicy do poziomu świątyni prowadziły dwa ciągi szerokich stopni. Najpierw siedemnaście. Potem jeszcze sześć. Wstąpili na nie, ignorując natrętnych żebraków i stanęli pod półkolistym tympanonem masywnego neoromańskiego portalu.

Spojrzeli po sobie.

– Śmiało! – powiedział doktor Mojkowski.

Otwarli ciężkie drzwi i wsunęli się do ciemnej kruchty. Wzrok przez chwilę musiał przyzwyczajać się do półmroku. Ze ścian patrzyły melancholijne postaci tetmajerowskich polichromii: oczy wylupiaсте, szaty powłóczyste.

Otwarli kolejne drzwi i znaleźli się w głównej nawie. Tu było widniej. Posadzka lśniła, wyłożona jasnymi kafelkami w dwóch odcieniach: bladobłękitnym i sinoróżowym. W powietrzu unosiły się cząsteczki drobnego pyłu.

Nikogo nie było widać. Redaktor Monsiorski gestem wskazał kierunek.

– Transept – szepnął.

– Proszę? – nie zrozumiał pan Goździk.

– Tam z przodu. Z lewej.

Skręcili w boczną nawę, połowę niższą od głównej, i oto szli, nie próbując zachowywać ciszy.

Jeden obok drugiego szli. Można rzec – ławą. W długich płaszczach i kapeluszach na głowach. Chociaż byli w kościele, postanowili kapeluszy nie zdejmować, żeby im rąk nie krępowały („W razie gdyby trzeba złoczyńcę pojmać i trzymać aż do przybycia policji”). Nieswojo się czuli w kapeluszach, bo wszyscy przecież byli wyznania rzymskokatolickiego.

Ich kroki odbijały się głuchym echem. Pan Walerian bardziej niż towarzysze na twarzy pobałdł, odczuwał suchość w ustach, a wargi tak mocno zaciskał, że aż posiniały. Jego twarz tężała. Ale szedł. Mina doktora Mojkowskiego sugerowała czujność, a na twarzy pana Goździka malowało się znużenie.

Można dokładnie policzyć, jak długo musieli iść. Trzeba było jedenastu kroków, żeby przeciąć kruchtę, potem prosto główną nawą – dziesięć kroków. Skręt w lewo. Dwanaście kroków w kierunku bocznej nawy. Przy pękatej kolumnie skręt w prawo.

Teraz czterdzieści siedem kroków prosto.

Osiem wysokich okien z lewej nad nimi, a prawo moralne w nich. Pięć korynckich kolumn z prawej – wszystkie prawidłowo zwieńczone kielichami.

Przy trzydziestym trzecim kroku znaleźli się na wysokości polichromii przedstawiającej *Chrzest Litwy* (choć pan Walerian zawsze myślał, że to scena, w której Królowa Jadwiga oddaje mieszczce krakowskiej złotą kłamrę sandała).

Skręt w lewo. Pięć kroków. *Adoratio Regum Polonorum*.

I oto stali pod drabiną. Buty malarza znajdowały się na wysokości rond ich kapeluszy.

Spojrzenia chmurne całej trójki zgodnie kierowały się w jedną stronę.

Fałszywy Lisze, ubrany w czarną pelerynę, spojrział w dół.

Pod sobą zobaczył pana Goździka w towarzystwie redaktora Monsiorskiego oraz trzeciego człowieka, którego nie znał, ale o którym od razu pomyślał, że musi być z policji (jego dłoń w lewej dłoni dużą skórzaną torbę, a prawej ręki nie wyjmował z kieszeni płaszcza).

– Panowie do mnie?

– Wiele na to wskazuje – powiedział doktor Mojkowski. Jego tubalny głos odbił się echem w transepcie.

– Nie jestem głuchy. – Malarz skrzywił się. – Czy sprawa jest pilna? Czy mogę domalować rękojeść miecza, zanim farba całkiem zaschnie?

– Źle to wróży rozmowie, jeśli będzie pan balansował nad naszymi głowami – odparł doktor Mojkowski nieco ciszej, ale w jego głosie zaczęła pobrzmiwać irytacja.

Malarz zszedł z drabiny. (Małpio zwinny jest, pomyślał pan Walerian. Niedobrze... Ileż okazji ten człowiek miał, żeby mnie zabić. Dlaczego jeszcze tego nie uczynił? Bo nie czuł się zagrożony. No i gdzie są policjanci obiecani przez Dąbskiego?).

Policjanci od rana siedzieli w zakrystii po drugiej stronie kościoła. Nie wiedzieli, co mają robić, bo komendant nie umiał im tego wyjaśnić, więc postanowili czekać na przebieg wydarzeń, o ile cokolwiek się w kościele wydarzy. Jeden z nich wyciągnął z kieszeni płaszcza podniszczoną talię kart. „To co? Kilka partyjek pokera?”. „Pewnie” – odparł ten drugi. – „Inaczej zanudzimy się tu na śmierć”. W zakrystii nie było słyhać niczego, więc po chwili zapomnieli o bożym świecie.

– Zstąpiłem zatem... – powiedział malarz. – Czym mogę służyć?

Jeśli on tej polichromii nie dokończy, to zostanie rozmazana na całe pokolenia – taka niedorzeczna myśl przemknęła redaktorowi Monsiorskiemu przez głowę.

– Pan się nazywa Izaak Lisze? – zapytał doktor Mojkowski, nadal nie wyciągając ręki z kieszeni płaszcza.

– Tak, słucham. – Malarz wycierał pędzle ścierką.

Doktor Mojkowski i pan Walerian spojrzeli po sobie.

– A może Wawrzyniec Surowy?



Fałszywy Lisze targnął się jakby od wewnątrz i oczy mu zabłyśły. Grał jednak jeszcze na zwłokę. Rzucił przeciągłe spojrzenie panu Goździkowi, ale szybko ocenił sytuację.

Nie dogonią go przecież. Żałośni starsi panowie.

Rzucił się do ucieczki przez nawę główną. W ostatniej chwili, zanim jeszcze wpadł do kruchty, zmienił kierunek biegu. Ucieczka przez główne wejście była zbyt ryzykowna. Przecież przed kościołem mógł stać oddział policji. Skręcił więc gwałtownie w lewo – w stronę południowego przedsionka, tego, w którym jedne drzwi prowadziły na zewnątrz, a drugie na chór. Malarz pilnował, żeby boczne wejście było otwarte – na wszelki wypadek – ale kiedy szarpnął za klamkę, drzwi nie ustąpiły (ksiądz Tomasz słuchał poleceń proboszcza). Fałszywy Lisze zaklął. Do przedsionka zbliżali się już od strony nawy trzej biegnący za nim mężczyźni. Zostawała jedna możliwość. Drzwi na chór. Te pod polichromią świętej Cecylii.

Pchnął je. We wnętrzu panował półmrok i unosił się zapach wapna oraz drewna. Na ścianie rozrosły się pajęczyny. Malarz znał te zakamarki bardzo dobrze, więc intuicyjnie skręcił w lewo.

Na chór prowadziło czterdzieści dziewięć kamiennych, zakurzonych, spiralnie skręconych schodków. Były strome i wąskie. Mógł na nich – między ścianą z lewej a żelazną poręczą od zewnętrznej strony – zmieścić się tylko jeden człowiek naraz.

Cała czwórka wspina się teraz na chór. Pierwszy biegnie fałszywy Lisze, przeskakując po dwa stopnie, za nim posapuje pan Goździk, kilka kroków za nim stęka doktor Mojkowski, a na końcu gramoli się redaktor Monsiorski. On, jako człowiek po gruźlicy, nie może szybko wbiegać po tyłu schodach.

Po tych czterdziestu dziewięciu stopniach robi się nagle więcej miejsca. To poziom chóru. Znajdują się tu kolejne drzwi, szerokie, drewniane, z mosiężną klamką. Trzeba uważać na dwa kamienne oraz dwa drewniane schodki. Malarz wbiegł do środka i stanął z lewej strony przy ścianie. Gdy wszedł pan Goździk, spod czarnej peleryny wysunęła się dłoń. Nóż! Jedno pchnięcie i dyrektor rzeźni, którego oczy jeszcze nie przywykły do półmroku panującego w ciasnym przedsionku, jęknął, zgiął się wpół, chwycił za brzuch i osunął na kolana. Upadł na podłogę, tarasując swym ciałem

drewniany korytarzyk prowadzący bezpośrednio na chór. To się organista zdziwi! – przemknęło przez głowę fałszywemu Liszemu. Malarz nie chciał uciekać w prawo, ponieważ z chóru mógłby najwyżej próbować zeskoczyć do głównej nawy, a to było zbyt ryzykowne.

Można uciekać tylko w lewo. Jeszcze wyżej.

Surowy pchnął więc kolejne drewniane drzwi. Znalazł się w przestronnym pomieszczeniu. Światła było tu dużo więcej, bo dochodziło z rozety wbudowanej w mur. Stąd szerokie drewniane schody ze zdobną poręczą prowadziły w górę i znikwały w najwyższej części wieży.

Tymczasem doktor Mojkowski otworzył drzwi przedsionka chóru. Zobaczył leżącego pana Goździka, upuścił swoją torbę, ale nie zatrzymał się. Ruszył za malarzem.

Kiedy redaktor Monsiorski wspiął się na czterdzieści dziewięć stopni, ani Surowego, ani doktora Mojkowskiego już nie było. Leżał tylko dyrektor rzeźni, a drewniane drzwi z lewej kołysały się ciężko.

– Jezus Maria! – zawołał pan Walerian, kiedy zobaczył, że twarz Eustachego Goździka ma kolor ściany, a przez palce trzymające brzuch cieknie krew.

– Pobiegli... na górę – wyjęczał dyrektor rzeźni.

Panu Walerianowi serce biło jak młotem. Co teraz robić?

– Zaraz do pana wrócę – wysapał i również zniknął za drzwiami prowadzącymi na wieżę.

Wspinając się za fałszywym Liszem, doktor Mojkowski wyciągnął z kieszeni rewolwer. Malarz zauważył to. Na szerokich schodach było wystarczająco dużo miejsca. Odwrócił się i – małpio zwinny, rzeczywiście – kopnął doktora w dłoń. Rewolwer spadł. Żaden z mężczyzn nie miał jak wrócić po broń.

Znów pięli się do góry. Natomiast redaktor Monsiorski, który dopiero teraz znalazł się u podstawy schodów, zauważył rewolwer, podniósł go i zaczął mozolną wspinaczkę.

Coraz węższymi schodami, wyżej i wyżej: Wawrzyniec Surowy i doktor Mojkowski znaleźli się wreszcie pod hełmem wieży. Poczuli na spoconych twarzach ostre podmuchy listopadowego wiatru i przenikliwy świst powietrza. Kwadratowa galeryjka, na którą wypadli, okolona była niską ceglana balustradą, mniej więcej

do wysokości ud mężczyzny. (Chętnie opisałbym widok z wysokiej wieży, ale, proszę wybaczyć, teraz nie mam do tego głowy).

Stąd nie można już było nigdzie uciekać.

Malarz zrozumiał, że nadszedł czas ostatecznej konfrontacji. Z rozwianym włosiem, dzikim wzrokiem, ramionami wyciągniętymi do przodu i z nożem w dłoni runął w kierunku doktora Mojkowskiego.

Był to jednak, jak pamiętamy, doktor toreador. W ułamku sekundy usunął się i rozpedzony napastnik, który nacierał z impetem, trafił w pustkę w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się tors doktora. Powietrze nie stawiało oporu. Doktor Mojkowski zobaczył kątem oka – zanim w ogóle pojął, że cudem uniknął pchnięcia – jak napastnik zniknął za barierką od zachodniej strony.

Lekarz zzieleniał. Nogi miał jak z waty. Osunął się na posadzkę, oparł głowę o zimne cegły balustrady i zaczął szczekać zębami. Nie mógł się ruszyć nawet o centymetr. Nie widział więc, jak człowiek, który usiłował zepchnąć go z wieży, runął na szerokie schody przed głównym portalem.

Trudno byłoby znaleźć świadków śmierci Wawrzyńca Surowego, ponieważ mało kto spoglądał w tym momencie w kierunku górnej części wieży. Pani Jadwiga była w sklepie jubilerskim i wybierała pierścionek zaręczynowy. (Będzie Walerianowi łatwiej trafić w jej gust). Hrabina Chałupiec siedziała w pociągu na sosnowieckim dworcu (Obowiązki artystyczne wzywały ją pilnie do studia filmowego już dwa dni po ślubie). Eugeniusz hr. Dąbski czekał, aż pociąg z żoną wyruszy do Berlina. (Tak, tak, on znowu zostanie na peronie). Irenka, siostra Eugeniusza, kąpała się w balii i podśpiewywała pod nosem. Jej mąż leżał w łóżku. Ludmiła poszła po kryjomu na dworzec, by mieć pewność, że żona Eugeniusza wyjeżdża. Błękitnozęby pan Klaja – który był bardzo blisko dramatycznych wydarzeń – siedział ze swoją starą w warsztacie i odlewał czcionki. Janek układał bochenki na drewnianych półkach piekarni ojca. Winicjusz Krzyk umiejętnie ośmielał aktorki. Tylko stary Kerszenblat akurat spoglądał w niebo. Pomyślał sobie, że oto robotnicy, niedbali jak zawsze, zrzucili coś z wieży, no kto to

widział, żeby pakunki owinięte w czarne szmaty zrzucić tak bezmyślnie, przecież mogli kogoś na dole zabić.

Wszystko to trwało kilkanaście sekund: atak, toreadorski unik, śmierć napastnika i zasłabnięcie doktora Mojkwskiego, który siedział teraz skulony pod murkiem, szczękając konwulsyjnie zębami.

W tym momencie u szczytu schodów stanął zasapany redaktor Monsiorski z rewolwerem w wyciągniętej dłoni. Nie miał na głowie kapelusza, bo gdzieś go po drodze zgubił. Zresztą wszyscy trzej pogubili kapelusze (Pan Bóg nie toleruje odstępstw od normy).

Pan Walerian jednym rzutem oka ogarnął sytuację.

– Gdzie? – zawołał zduszonym głosem do doktora Mojkwskiego, rozglądając się dookoła w obawie przed atakiem. – Gdzie on?

Doktor Mojkwski starał się opanować szczękanie zębami.

– Spadł! Chciał mnie zepchnąć i spadł – powiedział słabym głosem.

– A pan cały?

– Tak!

– Nic panu nie jest?

– Nic. Ale zaraz umrę ze strachu. Mam okropny lęk wysokości.

– Chwileczkę. Już panu pomogę.

Pan Walerian, nie rozstając się z rewolwerem, odciągnął niemal bezwładnego doktora Mojkwskiego od balustrady i sapiąc ciężko, wepchnął go do wnętrza wieży. Doktor Mojkwski też sapał. Trudno powiedzieć, który z nich głośniejszy.

Redaktor Monsiorski teraz dopiero podszedł do balustrady. Stanął przy jednej z kolumnienek i spojrzał w dół. Było naprawdę wysoko.

– Stąd runął?

– Tak. Nie mogę patrzeć, jak pan tam sterczy – wyjęczał doktor Mojkwski. – Niechże się pan cofnie, bo jestem bliski omdlenia.

Redaktor Monsiorski wrócił do ciasnego wnętrza.

– Jest pan bohaterem – mruknął z uznaniem, nachylając się nad siedzącym doktorem. Trzeba by mu może coś podetkać? Pan Walerian przypomniał sobie... jak się to nazywało? Amoniak?

Nie miał amoniaku.

– Gdzie pan ma tę swoją torbę z medykamentami?

– Zgubiłem na chórze... Nie jestem żadnym bohaterem. On mnie zaatakował, ale ja nie robiłem przed nim uniku, tylko chciałem się szybko odsunąć od balustrady, bo bardzo się bałem wysokości.

Po chwili zapytał:

– Co z Goździkiem?

– No właśnie, źle, panie doktorze!

Lekarz podniósł się z trudem.

– Chodźmy do niego.

– Da pan radę?

– Teraz już tak.

Zeszli na chór, gdzie w ciasnym korytarzyku leżał pan Goździk. Dyrektor rzeźni jęczał i trzymał się rękami za brzuch. Przez palce wciąż wyciekała mu strużka krwi.

Doktor Mojkowski, który na widok pacjenta w potrzebie odzyskał siły, pochylił się nad nim.

– Będzie żył? – zapytał z niepokojem pan Walerian, zerkając niepewnie na bladą twarz pana Eustachego.

– Nie wiem. Spróbuję zatamować krwotok, a pan niech biegnie szybko na dół. Potrzebne są nosze, jacyś ludzie i ambulans. Trzeba go natychmiast odstawić do szpitala. Do diabła – mruknął. – Z noszami nie da się zejść po tych krętych schodkach. Niech pan zawoła ze dwóch osiłek. Muszą go jakoś znieść.

– Czyli jest szansa, że przeżyje? – pytał redaktor Monsiorski.

– Jeśli pan przestanie gadać i pospieszy się, to może tak. – Doktor Mojkowski nachylił się nad panem Goździkiem, który stęknął z bólu. – Spokojnie – mruknął.

Tuż obok dyrektora rzeźni leżała torba medyczna, którą doktor Mojkowski upuścił, biegnąc na górę. Lekarz sięgnął po torbę, otworzył klamrę i wyciągnął rolki z bandażami.

– A pan się jeszcze zastanawiał, po co mi ten kufer. – Pokręcił głową z dezaprobatą.

Pan Walerian zbiegł na dół. Wciąż trzymał w prawej dłoni rewolwer doktora toreadora. Drzwi południowego przedsionka – zamknięte, a zatem nawa główna... kruchta... Wypadł z kościoła prosto w tłum, który zbierał się przy wejściu. Drugi, mniejszy tłumek otoczył częściowo przykryte czarną peleryną ciało leżące na

schodach. W tej grupie nie było dwóch policjantów, którzy nadal siedzieli w zakrystii i grali w pokera („Wydaje mi się, że słyszałem jakieś hałasy”, powiedział jeden z nich. „Ja nic nie słyszałem”, mruknął drugi i wyłożył karty na stół. „Kareta”).

Pod butami gapiów trzeszczał ryż rozsypany obficie w czasie sobotnich ślubów.

– Potrzebna jest szybko pomoc! Nosze! I ambulans! – zawołał pan Walerian, wymachując rewolwerem.

Ludzie z krzykiem cofnęli się, byle dalej od szaleńca wywijającego bronią.

– To Monsiorski! Zwariował! – Ktoś go rozpoznał.

– Na chórze jest ciężko ranny człowiek! – Pan Walerian zorientował się, że budzi przerażenie i schował rewolwer do kieszeni płaszcza. – Niech ktoś natychmiast wezwie ambulans i policję!

– Ja polecę! – zawołał pan Klaja. Hałasy wywabiły go z pracowni pod kościołem.

– Nigdzie nie pójdziesz! Ubiją cię! – Żona Klai zawisła mu na szyi.

– Idźże babo w cholerę! – krzyknął zecer i uwolnił się. – Panie redaktorze, już pędzę!

Tłum przestał się cofać. Pani Jadwiga z trudem przebiła się do przodu. Przez chwilę przyciskała obie dłonie do zadyszanej piersi, a potem chwyciła redaktora Monsiorskiego za rękaw.

– Walerianie, musisz zaraz iść ze mną do sklepu jubilerskiego. Bo, wiesz, ja wybrałam piękny pierścionek zaręczynowy i już go nawet przymierzałam na palec.

## OD AUTORA

*Puder i pył* to drugi tom kronik sosnowieckich i bezpośrednia kontynuacja *Korzeńca*. Ta powieść, podobnie jak poprzednia, jest fikcją literacką, a wszelkie podobieństwo głównych bohaterów do prawdziwych postaci jest przypadkowe i niezamierzone.

Rekonstruując realia sosnowieckie z lat 1918-1919, korzystałem z opracowań regionalistów i historyków (m.in.: Jana Przemszy-Zielińskiego, Zbigniewa Studenckiego, Ryszarda Kaczmarka, Jana F. Lewandowskiego, Agnieszki Miki i Dariusza Kmiotka). Korzystałem również z archiwaliów, niemych filmów oraz *Pamiętników gwiazdy Poli Negri*.

Dziękuję czytelnikom *Korzeńca* – szczególnie Dariuszowi Majchrzakowi, Katarzynie Oleksy, Janinie Osobie, Ewie i Marii Wylęzek, Kazimierzowi Żmii – za dzielenie się ze mną interesującymi materiałami i cennymi informacjami. Osobne podziękowanie kieruję do Norberta Stasika oraz Jego Mamy, Eweliny, za pomoc w zlokalizowaniu grobu Emmy Niukanen.

\* \* \*

Polichromia *Adoratio Regum Polonorum* w północnym skrzydle transeptu Katedry Wniebowzięcia NMP w Sosnowcu pozostaje niedokończona po dzień dzisiejszy.

Każdy, kto chciałby zobaczyć, jak wyglądała posadzka kościoła w czasach opisywanych w powieści, powinien udać się pod Ołtarz Wielki. Tam wciąż można ujrzeć fragment oryginalnych płytek w charakterystycznych barwach.

Powieść tę ukończyłem 28 czerwca 2013 roku, dokładnie w setną rocznicę fikcyjnego zabójstwa, od którego rozpoczyna się akcja *Korzeńca*.

# Spis treści

## **CZĘŚĆ PIERWSZA** 11 listopada 1918

Rozdział 1 Jak świat światem

Rozdział 2 Obieranie kartofli

Rozdział 3 Panna Izabela i bolszewicka rewolucja

Rozdział 4 Kino „Sfinks”

Rozdział 5 Życie po końcu świata

## **CZĘŚĆ DRUGA** 1-3 lutego 1919

Rozdział 6 Niewolnica zmysłów

Rozdział 7 Śmieję się, Pajacu

Rozdział 8 Niczego nie uszanują

## **CZĘŚĆ TRZECIA** 15-24 sierpnia 1919

Rozdział 9 Kuracja, konspiracja

## **CZĘŚĆ CZWARTA** 30 września 1919

Rozdział 10 Będzie dramat

## **CZĘŚĆ PIĄTA** 2-7 listopada 1919

Rozdział 11 Trzeba było nie wstawać z murka

Rozdział 12 Dozorczyni z młotkiem

Rozdział 13 Posiąść jak najszybciej!

Rozdział 14 Jak tak dalej pójdzie, to będzie za późno

Rozdział 15 Pola w listopadzie

Rozdział 16 Lęk wysokości

OD AUTORA



[1] Mówiąc szczerze, wolałbym uniknąć tej zbieżności nazwisk (przyp. aut.).